- **Jak doszło do wprowadzenia stanu wojennego? — str. 4**
- **Dlaczego emigrują z miasta na wieś? — str. 5**
- **Rozmowa z piosenkarką Ewą Śnieżanką — str. 10**
- **Zapomniana wojna bez końca — str. 12**

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź **Odgłosy** tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 43 (1491) ROK XXIX 25 PAŹDZIERNIKA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

Jakie są tutejsze gazety?

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Spytano mnie co mógłby socjolog powiedzieć o łódzkich środkach masowego przekazu*. Czy da się sformułować jakieś stwierdzenia łącznie o **„Expressie Ilustrowanym"**, o **„Dzienniku Łódzkim"**, o gazecie partyjnej o lokalnym tygodniku i o kwartalniku literackim, o lokalnym programie radiowym oraz telewizyjnym? Oczywiście rzecz warta byłaby pogłębionych dociekań. Gdyby jednak poprzestać na kilku impresjach, zauważyć trzeba na początek, iż punkt widzenia socjologa na całą sprawę jest inny od zdania prasoznawcy. Zamierzamy nie tyle studiować same treści zawarte w łódzkich przekaźnikach, co rozmyślać nad pożytkami, jakie z tych treści wynikają dla odbiorcy czytelnika, widza, słuchacza. Zakładam bowiem, na początek pełen dobrej wiary, że środki masowego przekazu w istocie służą społecznej komunikacji, wymianie informacji i poglądów.

Jakie jest audytorium łódzkiej kultury masowej? O kwalifikacjach odbiorcy, o zakresie jego zainteresowań, rozległości horyzontów, bogactwie języka, decyduje przede wszystkim posiadane przezeń wykształcenie. Struktura wykształcenia mieszkańców polskich miast ma kształt ostrego stożka. Wierzchołek stanowi 4—6 proc. ludzi po studiach, środek stożka 20—25 proc. ludzi ze szkołą średnią. Zdecydowaną większość (około 70 proc.) czytelników gazet i widzów telewizyjnych stanowią ludzie ze szkołą podstawową, niekiedy zasadniczą. Zatem dobór spraw poruszanych w prasie codziennej, sposoby argumentacji, a przede wszystkim język publikacji tych najbardziej masowych powinny liczyć się z możliwościami człowieka po szkole podstawowej. Tymczasem już po pobieżnym przejrzeniu gazet łódzkich widoczne staje się tu zjawisko

5

Nie ma Sokolnik na mapie, a przecież są

JACEK GŁĘBSKI

Sokolniki są jakby tematem wstydliwym. Podobnie jak osławione Żabiczki. Więcej już mówi się i pisze o Grotnikach, ale też bez przesady, być może dlatego, by nie budzić lwa drzemiącego w narodzie. A skąd bierze się niechęć do tych miejscowości, a do Sokolnik w szczególności? Ano stąd, że są to letnie rezydencje prezydentów, profesorów, prezesów, przewodniczących, prywaciarzy, czyli — sumując wszystkich „P" — prominentów. Taka przynajmniej jest na ten temat powszechna opinia. Może fakt, że niegdyś Sokolniki były w posiadaniu hrabiego Sokolnickiego, a później barona Roztockiego, którzy słynęli z hulaszczego trybu życia, także przyczynił się do nie najlepszej sławy tej miejscowości?

A tak naprawdę, to

SOKOLNIK W OGÓLE NIE MA

Przynajmniej na żadnej mapie, nie licząc tych wojskowych. Nie wierzycie? Proszę więc zajrzeć do kilku dowolnie wybranych map. Żeby jednak oszczędzić sobie daremnego trudu, najlepiej sięgnąć od razu do Samochodowego Atlasu Polski. Zaznaczone są tam wszystkie miejscowości, do których można dojechać choćby wąską, piaszczystą dróżką. Dla ułatwienia: Sokolniki są w dodatku miastem (oficjalna nazwa: Miasto-Ogród Sokolniki) i położone są w lesie zaznaczonym na każdej mapie kolorem zielonym. Ale mimo to właściwych Sokolnik tam nie ma. Uwidoczniona jest tylko skromna wioska o tej samej nazwie leżąca na północ od Sokolnik „właściwych". Z tego wysnuć można dwa wnioski: do Miasta-Ogrodu nie prowadzi żadna droga lub... Sokolnik nie ma.

Tymczasem Sokolniki są. A dojeżdża się do nich międzynarodową trasą E-16. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów na północ od Łodzi w miejscowości Emilia napotkać można drogowskaz: „Sokolniki 2 km". Zresztą trafić można i bez drogowskazu, wystarczy jechać za kolumną samochodów, z których spora część skręca w Emilii w prawo. Ale zmotoryzowani zanim dojadą do Sokolnik, muszą — szczególnie w czasie weekendu — przejść przez selekcję, bowiem w gęstych krzakach wsi Emilia odbywa się

POLOWANIE NA PROMINENTÓW

Prominent — przynajmniej teoretycznie — ma dobry wóz i mało czasu (bo czas to pieniądz), więc powinien przekraczać w Emilii dozwoloną prędkość 60 km na godzinę. Z tego założenia wychodzą milicjanci, o czym świadczy skryty w krzakach radiowóz i zakamuflowana skrzynka radaru. Doświadczeni prominenci, jeśli często jeżdżą tą drogą, doskonale wiedzą, kiedy i w których krzakach stoi patrol „drogówki", toteż w sidła wpadają najczęściej przypadkowi kierowcy, niekoniecznie posiadacze willi z basenem i sauną.

Jeśli jednak udało się pokonać tę przeszkodę bez płacenia mandatu, zmotoryzowanych czeka następna niespodzianka: odcinek drogi łączący E-16 z Miastem-Ogrodem Sokolniki. Kiedyś był to piaszczysty, ukurzony i wyboisty trakt. Ponieważ jednak w latach siedemdziesiątych popularność tej miejscowości wzrosła, ludzie mieli coraz więcej samochodów, a dla tych, którzy nie dorobili się własnych czterech kółek uruchomiono komunikację PKS, miejsce piaszczystej drogi zajęła asfaltówka. Kilka lat cieszyła oczy i resory, ale teraz niektórzy pomstują na nią gorzej niż na niegdysiejszy piach i kurz. Kierowcy wściekają się z powodu nieomal rosnących w oczach dziur i nierównych, asfaltowych łat, drogowcy zaś wściekają się, że nawet kilka razy do roku trzeba tę drogę łatać. Powody takiego stanu nawierzchni są — generalnie biorąc — trzy: deszcze i mrozy, ciężkie autobusy PKS wybijające dziury w cienkim asfalciku położonym na piaszczystym podłożu i wreszcie niechlujność wykonawców.

SOKOLNIKI TO LAS PODZIELONY NA DZIAŁKI.

Bywają oczywiście ulice całe oplecione siatkami, są też fragmenty nie zabudowane i wolne od działek. W sumie 576 ha lasów, 1550 działek prywatnych i 132 dzierżawnych. Stałych mieszkańców jest tu 315, natomiast latem przebywa od 10 do 20 tys. osób. Oczywiście szacunkowo, bo przecież nikt nie robi letnich spisów ludności, a rolę rachmistrzów GUS sprawują sokolnickie sklepy — po prostu zapotrzebowanie na artykuły żywnościowe świadczy o ilości sezonowych mieszkańców.

Pod względem zaopatrzenia miejscowości nie można powiedzieć nic złego. 6 sklepów spożywczych zaspokaja nawet wybredne gusty amatorów szampana i szynki, czasem co prawda zabraknie jaj albo mleka, ale w pobliskich wsiach czekają na klientów gospodarze. Zresztą jeśli nawet braknie czegoś w sklepie, już nazajutrz przychodzi „wzmocniona" dostawa. Tak więc handel — za sprawą Ireny Józefowicz, wiceprezesa GS „Samopomoc Chłopska" w Ozorkowie — działa bez zarzutu. Wszak chodzi o to, by ludzie w Sokolnikach wypoczywali, nie zaś stali w kolejkach. Oczywiście kolejki są, jakże inaczej, ale przynajmniej nie odejdzie się od lady z pustą torbą. Zresztą ostatnio kolejki się skróciły, bo do niedawna były tylko cztery sklepy. Tymczasem naczelnik gminy w Ozorkowie, Elżbieta Gieraga, zastanawia się nad

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch": 3 prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc., dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3131. B-14.

Przegląd prasy

Okazuje się, że czasem z daleka widać lepiej. Zacierają się kontury, znikają drobiazgi, cała sprawa, jej sedno ukazuje się w pełni swojej istoty. Chociaż można też się pomylić i zobaczyć akurat nie to, co jest ważne. Jak jest w tym wypadku, powiedzieć nie umiem. Nie jest to zresztą moim zadaniem. Referuję tylko to, co ukazało się drukiem, nie przesądzając sprawy, gdyż ma się o jej istocie wypowiedzieć sąd. Mogę tylko podzielać zdziwienie autorki, mogę wyrażać zdziwienie własne. Sprawa jest bowiem dziwna, choć może się wydawać prosta i jasna. Ale — jak zawsze w konfliktach — istnieją racje dwu stron i tylko prawo może precyzyjnie wyważać, czyja racja jest ważniejsza i komu należy się sprawiedliwość. Jednak — jak wynika z tekstu Barbary W. Olszewskiej — prawo uchyla się od spełnienia swego obowiązku. Taki jest — mniej więcej — ogólny sens reportażu Barbary W. Olszewskiej zamieszczonego w październikowym numerze „KONTRASTÓW" z 1986 roku pt. „Proste odruchy warunkowe".

W reportażu tym Barbara W. Olszewska opisuje

WYPADEK JAKI ZDARZYŁ SIĘ W PABIANICACH

Reportaż zaczyna się tak: — „To, co się stało, nie chce mi przejść przez mózg — mówi Józef Nowicki, rolnik ze wsi Szynkielew koło Pabianic. — Doktór przejechał mi dziecko, nie przyznaje się do tego i robi wszystko, by uciec sprawiedliwości.

— Wdepnąłem w śmiję, nie w człowieka — stwierdza dr Andrzej M., kierownik przychodni zdrowia psychicznego w pabianickim ZOZ. — Każdemu może zdarzyć się wypadek, ale żeby zaraz robić taką nagonkę?"

Wypadek zdarzył się 2 października 1985 roku około godziny 19.30 na skrzyżowaniu ulic Partyzantów i Marcelego Nowotki w Pabianicach, *„w obrębie pasów przejścia dla pieszych"*. Dr Andrzej M. nie przyznaje się do tego, że spowodował wypadek. W jego relacji całe to zdarzenie wygląda inaczej niż w relacji świadków.

— „Jechałem z pracy do domu — zeznał w śledztwie dr M. — Wjeżdżając na skrzyżowanie, zwolniłem nieco jazdę z powodu szybko przebiegającego przez jezdnię chłopca, który biegł przy swoim czerwonym świetle. Obawiając się, że może pojawić się na jezdni drugi chłopiec, jechałem wolno. Nagle, po prawej stronie na masce samochodu pojawiło się coś w rodzaju pudełka, teczki lub torby. Usłyszałem odgłos uderzenia".

Wysiadł więc z samochodu i zaczął szukać. *„Niczego nie znalazłem"*. Pomyślał więc, że ktoś zrobił mu „kawał", albo że to prowokacja. *„Nie zauważyłem jednak nikogo w pobliżu: jezdnia była pusta, chodniki też"*. Ale w odległości dwudziestu kilku metrów stała koleżanka Krzysztofa Nowickiego — dziewięcioletnia Anna Czaja, która rzecz tę widziała zupełnie inaczej. Barbara W. Olszewska zastrzega się, że dziewczynkę badała biegła z dziedziny psychologii, która orzekła, że *„biorąc pod uwagę rozwój intelektualno-emocjonalny dziewczynki można uznać jej zeznania za wiarygodne"*.

— „Ja przebiegłam jezdnię jeszcze na zielonym świetle — relacjonuje Anna Czaja — Krzysiek już na czerwonym. Nagle usłyszałam odgłos hamowania i uderzenie. Wówczas wróciłam do przejścia i zobaczyłam, że przy prawej krawędzi jezdni, przy drewnianym słupie stoi polonez. Za nim z mojej strony leżało coś, co wyglądało na szmatę lub ścierkę. Kierowca wysiadł z samochodu i pewnym krokiem podszedł do tej „szmaty". Wtedy zorientowałam się, że tą „szmatą" jest leżący na jezdni Krzysiek. Kierowca doszedł do Krzyśka, złapał go za ręce i przeciągnął na chodnik, a następnie ułożył za słupem".

WYPADEK TEN WIDZIAŁY TEŻ DWIE UCZENNICE

pobliskiego liceum: Magdalena Bartuzel i Anna Siwek, które zapisały numer samochodu.

„Krzysztof Nowicki — pisze Barbara W. Olszewska — *miał rozległą ranę tłuczoną głowy, złamane trzy żebra i kość udową, stłuczoną nerkę. Wstrząs pourazowy, według opinii lekarzy, w każdej chwili mógł spowodować jego śmierć".*

Następnego dnia w pabianickiej komendzie milicji doszło do przypadkowego spotkania dr Andrzeja M. z Józefem Nowickim.

— „... dlaczego zostawił pan mego syna bez pomocy?" — wykrzyknął Józef Nowicki.

— „... a idź pan z pana synem; nie znam go, przejechałem teczkę" — odpowiedział dr Andrzej M.

I tak się zaczęła ta dziwna sprawa. Ale żeby uspokoić Czytelnika uprzedzę nieco wypadki i wyjaśnię, że — jak pisze Barbara W. Olszewska — Krzysztof Nowicki *„jest już w domu, ale ma zwolnienie lekarskie do końca roku szkolnego. Nie biega, ponieważ po wypadku poważnie kuleje i jest dowożony codziennie na ćwiczenia rehabilitacyjne"*.

Teraz należałoby wyjaśnić

NA CZYM POLEGA DZIWNOŚĆ TEJ SPRAWY?

Józef Nowicki szuka wszędzie sprawiedliwości, pisał już nawet w swojej sprawie do MSW. Tymczasem wszyscy wkładają mu do głowy, że *„z lekarzami jeszcze nikt nie wygrał, a z dr M. będzie to zgoła niemożliwe, bo jest biegłym sądowym i zna go cała okoliczna palestra"*. Coś w tym jest, gdyż — jak pisze Barbara W. Olszewska — *„dziesięciu odmówiło, kiedy tylko padło nazwisko oskarżonego; jedni go znali, inni o nim słyszeli, jeszcze inni mieli lekarzy we własnej rodzinie"*. Wreszcie sprawę wzięła mec. Elżbieta Czubińska, która lojalnie przyznała reporterce, że *„na początku miała obiekcje"*, bo występowanie przeciw lekarzom nie jest dobre dla adwokata, ale *„pojechała do prokuratury, by przejrzeć akta. — I wtedy — mówi — zrobiło mi się wstyd, że nikt tej sprawy nie chce wziąć"*.

Sprawa Andrzeja M. trafiła do sądu w Łasku, gdyż tak zadecydował Sąd Najwyższy. Od wypadku minął ponad rok. Ale *„i w Łasku nikt jej nie chce prowadzić"*. Sędzia Piotr Uczciwek, *„wyznaczony z urzędu na referenta, choć nie kryje swego potępienia dla postawy moralnej dr M"* musi zrezygnować, gdyż „przed paroma laty zetknął się z oskarżonym jako biegłym". Prezes sądu w Łasku — Jerzy Leder nie zna dr Andrzeja M., ale jego *„rodzice mają działkę w pobliżu działki rekreacyjnej doktora"*. Mec. Elżbieta Czubińska — nie bez ironii — sugeruje, że najlepsze byłoby przeniesienie tej sprawy do... Poznania, Wrocławia bądź nawet Szczecina.

W tydzień po wypadku do Pabianic przyjechał funkcjonariusz z Wydziału Ruchu Drogowego WUSW i nakazał wykonać to, co zrobić należało natychmiast: *„wykonać szkic miejsca wydarzenia, przeprowadzić badania krwi podejrzanego, zabezpieczyć odzież i obuwie dziecka, dokonać oględzin samochodu dr M., zorganizować eksperyment śledczy, powiadomić o prowadzonym dochodzeniu Wydział Zdrowia, któremu podlega dr M. oraz prezesa Sądu Wojewódzkiego, gdzie dr M. występuje jako biegły"*. Ale po tygodniu działania te nie mogły dać żadnych rezultatów, gdyż odzież chłopca była już wyprana, a na pokrywie silnika z prawej strony stwierdzono tylko lekkie wgniecenie. Największe moje zdziwienie wywołał fakt, że od dr M. pobrano krew do analizy na zawartość alkoholu, gdyż jakoś nie słyszałem, aby po takim czasie coś można było stwierdzić, ale być może dziwię się niepotrzebnie. Pobrano zresztą dwie próbki, z których jedna miała trafić do Poznania, a druga do Łodzi, ale obie „omyłkowo" trafiły do... Łodzi. Do Poznania próbka trafiła *„w trzy tygodnie po wydarzeniu"* i dała inny wynik niż w Łodzi, ale — jak orzekli biegli — *„z powodu niewłaściwych warunków przechowywania i transportu"*.

W grudniu 1985 roku śledztwo przejęła Prokuratura Rejonowa Łódź-Polesie, która specjalizuje się w sprawach wypadków drogowych. W styczniu 1986 r. — a więc w 4 miesiące po wypadku — prokurator Maciej Uzdowski przedstawił dr Andrzejowi M.

AKT OSKARŻENIA

Akt ten zarzuca dr Andrzejowi M., że *„na skutek niezachowania szczególnej ostrożności i należytej obserwacji drogi potrącił przebiegającego przez jezdnię (...) Krzysztofa Nowickiego, czym spowodował u niego obrażenia ciała i wynikający z nich wstrząs pourazowy, a więc chorobę zazwyczaj zagrażającą życiu czyli przestępstwo z art. 145 par. 2 KK oraz, że będąc lekarzem nie udzielił pomocy człowiekowi znajdującemu się w położeniu bezpośrednio zagrażającym utratą życia, odjeżdżając z miejsca wypadku, tj. o czyn z art. 164 par. 1 KK"*.

Kodeks Karny przewiduje *„za pierwsze przewinienie karę od 6 miesięcy do 8 lat, za drugie — do 3 lat pozbawienia wolności"*.

Dr Andrzej M. nie przyznaje się do spowodowania wypadku.

— „Nie udzieliłem dziecku pomocy — powiedział Barbarze W. Olszewskiej — ponieważ nie zauważyłem, żebym kogokolwiek przejechał. Chłopca mógł potrącić ktoś inny, a na bok odciągnąć jego koleżanka, która teraz mnie oskarża. Powtarzam: ktoś mi rzucił na maskę jakiś karton lub teczkę. Dlaczego nikt mi nie pomagał w poszukiwaniu tego czegoś lub kogoś, kiedy wysiadłem z samochodu? Mogła to być prowokacja. Było ciemno i zacząłem się bać, żeby nie dostać w łeb. Jeśli zaistniał wypadek, to w pierwszym rzędzie winę ponosi za to elektrownia, która tego dnia wyłączyła światło na trasie E-12: kiedy jechałem od Zielonej Górki aż do „Polfy" nie świeciła się żadna latarnia".

Dr Andrzej M. sugeruje też, że Józef Nowicki jest pieniaczem a poza tym był pacjentem przychodni zdrowia psychicznego. Nachodzi go w przychodni, gdzie dr Andrzej M. nadal pracuje i oskarża wobec pacjentów o... morderstwo. *„Wystąpiłem więc — mówi Andrzej M. — do prokuratora o ochronę mojej osoby".*

— „Owszem — powiedział Barbarze W. Olszewskiej Józef Nowicki — *piętnaście lat temu miałem wypadek motocyklowy i leczyłem się neurologicznie, ale to nie powód, by robić ze mnie wariata. Ja szukam tylko sprawiedliwości, niczego więcej".*

Dr Andrzej M. uniknął aresztowania — choć przebywał w areszcie, gdzie — jak twierdzi — nabawił się zapalenia płuc i złapał *„wirusową rosówkę"*, a teraz ma *„powikłania z sercem"*. Zabrano mu też prawo jazdy.

Aresztowania uniknął dlatego, że czterej lekarze, trzech z pabianickiego ZOZ i jeden z łódzkiego szpitala im. J. Babińskiego wystawili społeczne poręczenie. Oto motywy takiej decyzji przedstawione przez autorkę reportażu:

„Dr Kazimierz Kozłowski: Zawiadomienie o przesłaniu aktu oskarżenia przeciw Andrzejowi M. wpiąłem do akt. Uważam, że nie wszyscy sprawcy wypadków muszą siedzieć w areszcie.

Dr Irena Brzezińska: Słyszałam o co podejrzany jest dr M., mimo to poręczenie podpisałam z całym przekonaniem.

Dr Nikandra Grzejdziak: Uważam, że dr M. powinien dalej pracować.

Dr Henryk Sułtan: Powiem szczerze: nie obchodzi mnie, co zrobił dr Andrzej M. i o co go oskarżają. Ja wiem, że brakuje lekarzy".

JAKA JEST PRAWDA?

Na ile winny jest dr Andrzej M.? W sprawie tej niezwłocznie powinien wypowiedzieć się sąd. Obrosła ona bowiem już nadto wątpliwościami, dziwnością i niejasnościami, a także wiele osób stawia w niezbyt korzystnym świetle. Są wśród nich też łódzcy dziennikarze, którzy jakoś nie zdobyli się na odwagę, aby sprawą się zainteresować, choć o niej wiedzieli. I między innymi dlatego cały przegląd prasy poświęciłem tylko tej jednej sprawie.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Komu ma ufać szary człowiek?

Zapewne jeszcze nigdy w dziejach nie oczekiwały społeczeństwa tak jednoznacznie od swoich przywódców prowadzenia pokojowej polityki, jak oczekują obecnie. Bywało przecież, że w określonych sytuacjach narody wyglądały z utęsknieniem pojawienia się zwycięskiego wodza, któremu można by powierzyć pełnię państwowej władzy i losy ojczyzny, jak, dajmy na to Cezarowi, Napoleonowi, de Gaulle'owi, a u nas Sobieskiemu, bywało też, że poeci modlili się o wojnę narodów, która przyniosłaby ich krajowi niepodległość.

Dożyliśmy jednak czasów, kiedy — jak mi się wydaje — ogromna większość społeczeństw upatruje w powszechnym pokoju najlepszą rękojmię wspólnej pomyślności narodów świata i świadomość ta zdaje się ciągle narastać. Stąd też inaczej niż dawniej zaczyna się oceniać działania polityków, zwłaszcza przywódców wielkich mocarstw, których wpływ na bieg międzynarodowych wydarzeń jest niemal decydujący, co dotyczy przede wszystkim państw przewodzących antagonistycznym „blokom".

Tak też i działalność przywódców obu supermocarstw — prezydenta Stanów Zjednoczonych i sekretarza generalnego radzieckiej partii oraz ich bezpośrednie spotkania śledzone są przez ludzi z baczną uwagą i pewną dozą zrozumiałej podejrzliwości — co też oni nam wszystkim zgotują, jakiego piwa nawarzą, które będą musiały pić nie tylko ich własne oraz sojusznicze społeczeństwa, ale i cała ludzkość.

A więc — ile prawdy, a ile politycznej taktyki i propagandowych względów kryje się w ich publicznych wypowiedziach na tematy wojny i pokoju, zbrojeń i rozbrojenia? Który z nich na pewno pragnie pokoju, a kto w określonej sytuacji gotów jest uciec się do wywołania wojny (nie łudźmy się, że innej niż termojądrowa)? Nasze nagie życie i egzystencja gatunku ludzkiego zależą dziś w stopniu nieporównywalnym z przeszłością od pokojowych bądź wojennych zamiarów kół kierowniczych obu supermocarstw, a tym samym pytanie — komu zaufać, urasta do rangi pytania być może najważniejszego ze wszystkich.

Wiemy co prawda o nieustannie ponawianych radzieckich inicjatywach rozbrojeniowych, o jednostronnym moratorium na wybuchy podziemne i kolejnych ustępstwach wobec żądań partnera, m.in. w sprawie wzajemnej kontroli. Znamy też stanowisko obecnego prezydenta USA torpedujące porozumienia, sabotujące wzajemną kontrolę i znamy jego upór w sprawie „wojen gwiezdnych". Wielu nam, którzy śledzimy te sprawy, to zupełnie wystarcza do uzyskania obrazu, ale człowiek, który już nieraz sparzył się na wielkiej polityce i nieraz zawiedziono jego zaufanie, ma przynajmniej psychologiczne podstawy do nieufności, i nie wie skąd czerpać pewność, że jest tak a nie inaczej. „A może" — myśli on sobie — „nie dawać wiary nikomu"?

Otóż tym ludziom, którym zbyt mało mówią same rezultaty rokowań w Reykjaviku, polegające m.in. na odmowie USA wyrzeczenia się programu militaryzacji kosmosu (choć zdaniem wielu ekspertów wzmaga ona zagrożenia dla obu stron) doradzałbym posłużenie się w rozumowaniu rzymską maksymą prawniczą: „Id fecit cui prodest" („Ten uczynił lub powiedział to i to, komu to przyniosło korzyść"). Innymi słowy, ten dąży do pokoju (pomijając aspekt ideologiczny i moralny), w czyim interesie leży pokój, wojna natomiast, choćby tylko „konwencjonalna" oraz samo przygotowanie do niej, stanowi dla niego niepożądane obciążenie, grożące zahamowaniem rozwoju gospodarczego, nie może także pomnożyć zysków ekipy rządzącej. I przeciwnie — kto mógłby dzięki ewentualnej wojnie (gdyby jej wygranie było w ogóle możliwe) rozszerzyć dla swojego państwa rynki zbytu, dając tym samym szansę zwiększenia zysków wszystkim udziałowcom, komu nawet same zbrojenia zwiększają zatrudnienie i nakręcają koniunkturę gospodarczą? Udzielenie odpowiedzi na te retoryczne pytania byłoby zbyt żenujące dla piszącego, gdyż oznaczałoby kompletny brak szacunku dla zdolności poznawczych czytelnika...

„No dobrze" — powie ktoś — „Jeśli istotnie interes USA wymaga zbrojeń i stosowania szantażu wojennego, a nawet moralnej gotowości do zaatakowania przeciwnika, to żaden prezydent nie będzie mógł z oczywistych względów obrać kursu na całkowite rozbrojenie, a tym samym konflikt zbrojny między obu blokami i zagłada ludzkości są nieuniknione. Po co więc urządzać jałowe konferencje na najwyższym szczycie? Czy tylko po to, żeby wykazać światowej (zwłaszcza zachodniej) opinii publicznej, kto naprawdę jest za pokojem i rozbrojeniem?

To jednak byłoby, moim zdaniem, bardzo dużo, ponieważ mogłoby oznaczać w konsekwencji osłabienie wpływów kompleksu zbrojeniowo-militarnego USA na politykę prezydenta (tego lub jego następcy), zwłaszcza gdyby dał się przekonać ekspertom, że w tej wojnie nie byłoby zwycięzców...

Na szczęście został jeszcze wybór pomiędzy rozpaczą a nadzieją...

JERZY KWIECIŃSKI

Termin prenumeraty upływa

Przypominamy naszym PT Czytelnikom, że zbliża się czas odnowienia bądź rozpoczęcia prenumeraty naszego pisma. Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę na rok następny upływa 10 listopada.

Szczegóły w stopce redakcyjnej. Zapraszamy.

Prenumerata gwarantuje terminowe otrzymanie każdego numeru pisma.

W najbliższych numerach „Odgłosów"

Już niebawem w naszym tygodniku można będzie m. in. przeczytać:

— rozmowę z popularnym i kontrowersyjnym piosenkarzem Krzysztofem Krawczykiem, którą przeprowadził **Bohdan Gadomski;**

— ciekawy reportaż **Jolanty Wrońskiej** o niezwykłej kobiecie, która przez całe życie pomagała innym;

— artykuł **Marka Mamosa** o śladach starożytnych mieszkańców naszych ziem;

— rozmowę przeprowadzoną przez **Dariusza Dorożyńskiego** z zastępcą dyrektora łódzkiej delegatury Najwyższej Izby Kontroli;

— reportaż **Ryszarda Binkowskiego** o problemach hodowców ryb;

— pierwsze wrażenia **Marii Magdaleny Starzyckiej** z pobytu w Lizbonie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Tamte lata, tamte czasy

Fakty są w zasadzie znane. Wiele się dziś o nich pisze, gdyż od tamtych wydarzeń minęło 30 lat. W marcu 1954 roku odbył się II Zjazd PZPR. Była to próba dokonania zmian w polityce partii, które to zmiany miały zapobiec narastającemu kryzysowi. Była to próba przywrócenia leninowskich norm i zasad postępowania tak w partii, jak i w państwie. Uchwały II Zjazdu PZPR określiły też program poprawy sytuacji gospodarczej kraju. Zamierzenia te jednak nie znalazły takiej realizacji, jakiej się powszechnie spodziewano, jakiej oczekiwano. W listopadzie 1954 roku odbyła się pamiętna i wielekroć opisywana narada aktywu partyjnego, na której dokonano ostrej krytyki dotychczasowej polityki partii, metod kierowania pracą partii i państwa. W styczniu 1955 roku odbyły się obrady III Plenum KC PZPR, na którym ujawniono przypadki poważnego naruszenia praworządności socjalistycznej. Ale znów za słowami nie poszły czyny w takiej mierze, jak tego oczekiwano.

W lutym 1956 roku obradował XX Zjazd KPZR, który ujawnił błędy i wypaczenia okresu kultu jednostki i określił nową linię partii zmierzającą do przywrócenia leninowskich norm postepowania w ZSRR i KPZR. 12 marca 1956 roku zmarł w Moskwie Bolesław Bierut. Kryzys polityczny w Polsce wchodził w swoje najostrzejsze stadium. 20 marca 1956 roku odbyło się VI Plenum KC PZPR, na którym wybrano I sekretarza Edwarda Ochaba, a Jerzy Albrecht i Edward Gierek zostali sekretarzami KC.

W miejsce Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego powołano Komitet do spraw Bezpieczeństwa Publicznego, a 30 marca 1956 roku, Edmund Pszczółkowski stanął na jego czele. Komitet ten działał tylko do 13 listopada 1956 roku, a następnie jego funkcje przejęło Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

27 kwietnia 1956 roku Sejm PRL uchwalił ustawę o amnestii, na podstawie której więzienia opuściło około 35 tysięcy osób, w tym 5.847 osób skazanych lub tylko podejrzanych o przestępstwa polityczne. Wielu skazano na podstawie fałszywych lub wymuszonych zeznań.

28 czerwca 1956 roku doszło w Poznaniu do tragicznych wydarzeń, padli zabici, byli ranni. Spokój w mieście przywróciło wojsko.

Od 18 do 28 lipca 1956 roku obradowało VII Plenum KC PZPR. Podjęło ono decyzje o naprawieniu krzywd ludziom, którzy ucierpieli na skutek naruszenia praworządności. Zapowiadało też dalsze zmiany w polityce wewnętrznej, które miały zapobiec narastającemu kryzysowi. W skład Biura Politycznego KC PZPR wybrani zostali: Edward Gierek, Roman Nowak i Adam Rapacki. Witold Jarosiński został sekretarzem KC.

5 sierpnia 1956 roku opublikowano komunikat KC PZPR o uchyleniu zarzutów politycznych wobec Władysława Gomułki, Mariana Spychalskiego i Zenona Kliszki wysunięte na III Plenum KC PZPR w listopadzie 1949 roku, a zwanych w skrócie odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym.

19 października 1956 roku rozpoczęły się obrady VIII Plenum KC PZPR, na którym referat wygłosił Władysław Gomułka i na którym został wybrany I sekretarzem KC PZPR. W dziejach Polski zakończył się jeden okres, rozpoczął się drugi...

Rozwiązany na VIII Plenum KC PZPR w październiku 1956 roku

KRYZYS NARASTAŁ LATAMI

Złożyło się na to wiele licznych i bardzo różnych przyczyn. Na ogół — przy okazji różnych rocznic — zajmujemy się oceną wydarzeń zmierzających do rozwiązania kryzysu, mniej uwagi poświęcamy jego przyczynom i źródłom.

Na IX Plenum KC PZPR Władysław Gomułka w referacie odniósł się w pewnym stopniu do tych przyczyn. Mówił on wówczas:

„Związek Radziecki był pierwszym na świecie krajem, gdzie dokonała się rewolucja socjalistyczna. (...) Przez długie lata był jedynym krajem socjalistycznym. Dochodziło do tego wielkie zacofanie gospodarcze, które odziedziczył po carskiej Rosji, i wielkie spustoszenie kraju wynikłe z udziału Rosji w pierwszej wojnie światowej oraz spowodowane wojną domową i interwencją imperialistyczną. Jednocześnie Związek Radziecki musiał się maksymalnie śpieszyć z rozbudową sił wytwórczych, ciężkiego przemysłu i przebudową gospodarki rolnej, gdyż w perspektywie wisiała groźba interwencji wojennej. Wymagało to i jeszcze dziś w pewnym stopniu wymaga, aby naród budujący nowy ustrój społeczny pracował więcej dla przyszłych pokoleń niż dla siebie. Natura człowieka jest zaś taka, że o przyszłe pokolenia człowiek nie bardzo się martwi, natomiast więcej myśli o sobie, o własnym życiu. Długofalowe interesy socjalizmu muszą wtedy stawać w pewnej kolizji z bieżącymi interesami człowieka.

Czy w takich warunkach droga do socjalizmu w Związku Radzieckim mogła nie być drogą cierniową? Czy formy dyktatury proletariatu mogły wówczas oznaczać i wyrażać szeroką demokrację dla mas pracujących? Czy szczytne hasła socjalizmu mogły znajdować w pełni swój odpowiednik w życiu? Jasne, że nie. Chcąc budować socjalizm trzeba było stosować w szerokiej skali środki przemocy".

Takie były obiektywne historyczne warunki. Inna sprawa, czy musiały one doprowadzić do łamania prawa i słynnych fałszywych procesów, do fałszywego oskarżenia Komunistycznej Partii Polski i likwidacji wielu zasłużonych i oddanych komunistów?

W Związku Radzieckim na XVI Zjeździe WKP(b) Józef Stalin w referacie sprawozdawczym sformułował tezę o zaostrzającej się walce klasowej w miarę postępu budownictwa socjalistycznego.

„Partia nasza — mówił Józef Stalin — żyje i działa nie w próżni. Żyje ona i działa w samym gąszczu życia, podlegając wpływowi otaczającego środowiska. A środowisko składa się u nas, jak wiadomo, z różnych klas i grup społecznych. Przedsięwzięliśmy rozwiniętą ofensywę przeciw elementom kapitalistycznym, posunęliśmy daleko naprzód nasz socjalistyczny przemysł, rozwinęliśmy budownictwo sowchozów i kołchozów. Ale takie zjawiska nie mogą nie godzić w klasy wyzyskiwaczy. Zjawiska te idą zwykle w parze z ruiną ginących klas, z ruiną kułactwa na wsi, ze zwężeniem terenu działalności drobnomieszczańskich warstw w mieście. Rozumie się, że wszystko nie może nie zaostrzyć walki klas i oporu stawianego przez ginące klasy polityce Władzy Radzieckiej".

Jeszcze dobitniej sformułował tę tezę w styczniu 1933 roku w referacie omawiającym wyniki pierwszej pięciolatki. Wtedy Józef Stalin powiedział:

„Zniesienie klas daje się osiągnąć nie w drodze wygasania walki klasowej, lecz w drodze jej wzmożenia".

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych na licznych zebraniach i naradach wygłaszane referaty zaczynały się od słów:

PO DRUGIEJ WOJNIE ŚWIAT PODZIELIŁ SIĘ NA DWA OBOZY

Zawierała się w tych słowach istotna prawda. Ale jej natrętne i bezmyślne powtarzanie dewaluowało zawartą tam treść i po październiku 1956 roku sformułowanie to było wyśmiewane przez satyryków.

W wyniku wojny w wielu krajach Europy i Azji siły lewicy zyskały sobie poparcie mas. Stawały one na czele walki z najeźdźcami hitlerowskimi, włoskimi czy japońskimi. Rozpadał się system kolonialny, w koloniach rozpoczynał się długi i skomplikowany proces usamodzielniania się i wyzwalania. W krajach Europy Wschodniej, we Francji i Włoszech komuniści weszli w skład rządów. W Europie Wschodniej formował się blok państw — jak wówczas określano — demokracji ludowej, które nie bez trudności i zahamowań a niejednokrotnie w ogniu walki bratobójczej wchodziły na drogę przemian socjalistycznych.

Koalicja antyfaszystowska, którą łączyła wspólna walka z Niemcami hitlerowskimi, faszystowskimi Włochami i Japonią, zaczynała się rozpadać. Cel został osiągnięty. Przyszły kształt Europy, Azji i świata inaczej sobie jednak wyobrażano w Moskwie, Waszyngtonie, Londynie i Paryżu.

Winston Churchill — stojący już na czele „gabinetu cieni" — po konsultacji w Białym Domu z Harry Trumanem i w jego towarzystwie, udał się do Fulton w stanie rodzinnym prezydenta USA Missouri, gdzie 5 marca 1946 roku wygłosił w Westminster College słynne przemówienie, określane powszechnie jako początek „zimnej wojny". Wezwał on wówczas kraje zachodnie — głównie USA i Wielką Brytanię — do połączenia się i otoczenia ZSRR oraz krajów wschodnich, które znajdują się za „żelazną kurtyną" i stanowią zagrożenie dla państw zachodniej cywilizacji. *„Bóg tak chciał"* — powiedział Winston Churchill — i dał USA bombę atomową. Można zatem wypędzić komunistów z Europy Wschodniej.

1 i 24 lipca 1946 roku na Atolu Bikini dokonano dwóch wybuchów bomb atomowych. 6 września 1946 roku amerykański sekretarz stanu James F. Byrnes wygłosił przemówienie w Stuttgarcie, gdzie zapowiedział pozostawienie wojsk amerykańskich w Niemczech oraz zapewnił, że USA stoją na stanowisku, aby granicę z Polską określić dopiero na konferencji pokojowej. Wypowiedział się też przeciwko prawom Francji do Saary. *„Wuj Sam ucałował Germanię z dubeltówki"* — określiła to stanowisko Jamesa F. Byrnesa prasa francuska.

Rozpoczął się proces rozbijania Niemiec. Powstały Bizonia i Trizonia z połączenia stref okupacyjnych amerykańskiej, brytyjskiej i francuskiej. W czerwcu 1947 roku ogłoszono plan George'a Marshalla — sekretarza stanu USA, który to plan poddał ostrej krytyce minister spraw zagranicznych ZSRR — Wiaczesław Mołotow. Miało to miejsce na sesji Rady Ministrów Spraw Zagranicznych w Paryżu 2 sierpnia 1947 roku.

W maju 1947 roku komuniści odeszli z rządów Francji i Włoch. Narastało napięcie w stosunkach międzynarodowych. Podział świata, a w tym i podział Niemiec stały się faktem. I ten fakt zadecydował o tempie, kierunku i rodzaju rozwoju społecznego i politycznego całego obozu socjalistycznego.

Na wspomnianym już IX Plenum KC PZPR, które odbyło się 13 maja 1957 roku, Władysław Gomułka powiedział między innymi:

„W konsekwencji swojej drogi do socjalizmu Związek Radziecki stał się wielkim mocarstwem socjalistycznym i zaważył decydująco na dalszym rozwoju historycznym ludzkości.

Wynika z tego wniosek drugi: te wielkie trudności, jakie leżały na drodze, którą kroczył Związek Radziecki do socjalizmu, nie są koniecznością dla innych narodów, które budują lub będą budować socjalizm, chociaż każdy kraj napotyka na swojej drodze różne trudności w budowie socjalizmu.

Nie są koniecznością po pierwsze dlatego, że szereg krajów wystartowało lub będzie startować do socjalizmu w oparciu o stosunkowo silniejszą bazę produkcyjną, niż miała ją przed rewolucją Rosja carska. Po drugie — dlatego że w związku z układem sił klasowych w skali światowej kraje te mogą przyjąć słabsze tempo tak w rozbudowie swoich sił produkcyjnych, jak też w budownictwie socjalizmu, szczególnie na wsi. I wreszcie po trzecie — dlatego, że każdy kraj budujący socjalizm nie jest już zdany wyłącznie na własne siły, jak był zdany Związek Radziecki, lecz może korzystać i korzysta z pomocy innych krajów socjalistycznych. (...)

Każdy naród, niezależnie od tego, że uczestniczy w ogólnym rozwoju historycznym, że kształtuje ten rozwój i jest przezeń kształtowany — posiada własną specyfikę rozwojową, odrębną historię, posiada własne ukształtowane przez swoją historię cechy i własne narodowe oblicze. Tego faktu nie da się bezkarnie obejść, przekreślić przy budownictwie socjalizmu w każdym kraju".

Ale wnioski takie można było sformułować dopiero w 1957 roku, po wszystkich wydarzeniach, jakie miały miejsce w końcu lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych. Natomiast w tamtym czasie, gdy zaostrzała się walka z kapitalizmem, gdy kraje burżuazyjne, stawiając sobie inne cele, dokonały rozłamu w koalicji antyhitlerowskiej, wówczas obawiano się, że różnorodność dróg do socjalizmu, uwzględnianie historycznych warunków każdego kraju i narodu, szukanie własnych rozwiązań osłabi jedność obozu socjalistycznego, może doprowadzić do jego rozpadu. Zresztą przykładem takiego niebezpieczeństwa była Jugosławia, która na Bałkanach wyrastała na silny ośrodek ruchu komunistycznego, a która kierowała się własnymi koncepcjami, nie zawsze zgodnymi z radzieckimi rozwiązaniami.

Trzeba też pamiętać, że Związek Radziecki musiał odbudować ogromne zniszczenia wojenne, podobnie zresztą jak i inne kraje demokracji ludowej. Przedwojenny poziom produkcji przekroczył ZSRR w 1948 roku. W grudniu 1946 roku zakończono w ZSRR przestawianie przemysłu na pokojową produkcję. W 1947 roku w ZSRR było mniej traktorów niż w 1940 roku. Odbudowa zniszczeń szybko postępowała naprzód, ale potrzeby były ogromne. Latem 1946 roku Ukrainę, Mołdawię i Powołże nawiedziła ogromna susza, tak że do końca 1947 roku trzeba było utrzymać żywność dzieloną wedle systemu kartkowego. W marcu 1947 roku odbudowano pierwszy agregat elektrowni wodnej na Dnieprze. Jednocześnie z odbudową zniszczeń Związek Radziecki musiał rozwijać swój potencjał obronny. We wrześniu 1949 roku TASS nadała komunikat o pomyślnym przeprowadzeniu doświadczalnego wybuchu bomby atomowej. Było to poważne zaskoczenie dla świata. Specjaliści liczyli, że Związek Radziecki będzie zdolny do takiego doświadczalnego wybuchu dopiero w 1952 roku.

Konflikt między ZSRR i Jugosławią wpłynął negatywnie na walkę partyzantów greckich generała Vafiadisa Markosa. W 1949 roku ponieśli oni klęskę. Wprowadzenie osobnej waluty dla Trizonii spowodowało blokadę Berlina Zachodniego. Podział Niemiec stał się trwały. Powstała NRD i RFN. W marcu 1949 roku podpisano Pakt Atlantycki. Podział świata utrwalił się. Powstały pakty wojskowe: NATO i Układ Warszawski.

W czerwcu 1950 roku wybuchła wojna w Korei. 25 września Amerykanie wysadzili desant w porcie Inczhon — 25 km od Seulu, odrzucili wojska północnokoreańskie aż pod granicę z Chińską Republiką Ludową. 25 października 1950 roku ochotnicy chińscy przekroczyli rzekę Jalu. Trzecia wojna światowa wisiała na włosku.

Wszystkie te wydarzenia miały wpływ na charakter i tempo przemian nie tylko w Polsce.

„W połowie 1948 r. — stwierdza się w „Sprawozdaniu z prac Komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej" — *została gwałtownie i w sposób zaskakujący partię przeprowadzona daleko idąca zmiana w linii politycznej PPR. Istotą tej zmiany — którą poprzedził kryzys w kierownictwie partii — był zwrot o charakterze dogmatyczno-sekciarskim. Wyrażał się on w odejściu od dotychczasowych koncepcji i form stopniowej socjalistycznej przebudowy struktur politycznych i społeczno-gospodarczych oraz w dużym, woluntarystycznie założonym przyśpieszeniu tempa przebudowy, przy znacznym udziale środków przymusu pozaekonomicznego".*

Historycy są skłonni uważać, że:

W 1948 ROKU ZAKOŃCZYŁA SIĘ WALKA O UTRWALENIE WŁADZY LUDOWEJ

Odpowiada to prawdzie, ale wcale nie oznacza, że walka ta zakończyła się całkowicie. Walka z bandami — jak to się zwykło nazywać — trwała w zasadzie do 1957 roku. 4 marca 1957 roku została zlikwidowana banda „Ryby". Były to *„bandy o zabarwieniu politycznym"* lub *„bandy wywodzące się z politycznego podziemia"*. Działały one głównie w województwach: warszawskim, białostockim, częściowo w województwie lubelskim, w mniejszym stopniu w województwach krakowskim, kieleckim i rzeszowskim.

W działaniu band z lat 1940 — 1951 można dostrzec pewne prawidłowości. W miarę zaostrzania się sytuacji międzynarodowej czy wewnętrznej, w miarę pojawiania się trudności rosła ilość band i ich liczebność. Poza tym nie były to działania tajne, budziły one zainteresowanie ludzi w rejonie działania band, a to zainteresowanie miało wyraźnie charakter polityczny. Trudno było z faktami tymi nie liczyć się w jakiejkolwiek działalności politycznej.

W latach 1948—1950 powstało 398 nowych band, przez które przeszło około 2.500 ludzi. Byli to często ludzie, którzy działali w podziemiu w poprzednich latach, ujawnili się i znów powrócili do działania w podziemiu. Byli to ludzie, którzy kryli się przed władzami. Byli to też ludzie, którzy od działalności o znamionach politycznych przeszli do działalności typowo bandyckiej. Bandy te cieszyły się cichym poparciem pewnej części ludności bądź tylko tolerancją. Ale zdarzały się też wypadki pomocy władzom, wojskom KBW i milicji w zwalczaniu band. We wrześniu 1949 roku przez północną Polskę przedzierała się na Zachód czteroosobowa grupa litewskich nacjonalistów „Sowpycha". Ludność informowała wojsko o trasie przemarszu tej grupy. Ujęto ją w Elblągu w nocy z 26 na 27 września 1949 roku.

W walce z bandami angażowano duże siły KBW, milicji i UB. W stosunkowo spokojnym roku 1950 około 3.400 żołnierzy KBW wzięło udział w 4.833 działaniach taktycznych. W 1949 roku poległo w walce 30 żołnierzy KBW, w 1950 — 10, a w 1951 — 16 żołnierzy KBW. W 1952 roku poległo w walce lub zmarło od ran 7 żołnierzy KBW, a w 1953 roku — 4. W tych dwóch — wydawałoby się spokojnych już latach — poległo 11 żołnierzy: 4 w województwie białostockim, po dwóch w lubelskim i jeleniogórskim, po jednym w rejonie Bielska-Białej i Rzeszowa. Ta „geografia śmierci" pokazuje wyraźnie, gdzie w tym czasie było jeszcze niespokojnie, gdzie toczyła się walka.

Walka ta wygasała, ale doświadczenia lat poprzednich wskazywały, że pod wpływem napięć w sytuacji międzynarodowej lub wewnętrznej może się nasilać. Stąd nie żałowano sił w zwalczaniu bandytyzmu. W 1953 roku wojska KBW przeprowadziły jeszcze 1.564 działania taktyczne przy użyciu około 120 żołnierzy, w czwartym kwartale 1954 roku do działań takich użyto tylko 31 żołnierzy. W 1955 roku w Polsce było jeszcze 18 band liczących 54 osoby i 36 pojedynczo działających bandytów. Dokonali oni 755 napadów, ale tylko 33 miały wyraźnie polityczny charakter.

Fakty te nie mogły pozostać bez żadnego wpływu na kierownictwo państwa i partii, zważywszy, że przecież w tym czasie ciągle aktualna była teza o zaostrzającej się walce klasowej w miarę postępu budownictwa socjalistycznego. Istnienie i działanie band, tolerancyjny stosunek do nich części ludności, rodziły podejrzliwość, doszukiwanie się wszędzie sabotażu i nieustanny pościg za wrogiem, potwierdzały niejako tezę o ciągłych knowaniach wroga. A poza tym wróg nie był bezczynny. Nadsyłał nad Polskę balony z ulotkami, podrzucał szpiegów, wykorzystywał chętnie tych, którzy uciekli na Zachód, dla siania fermentu w kraju. Przy każdej okazji dyskredytował wszelkie niepowodzenia budującego socjalizm społeczeństwa i nierozważne posunięcia władz.

A przecież

MIMO TYCH NIEDOSKONAŁOŚCI

budownictwo socjalizmu w Polsce przyniosło wiele poważnych osiągnięć. Syntetycznie ujmuje to wspomniane już „Sprawozdanie".

„W wyniku planu 6-letniego zmieniła się struktura gałęziowa przemysłu, powstał przemysł motoryzacyjny i okrętowy, znacznie rozwinęły się inne, m. in. hutnictwo żelaza i stali oraz przemysł chemiczny. Zbudowano ponad 500 dużych obiektów przemysłowych. (...)

Zmieniła się mapa kraju. Zaktywizowano gospodarczo regiony dotychczas zaliczane do tzw. Polski B. Rozwinęło się wiele ośrodków miejskich, znaczące postępy poczyniła urbanizacja kraju. Odbudowano zniszczoną Warszawę oraz wiele innych miast. (...)

Rewolucyjne wręcz efekty osiągnięto w dziedzinie oświaty, kultury i nauki. Ich wyznacznikami była przede wszystkim likwidacja analfabetyzmu, wielki rozwój czytelnictwa, m. in. dzięki taniej książce, powszechne udostępnienie wielu dóbr kultury, m. in. poprzez budowę szerokiej sieci kin i domów kultury, elektryfikację i radiofonizację kraju, popieranie uczestnictwa w masowej działalności kulturalnej i twórczości ludowej. Wielkiej rozbudowie uległ system szkolnictwa wszystkich typów, internaty i domy studenta. (...)

Osiągnięcia 6-latki stały się trwałym elementem w świadomości społeczeństwa".

Ale okres ten przyniósł też z sobą błędy, wypaczenia, łamanie praworządności. Stopniowo, coraz silniej narastał kryzys...

Czasy nadziei i rozczarowań (23)

Jak doszło do wprowadzenia stanu wojennego?

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI

Posiedzenie KK zakończyło się na krótko przed północą. Jego uczestnicy opuścili Stocznię wiedząc, że połączenia telefoniczne i teleksowe już nie działają. Wałęsa powiedział, że „dopiero rano odblokują, może nie". Od kilku uczestników posiedzenia wiem, że pod koniec obrad na sali panowała już pewna nerwowość, mówiono, że coś wisi w powietrzu, że w mieście wyczuwa się jakiś niepokój. Po zakończeniu obrad grupka działaczy zatrzymała się na chwilę przed bramą Stoczni. Był wśród nich także Kuroń. Odezwały się głosy wyrażające zaniepokojenie przerwaniem połączenia telefonicznego między Gdańskiem a resztą kraju. Na to Kuroń miał powiedzieć: Nie przejmujcie się. Oni są zbyt słabi, by mogli coś zrobić. Chodźcie do mnie na drinka...

— *I tak to zbliżyliśmy się do końca naszej rozmowy, a więc i do dnia, który pozostanie na trwałe w historii Polski. Wiele już powiedziano i napisano o 13 grudnia, ale na pewno nie tylko w nas pozostałoby jakieś uczucie niedosytu, gdybyśmy nie usłyszeli od Ciebie, o czym myślałeś w tym dniu, czym się zajmowałeś itd., itd.*

Mimo że od tego dnia upłynęło już kilka lat bogatych w wydarzenia mniej lub bardziej ważne dla teraźniejszości i przyszłości socjalizmu w Polsce, nie potrafię myśleć o tej dacie chłodno, beznamiętnie. Tkwi ona we mnie i tak już chyba pozostanie, co oczywiście nie oznacza, że myślę tylko o przeszłości. Staram się koncentrować swą uwagę na przyszłości, ale to, co wówczas przeżywałem, było zbyt ważne, zbyt dramatyczne, abym mógł powiedzieć, że jest to już zamknięty rozdział historii, do którego nie powracam.

Decyzję o konieczności wprowadzenia stanu wojennego przyjąłem spokojnie, z pełnym zrozumieniem. Sądzę, że to, co powiedziałem, nie jest niczym zaskakującym. Wszak wspominałem już, że jesienią 1981 roku przypatrując się gwałtownie pogarszającej się sytuacji gospodarczej i politycznej coraz częściej dochodziłem do wniosku, że wszystkie nasze poczynania zmierzające do osiągnięcia porozumienia z przywódcami „Solidarności", skazane są na niepowodzenie. W związku z tym, utwierdzałem się w przekonaniu, że sięgnięcie po środki nadzwyczajne będzie konieczne(...).

— *Kiedy dowiedziałeś się, że stan wojenny zostanie wprowadzony o północy z dwunastego na trzynastego grudnia?*

11 grudnia, w południe poprosił mnie szef rządu i poinformował, że zbliża się dzień, w którym konieczne stanie się sięgnięcie po środek ostateczny. W związku z tym polecił mi, abym zainteresował się zapasowym punktem telewizyjnym, z którego 13 grudnia nadane zostało jego wystąpienie. O dniu i godzinie wprowadzenia stanu wojennego zostałem poinformowany w południe 12 grudnia, wkrótce po podjęciu decyzji. Pozostawała ona w ścisłym związku z przebiegiem posiedzenia Komisji Krajowej. Z napięciem oczekiwaliśmy przebiegu obrad. Po pierwszym dniu było już wiadome, że przywódcy Związku nie odstąpili od awanturniczego kursu, który tak wyraziście zarysował się w Radomiu. W tej sytuacji bierność władz nie oznaczałaby nic innego, jak oczekiwanie na jakiś cud. A cud nie mógł się przecież zdarzyć. Natomiast zbliżała się złowieszcza data — siedemnasty grudzień, dzień, w którym w sercu Warszawy miała się odbyć wielesettysięczna manifestacja.

Wieczorem tego dnia, a była to sobota, musiałem rozstrzygnąć pewien dylemat dotyczący mojego życia prywatnego. W końcu listopada, jeden z naszych przyjaciół, lekarz, który 14 grudnia miał wylecieć do Libii, zaprosił nas właśnie na sobotę, 12 grudnia na pożegnalną kolację. Zastanawiałem się, co w tej sytuacji powinienem zrobić. Nie pójść? Nie znajdowałem żadnego przekonywającego uzasadnienia dla odmowy. I jak to wytłumaczyć żonie? Postanowiłem więc pójść. Było dużo ludzi i, jak to w tych czasach bywało, głównym tematem rozmów była polityka. Nie byłem w tym dniu skory do rozmów. O 23 powiedziałem gospodarzowi wieczoru, że muszę jeszcze wrócić do pracy. Żona była już wcześniej uprzedzona, że mam jeszcze coś do zrobienia w biurze. Jest oczywiste, że o niczym nie wiedziała. Tak więc noc z 12 na 13 grudnia spędziłem w gmachu Urzędu Rady Ministrów, częściowo w moim gabinecie, częściowo w innych. Jakkolwiek tej nocy nie miałem już prawie żadnych zadań do wykonania, to uważałem, że powinienem ją spędzić w gronie najbliższych współpracowników, a także być gotowym na każde zawołanie szefa rządu.

Krótko po północy odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Rady Państwa. Otwierając posiedzenie, przewodniczący Rady Państwa zapoznał jej członków z pismem Prezesa Rady Ministrów informującym o powstałej szczególnej sytuacji zagrażającej żywotnym interesom państwa i narodu oraz wnoszącym o rozpatrzenie i podjęcie w trybie artykułu 33 ustęp 2 Konstytucji PRL:

1) uchwały w sprawie wprowadzenia stanu wojennego ze względu na bezpieczeństwo państwa, 2) dekretu o stanie wojennym, 3) dekretu o przekazaniu do właściwości sądów wojskowych spraw o niektóre przestępstwa oraz o zmianie ustroju sądów wojskowych i wojskowych jednostek organizacyjnych Prokuratury PRL w czasie obowiązywania stanu wojennego, 4) dekretu o postępowaniach szczególnych w sprawach o przestępstwa i wykroczenia w czasie obowiązywania stanu wojennego i 5) dekretu o przebaczeniu i puszczeniu w niepamięć niektórych przestępstw i wykroczeń. Wszystkie te sprawy referował Sekretarz Komitetu Obrony Kraju, generał broni Tadeusz Tuczapski. Po udzieleniu przez naczelnego prokuratora wojskowego, gen. J. Szewczyka, i podsekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, T. Skóry, odpowiedzi na zgłoszone przez członków Rady Państwa pytania, Rada Państwa uchwaliła dekrety w przedstawionym przez Prezesa Rady Ministrów brzmieniu. Odrębne stanowisko zajął Reiff. Jan Szczepański stwierdził, że nie mając możności dokładnego zapoznania się z projektami dekretów, nie wypowiada się za nimi, lecz nie zgłasza także sprzeciwu. Po posiedzeniu Rady Państwa, zastępca przewodniczącego Tadeusz W. Młyńczak, sekretarz, Edward Duda oraz członkowie Józef Ozga Michalski, Henryk Szafrański i Stanisław Wroński, którzy nie zdążyli przybyć na posiedzenie, zaaprobowali decyzje podjęte przez Radę Państwa. O przyjęciu dekretów zostałem poinformowany telefonicznie przez szefa rządu.

— *Liczba przyjętych dekretów, a nie były to przecież niewiele znaczące świstki papieru, wskazuje, że rząd, w którym pełniłeś funkcje wicepremiera, musiał od dawna przygotowywać się do wprowadzenia stanu wojennego.*

Domyślam się, że za tym pytaniem kryje się następujące rozumowanie: mówiliście o porozumieniu, partnerstwie itp., a w cichości i skrytości przygotowywaliście wprowadzenie stanu wojennego. Spotykałem się z takim rozumowaniem w minionych kilku latach niejednokrotnie i sądzę, że sprawa ta wymaga wyjaśnienia. Otóż jest rzeczą oczywistą, że państwo, nie tylko nasze, musi być przygotowane na każdą okoliczność. Tak na przykład, mimo że już ponad czterdzieści lat żyjemy w warunkach pokoju, państwo posiada rezerwy państwowe stale odnawiane i utrzymywane na pewnym poziomie, które stanowią ważne zaplecze dla gospodarki na wypadek wybuchu wojny. Siły zbrojne posiadają także stale odnawiane plany mobilizacyjne. Podobnie rzecz się przedstawia z planami dotyczącymi wprowadzenia stanu wyjątkowego bądź też wojennego. Trudno sobie wyobrazić, aby jakikolwiek rząd po dojściu do wniosku, że z takich czy innych przyczyn konieczne jest zastosowanie środków nadzwyczajnych, zwoływał prawników i polecał im w ciągu jednego dnia opracowanie odpowiednich dekretów. Są to sprawy zbyt poważne, tkwi w nich tysiące szczegółów, a więc jest rzeczą oczywistą, że nie mogą być załatwiane „na kolanie". Wypracowanie koncepcji wprowadzenia stanu wojennego w postaci odpowiednich dokumentów, spoczywających w kasie pancernej, w niczym nie podważa wiarygodności polityki nastawionej na osiągnięcie porozumienia, realizowanej przez partię i rząd w 1981 roku. Dekrety uchwalone przez Radę Państwa zostały wyciągnięte z sejfów dopiero w chwili, gdy okazało się, że linia polityczna przyjęta przez IX Zjazd, środki i metody jej właściwe nie są w stanie położyć kresu złowieszczym procesom destrukcji gospodarki i życia społecznego. Na tej samej zasadzie zostały w odpowiedniej chwili uruchomione jednostki Ludowego Wojska Polskiego i siły podległe MSW. Jest oczywiste, że one również dysponowały wcześniej przygotowanym planem działania.

— *Zastanawiamy się, i nie tylko my, nad Twoją rolą w wydarzeniach, jakie miały miejsce w naszym kraju, w 1981 roku. W szerokich kołach opinii publicznej uchodzisz za tego, który pognębił „Solidarność". Wielu ludzi uważa, że byłeś zawziętym przeciwnikiem Związku. Zarzuca ci się, że byłeś zbyt brutalny w negocjacjach z przedstawicielami „Solidarności", że nie chciałeś zrozumieć ich racji, kreśliłeś ponure wizje, w gruncie rzeczy szantażowałeś nimi swoich rozmówców itp.*

Ocenę roli, jaką odegrałem w tamtym okresie, pozostawiam wszystkim tym, którzy amatorsko lub zawodowo zajmują się badaniem rozwoju wydarzeń w latach 1980/81. Jest oczywiste, że na swój prywatny użytek taką ocenę posiadam. Przecież każdy z nas coś niecoś wie o sobie, zna swoje słabe i mocne strony, przygląda się sobie i ocenia się na tle innych. Samoanaliza jest właściwa zarówno politykowi, jak robotnikowi czy uczonemu. Uchylając się od odpowiedzi na pierwsze zdanie postawionego mi pytania, chcę jedynie przypomnieć, że nie byłem solistą. Byłem członkiem rządu składającego się z kilkudziesięciu osób oraz członkiem jego Prezydium. Nie realizowałem jakiejś swojej polityki, lecz politykę wytyczoną przez uchwały Komitetu Centralnego PZPR. To rzecz jasna nie oznacza, że nie można mówić o moim osobistym wkładzie w sposób realizacji uchwał oraz zaleceń kierownictwa partii.

No, a teraz o gnębieniu „Solidarności" i innych wymienionych przez Was grzechach głównych. Prawdą jest, że byłem raczej surowym krytykiem wielu poczynań przywódców „Solidarności", krytycznie odnosiłem się do różnego rodzaju koncepcji i teoryjek przez nich głoszonych, ale od tego do pognębienia Związku, droga daleka. Wielomilionową organizację, wyposażoną w sztaby centralne i terenowe, w zespoły doradców, rozbudowaną propagandę, organizację zdolną do podrywania setek tysięcy ludzi, pognębił Rakowski! To brzmi humorystycznie. „Solidarność" pognębili przede wszystkim jej przywódcy, a także wszyscy ci, którzy nie chcieli lub nie potrafili powiedzieć im, że idą w złym kierunku. Nie byłem zawziętym przeciwnikiem Związku. Doskonale zdawałem sobie sprawę z przyczyn, które doprowadziły do masowych strajków w lipcu i sierpniu 1980 roku i do powstania „Solidarności". To prawda, że nie należałem do tych, którzy z miejsca wpadli w bezgraniczny zachwyt nad Wałęsą, głoszonymi przez Związek hasłami itp. Z ocenami wolałem zaczekać do pierwszych, widocznych, namacalnych efektów działania „Solidarności". Ale nawet wtedy, gdy już jako wicepremier odnotowywałem coraz więcej faktów, z których wynikało, że przywódcy Związku zaczęli tracić poczucie rzeczywistości, gdy wyraźnie zaczął zarysowywać się plan strategiczny nowej siły, starałem się oddzielać nadzieje i tęsknoty milionów robotników, członków „Solidarności", od oszalałych w swym zarozumialstwie i pysze przywódców i ich pomocników.

— *Plan strategiczny?*

Nie twierdzę, nie mam na to dowodów, że gdzieś w jakimś sejfie taki plan spoczywał, ale śledząc działalność zespołów przywódczych „Solidarności" nietrudno było dostrzec, że w pierwszych miesiącach swego istnienia dążyły one do zdobycia popularności przez wysunięcie całego pakietu żądań socjalnych (słynne wałęsówki, wolne soboty itp.). Potem przyszło uderzenie w kadrę, na bardzo szerokim froncie: nienawistny był każdy minister, dyrektor, publicysta, który bronił racji partii i rządu. Potem nadszedł trzeci etap — totalnej walki z władzą, na froncie politycznym i gospodarczym. Na froncie politycznym podjęto atak na partię i jej politykę, na nasze sojusze, nawiązano ścisłe związki z prawicowymi centralami związkowymi w Europie zachodniej i w USA. W gospodarce spowodowano rozregulowanie całego mechanizmu, niemal z premedytacją uderzano w najbardziej czułe jej miejsca(...).

No, ale powróćmy jeszcze do dnia poprzedzającego wprowadzenie stanu wojennego i pamiętnej nocy. O czym wówczas myślałem? Hm, to trudno opisać. Różne myśli kłębiły się w głowie. W tę najbardziej dramatyczną noc w moim życiu myślałem o miesiącach, jakie upłynęły od dnia nominacji na stanowisko wicepremiera. Uświadomiłem sobie, że żyłem w nieustannym napięciu psychicznym i fizycznym; było to życie w trybie przyspieszonym; niemal każdego dnia stawałem w obliczu wydarzeń zaskakujących, niecodziennych; musiałem podejmować decyzje w sprawach, z którymi przedtem nigdy się nie stykałem; musiałem prowadzić rozmowy z ludźmi ogłaszającymi urbi et orbi, że nam nie wierzą; uczyłem się sztuki zawierania kompromisów i mówienia. NIE. Nie ukrywam, że dziś, po latach, jakie upłynęły od tamtej nocy, nierzadko powracam do tych spraw i zadaję sobie pytanie, na ile moja ówczesna działalność była prawidłowa, na ile zaś ułomna, niedoskonała. Analizę dziesiątki i setki sytuacji pod kątem mojego intelektualnego i politycznego przygotowania do stawienia czoła problemom, z którymi się wówczas zetknąłem. Myślę, że te rozważania nie opuszczą mnie do końca życia.

Tamtej nocy dławiło mnie uczucie przegranej. Wiedziałem już, że linia polityczna realizowana przez ekipę, do której należałem, poniosła porażkę. Nazwałem swoje wyznania czasami nadziei i rozczarowań. Myślę, że powinienem tytuł skorygować, jak to radził mi jeden z czytelników pierwszej części, ponieważ były to czasy malejących nadziei i rosnących rozczarowań.

Mówię o sobie, ale byłem przecież tylko jednym z członków rządu, którym kierował generał Jaruzelski. To on przede wszystkim wziął na swoje barki największą, historyczną odpowiedzialność. Zarówno jego działalność w 1981 roku, jak i działalność rządu, którym kierował w tych trudnych miesiącach, będzie jeszcze wielokrotnie przedmiotem analiz, studiów itp. Przyszli historycy i politolodzy prześwietlą i opukają każdy dzień naszej działalności. Na pewno znajdą w tym, co robiliśmy, słabe miejsca, skrytykują nas za to i owo, ale jestem przekonany, że ostateczna ocena działalności rządu Jaruzelskiego w tym najtrudniejszym dla zwolenników socjalizmu okresie Polski Ludowej będzie pozytywna. Gdy namiętności ustąpią miejsca chłodnej analizie wydarzeń oraz ludzi, którzy je tworzyli, to okaże się, że rząd, do którego wówczas należałem i w imieniu którego prowadziłem negocjacje oraz odbywałem rozmowy z przywódcami „Solidarności", był rządem, który w nadzwyczaj trudnych warunkach społecznych, gospodarczych i politycznych uparcie dążył do zbudowania w Polsce pokoju społecznego; był rządem reformatorskim, był rządem, dla którego idea partnerskiego współżycia i współdziałania wszystkich patriotycznie myślących Polaków nie była hasłem propagandowym. I wreszcie, historycznym osiągnięciem rządu Jaruzelskiego pozostanie to, że śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie zawisło nad naszą Ojczyzną, potrafiliśmy oddalić własnymi siłami. To prawda, że trzeba było za to zapłacić cenę wcale niemałą, ale jaką cenę zapłacilibyśmy jako naród, gdyby nie powstrzymano rozhukanego żywiołu?

Do końca życia nie zapomnę także radiowo-telewizyjnego przemówienia generała Jaruzelskiego, które wygłosił 13 grudnia o szóstej nad ranem. Zarówno wówczas jak i dziś zawarte w nim treści zmuszają do zastanowienia się nad powikłanymi dziejami naszej Ojczyzny.

„Ojczyzna nasza — mówił generał — znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń, wzniesiony z popiołów polski dom uległ ruinie. Struktury państwa przestają działać. Gasnącej gospodarce zadawane są codziennie nowe ciosy. Warunki życia przytłaczają ludzi coraz większym ciężarem.

Przez każdy zakład pracy, przez wiele polskich domów, przebiegają linie bolesnych podziałów. Atmosfera nie kończących się konfliktów, nieporozumień, nienawiści — sieje spustoszenie psychiczne, kaleczy tradycje tolerancji. Strajki, gotowość strajkowa, akcje protestacyjne stały się normą. Wciąga się do nich nawet szkolną młodzież. Wczoraj wieczorem wiele budynków publicznych było okupowanych. Padają wezwania do fizycznej rozprawy z «czerwonymi», z ludźmi o odmiennych poglądach. Mnożą się wypadki terroru, pogróżek i samosądów moralnych, a także bezpośredniej przemocy.

Szeroko rozlewa się po kraju fala zuchwałych przestępstw, napadów i włamań. Rosną milionowe fortuny rekinów podziemia gospodarczego. Chaos i demoralizacja przybrały rozmiary klęski. Naród osiągnął granice wytrzymałości psychicznej. Wielu ludzi ogarnia rozpacz.

Już nie dni; lecz godziny przybliżają ogólnonarodową katastrofę. Historia oceni nasze działania. Nie obeszło się bez potknięć. Wyciągamy z nich wnioski. Przede wszystkim jednak minione miesiące były dla rządu czasem pracowitym, borykaniem się z ogromnymi trudnościami. Niestety, gospodarkę narodową uczyniono areną walki politycznej. Rozmyślne torpedowanie rządowych poczynań sprawiło, że efekty są niewspółmierne do włożonego wysiłku, do naszych zamierzeń. Nie można odmówić nam dobrej woli, umiaru, cierpliwości. Czasem było jej może za wiele. Nie można nie dostrzec okazywanego przez rząd poszanowania umów społecznych. Szliśmy nawet dalej. Inicjatywa wielkiego porozumienia narodowego zyskała poparcie milionów Polaków. Stworzyła szansę pogłębienia systemu ludowładztwa, rozszerzenia zakresu reform.

Te nadzieje zawiodły.

Przy wspólnym stole zabrakło kierownictwa «Solidarności». Słowa wypowiedziane w Radomiu, obrady w Gdańsku odsłoniły bez reszty prawdziwe zamiary jej przywódczych kręgów. Zamiary te potwierdza w skali masowej codzienna praktyka, narastająca agresywność ekstremistów, jawne dążenie do całkowitego rozbioru socjalistycznej polskiej państwowości.

Jak długo można czekać na otrzeźwienie? Jak długo ręka wyciągnięta do zgody ma się spotykać z zaciśniętą pięścią? Mówię to z ciężkim sercem i ogromną goryczą. W naszym kraju mogło być inaczej. Powinno być inaczej.

Dalsze trwanie obecnego stanu prowadziłoby nieuchronnie do katastrofy, do zupełnego chaosu, do nędzy i głodu.

W tej sytuacji bezczynność byłaby wobec narodu przestępstwem. Trzeba powiedzieć: dość!

Trzeba zapobiec, zagrodzić drogę konfrontacji, którą zapowiedzieli otwarcie przywódcy «Solidarności». Musimy to oznajmić właśnie dziś, kiedy znana jest bliska data masowych politycznych demonstracji, w tym również w centrum Warszawy, zwołanych w związku z rocznicą wydarzeń grudniowych. Tamta tragedia powtórzyć się nie może. Nie wolno, nie mamy prawa dopuścić, aby zapowiedziane demonstracje stały się iskrą, od której zapłonął może cały kraj. Instynkt samozachowawczy narodu musi dojść do głosu. Awanturnikom trzeba skrępować ręce, zanim wtrącą ojczyznę w otchłań bratobójczej walki.

Wielki jest ciężar odpowiedzialności, jaka spada na mnie w tym dramatycznym momencie polskiej historii. Obowiązkiem moim jest wziąć tę odpowiedzialność — chodzi o przyszłość Polski, o którą moje pokolenie walczyło na wszystkich frontach wojny i której oddało *najlepsze lata swego życia.*

Ogłaszam, że w dniu dzisiejszym ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego.

Rada Państwa, w zgodzie z postanowieniami Konstytucji, wprowadziła dziś o północy stan wojenny na obszarze całego kraju.

Chcę, aby wszyscy zrozumieli motywy i cele naszego działania. Nie zmierzamy do wojskowego zamachu, do wojskowej dyktatury. Naród ma w sobie dość siły, dość mądrości, aby rozwinąć sprawny, demokratyczny system socjalistycznych rządów. W takim systemie siły zbrojne będą mogły pozostawać tam, gdzie jest ich miejsce — w koszarach. Żadnego z polskich problemów nie można na dłuższą metę rozwiązać przemocą...

Odwołanie się do pomocy wojska może mieć i ma tylko charakter przejściowy, nadzwyczajny. Wojsko nie zastąpi normalnych mechanizmów socjalistycznej demokracji. Demokrację można jednak wdrażać i rozwijać tylko w państwie silnym i praworządnym. Anarchia jest zaprzeczeniem, jest wrogiem demokracji.

Jesteśmy tylko kroplą w strumieniu polskich dziejów. Składają się one nie tylko z chlubnych kart. Są w nich również karty ciemne: liberum veto, prywata, swary. W rezultacie — upadek i klęska. Ten tragiczny krąg trzeba kiedyś przerwać. Nie stać nas na kolejną powtórkę z historii...

Tak, jak nie ma odwrotu od socjalizmu, tak nie ma powrotu do błędnych metod i praktyk sprzed sierpnia 1980 roku. Podjęte dziś kroki służą zachowaniu podstawowych przesłanek socjalistycznej odnowy. Wszystkie doniosłe reformy będą kontynuowane w warunkach ładu, rzeczowej dyskusji i dyscypliny. Odnosi się to również do reformy gospodarczej.

Nie chcę składać obietnic. Przed nami trudny okres. Po to, aby jutro mogło być lepiej, dziś trzeba uznać twarde realia, zrozumieć konieczność wyrzeczeń.

Jedno chciałbym osiągnąć — spokój. Jest to podstawowy warunek, od którego zacząć się powinna lepsza przyszłość. Jesteśmy krajem suwerennym. Z tego kryzysu musimy więc wyjść o własnych siłach. Własnymi rękami musimy odsunąć zagrożenie. Historia nie przebaczyłaby obecnemu pokoleniu zaprzepaszczenia tej szansy.

Musimy położyć kres dalszej degradacji, jakiej ulega międzynarodowa pozycja naszego państwa. 36-milionowy kraj w sercu Europy nie może pozostawać w nieskończoność w upokarzającej roli petenta. Nie wolno nam nie dostrzegać, że znów odżywają szydercze opinie o «Rzeczypospolitej, co nierządem stoi». Trzeba uczynić wszystko, by opinie takie trafiały do lamusa historii...".

I tak otwarty został nowy rozdział w historii Polski Ludowej.

Tym odcinkiem kończymy druk fragmentów drugiej części książki Mieczysława F. Rakowskiego „Czasy nadziei i rozczarowań".

ze str. 1

LINGWISTYCZNEJ DĘTOLOGII

polegającej na tym, że wyrażenia mowy potocznej zastępuje się namaszczonym stylem biurokratyczno-prawnym. Nie chcę tu mówić o błędach językowych, które w pośpiesznej robocie dziennikarskiej zdarzają się wszędzie. Twierdzę natomiast, że także formalnie poprawny język wyraża ogólniejszą postawę piszącego, gdy o sprawach codziennych mówi on mową niecodzienną.

Czytywany przez robotników **„Express Ilustrowany"** informuje w jednym artykule iż „łodzianie preferowali wypoczynek na słońcu, w urlopowej scenerii", zaś w innym artykule, tegoż numeru iż „PZPN preferuje celność strzelecką" i dzięki temu gracze „zainkasowali punkt". Kiedy kierowcy kupują wódkę, **„Dziennik Łódzki"** napisze, że „ujawniono wypadki wykorzystywania pojazdów służbowych do zakupu wyrobów alkoholowych".

Istnieje chyba jakaś zmowa by nigdy nie pisać „w tym roku", ale zawsze „w roku bieżącym", nigdy „opłacalność", ale zawsze „rentowność", nigdy „pogoda" ale zawsze „aura", nie „deszcz", ale „opady atmosferyczne". Trucizna nazywana bywa zawsze „substancją toksyczną", która miast truć „wykazuje własności toksyczne". Każdy kłopot jest „poważną bolączką". „palto" nie jest już paltem, ale „okryciem zwierzchnim", szyje to okrycie już nie krawiec lecz rzemieślnik, a w końcu musimy mieć „środki płatnicze".

By nie poprzestać na śmiesznych przykładach wyprowadzimy dwa wnioski. Po pierwsze, **nie warto nadymać się gdy się pisze o pomidorach**. Po drugie, **słownictwo, składnia, język gazety mogłyby w jakiś sposób dawać nam do zrozumienia na jakiego czytelnika redakcja liczy.** Najgorsza byłaby sytuacja, gdy popołudniówka posługiwałaby się tą samą mową i tą samą argumentacją co poranny dziennik, a ten ostatni nie różniłby się językiem od gazety partyjnej. Oczywiście pierwsze strony gazet powstają pozalokalnie, w stolicy, z reguły pisze się tam o sprawach ważnych, więc w tonie podniosłym. Ale dalsze strony gazet mówiące o rzeczach najbliższych i zwyczajnych mogą posługiwać się językiem zindywidualizowanym. Chyba tylko **Łódzkie Wiadomości Dnia**, które z konieczności przytaczają wypowiedzi ludzi z ulicy, nie zatraciły umiejętności posługiwania się językiem potocznym. Choć zauważamy czasem, jak zwykły człowiek z ulicy widząc mikrofon i kamerę zaczyna gadać językiem wziętym z gazety właśnie; nie tylko sprzedawca, ale i kupujący rozprawiają o „masie towarowej". W sytuacji odmiennej niż gazety codzienne są **„Odgłosy"**, wielowątkowość zawartej tu publicystyki wpłynąć musi na pewną hybrydyczność języka: kolokwializmy felietonistów sąsiadują ze specjalistycznym słownictwem esejów; o radę tutaj trudniej.

Jeśli upieramy się przy komunikacyjnym ujęciu środków przekazu, to z tego punktu widzenia interesujące są wszelkie próby nawiązania kontaktu między dziennikarzem a czytelnikami, widzami, wszelkie sytuacje, w których dziennikarz ryzykuje

POKAZAĆ TWARZ

Przekazy masowe, gazeta czy telewizja z ich bez mała przemysłową produkcją treści, wciąż zagrożone są anonimowością, dzienniki „redaguje kolegium", w stopce redakcyjnej zamiast nazwisk pojawiają się stanowiska: sekretarz redakcji, zastępca naczelnego, **coraz więcej artykułów podpisywanych jest literką.**

W **„Dzienniku Łódzkim"** anonimowy charakter mają między innymi przeglądy prasy redaktora podpisującego się T—O oraz „Nie lubię poniedziałków".

Dlatego warto zauważyć każdy personalny gest dziennikarza ryzykującego osobistą opinią i postawą. O personalny kontakt łatwiej w telewizji. W **Łódzkich Wiadomościach Dnia** rozmawia z nami (może trochę w tonie mentorskim) redaktor naczelny **Andrzej Hampel**, są pogadanki **Wiesława Jażdżyńskiego**, charakter osobistej rozmowy podtrzymuje redaktor części interwencyjnej **Anna Orzechowska**, a wreszcie także publicystyka kulturalna miewa tu wyraz gustu personalnego.

Bodaj najwyraźniej pomysł dwustronnej rozmowy i udziału czytelników w redagowaniu gazety realizuje „Express czytelników". W **„Odgłosach"** zdarzają się komentarze redakcyjne, jest przegląd prasy i jest cała strona osobistych felietonów. Felietony owe są podpisane pseudonimami (z wyjątkiem Bogdy Madej), czy dlatego, że są żartobliwe? Historycznie rzecz biorąc błazen zabawiał dworzan w błazeńskiej czapce, ale nie zasłaniał twarzy, choć z reguły nie był urodziwy. Ważnym z naszego punktu widzenia gestem dialogu z czytelnikami są obszernie publikowane w **„Odgłosach"** listy, polemiki i uściślenia, także te nie najbardziej rozsądne.

A wreszcie cenne są wszystkie próby skojarzenia publicystyki gazetowej z realnym działaniem, podejmowane akcje gromadzenia społecznych pieniędzy na zacne cele, pobudzanie realnej aktywności środowiskowej. Idzie o to, by nie tylko informować o wydarzeniach, które już miały miejsce, ale by **wywoływać aktywność, rozbudzać zainteresowania imprezą kulturalną itd.** Publikatory są nie tylko źródłem informacji, waga dylematów etycznych w ich działaniu wywodzi się z faktu, że mogą one tworzyć „samorealizujące się proroctwa".

Ale o istocie środków przekazu nie decydują zabiegi stylizacyjne, koncepty redakcyjne, szata graficzna ani nawet język. Należałoby zacząć od fundamentalnego przeglądu treści pojawiających się w łódzkich publikatorach, może także od wyliczenia wątków nie pojawiających się tam nigdy, a dalej trzeba by przyjrzeć się metodom informowania o faktach, sposobom dyskutowania tych faktów itd. Trzeba by tu używać kategorii prawdy i fałszu. Oczywiście takiemu zadaniu nie podołam w impresyjnym, publicystycznym artykule. Z wielu możliwości wybieram tylko jedną, idąc za sugestią klasyka socjologii Stanisława Ossowskiego.

OJCZYZNA PRYWATNA

w jego ujęciu odwołuje się do patriotyzmu każdego z nas wyrażającego się osobistym stosunkiem do miejsca, środowiska, w którym spędziło się całe życie lub przynajmniej dzieciństwo. Prywatną ojczyznę można zestawić z ojczyzną ideologiczną — jedną ojczyzną całego narodu. Ojczyznę ideologiczną mamy wspólną, ale ojczyzny prywatne mogą mieszkańców różnych miast odróżniać. To co w lokalnych publikatorach tyczy całego społeczeństwa na ogół jest inspirowane bądź nawet redagowane ponadlokalnie. Problematyka tego rodzaju przeważa w naszych gazetach. Istotą publicystyki z dalszych stron gazet jest budowanie obrazu małej ojczyzny w każdym z nas. Otóż odnoszę wrażenie, że moja **prywatna ojczyzna jest nierównie rozleglejsza od tej, jaka opisywana jest na stronach łódzkich gazet.** Pejzażu mojej prywatnej ojczyzny nie zdoła wypełnić bez reszty najżywsza nawet, z temperamentem robiona publicystyka interwencyjna o kłopotach z kartkowymi zakupami, z remontem szkoły, o przeciekającym dachu, o karach za bimber, czy włamaniach, o dzieciach na koloniach itd. Takiej tematyki nazwijmy ją „mikrospołeczną" najwięcej jest w **„Expressie"**, **„Głosie Robotniczym"**, nieco mniej w **„Dzienniku"**.

Kiedy piszemy o społeczeństwie możemy pisać o wielkich grupach takich jak naród, klasa społeczna, partie; o średnich grupach jak zakład produkcyjny, stowarzyszenie i o najmniejszych, takich jak grupa sąsiedzka, rodzina itd. W publikatorach łódzkich (a pewnie także i w innych) pojawiają się albo interesy grupy największych, albo interweniuje się w sprawie kłopotów grup najmniejszych. Nieobecna jest natomiast, z wyjątkiem obrazu zakładów produkcyjnych, problematyka grup średniej wielkości, które są istotą wszelkiej organizacji społecznej i mechanizmu każdej demokracji. Obszernie w tym dziale przedstawiana jest tylko lokalna problematyka sportowa, która jak gdyby zastępuje całe bogactwo średnich grup.

Łódź jest miastem, w którym działa około 300 stowarzyszeń społecznych, w tym ponad 40 stowarzyszeń kulturalnych. W lokalnej prasie i w telewizji brak jednak krytycznej oceny bądź prób wsparcia tego fenomenu społecznego. Z reguły charakter lokalny ma informacja o wydarzeniach kulturalnych, chyba także w niedostatecznych proporcjach pojawiająca się w łódzkich publikatorach. Jest zastanawiające, że **„Dziennik Łódzki"** nie poświęca kulturze więcej miejsca niźli **„Express Ilustrowany"**. Lokalne grupy średniej wielkości to także środowiska twórcze; perypetie oraz pewna izolacja kwartalnika **„Osnowa"** wydają się tu wielce znaczące.

Lokalności nie rozumiem jako takiego patriotyzmu, który miary partykularne próbuje absolutyzować, przeciwnie na publikatorach łódzkich spoczywa obowiązek kojarzenia obrazu małej ojczyzny z kulturą narodową i europejską. Wbrew miejscowym koniunkturom warto wskazywać twórców i działaczy, którzy mają szansę ponadlokalną. Tutaj większe zobowiązania biorą na siebie **„Osnowa"**, lokalne radio, ŁWD, i **„Odgłosy"**, które w 5—10 proc. trafiają do obiegu ogólnopolskiego, mniejsze zaś gazety codzienne. Ale tematyka średnich grup społecznych, to przede wszystkim refleksja nad społecznym ruchem samorządowym. Czy często pojawiają się problemowe artykuły o działaniu, osiągnięciach i konfliktach samorządów lokalnych? Także ruch samorządów zakładowych dostrzegany jest raczej przez pryzmat makrostruktury: związki zawodowe, partie, PRON, bądź utożsamiany jest z problematyką produkcyjną.

Wreszcie troska o małą ojczyznę, to także troska o miejscowy krajobraz, o środowisko przyrodnicze i urodę miejsca. W lokalnych gazetach otwarcie dyskutować warto i o kompromisach między koniecznościami ekonomicznymi a potrzebami środowiska przyrodniczego, i o takim nazywaniu ulic i osiedli, które pozostaje bez pietyzmu dla atmosfery miejsca i kulturowej tradycji. Być może jedynym znaczącym przejawem zainteresowania tego rodzaju są publikacje „Dziennika Łódzkiego" o zabytkach.

Przed laty Stefan Nowak stwierdził w badaniach społecznych, iż Polacy identyfikując się z grupą największą jaką jest naród i z najmniejszą jaką jest rodzina wytworzyli świadomościową pustkę w miejsce grup średniej wielkości. Niektóre symptomy tego ograniczenia wyobraźni znajdujemy jak widać także w publikatorach.

Powtarzano, iż na użytek tych rozważań przyjęto komunikacyjne objaśnienie łódzkich publikatorów, tzn. takie ich widzenie, w którym kluczem do całej sprawy jest czytelnik, widz. A czy w ogóle możliwa jest inna teoria? Otóż konkurencyjną koncepcją nazwalibyśmy biurokratyczną bądź obronną. Nadawca treści, dziennikarz nie musi działać z intencją komunikacyjną, dyrektywą jego działalności może być w skrajnych wypadkach tylko konieczność sankcjonowania własnej pozycji przed zwierzchnikiem. Nie trzeba uzasadniać, iż komunikacyjna wizja publikatorów nie jest objawiona nam raz na zawsze, utrzymuje się ona gdy jest wspierana społecznym, wyraźnie sformułowanym oczekiwaniem.

BOGUSŁAW SUŁKOWSKI

*) Uwagi te zostały wygłoszone w Komisji Kultury Rady Narodowej m. Łodzi 3.IX.1986.

Jakie są tutejsze gazety?

Z miasta na wieś

RYSZARD BINKOWSKI

Jeśli wierzyć publikacjom prasowym, a także choćby wyświetlanym u nas filmom z Zachodu, w krajach wysoko rozwiniętych migracja z miasta na tzw. prowincję nasila się do tego stopnia, iż niektórym miastom grozi poważny ubytek ludności. Chodzi przede wszystkim o zmianę środowiska naturalnego i polepszenie warunków życia, w tym również obniżenia kosztów utrzymania, bo na kawałku ziemi przy własnym domku można przecież hodować owoce, warzywa, kwiaty, drób i króliki.

Podobne zjawisko obserwuje się także u nas. Narasta pęd do posiadania daczy lub własnej kurnej chaty. Ale w tej publikacji nie chodzi o sobotnio-niedzielnych mieszkańców wsi, którzy przeznaczają wszystkie oszczędności na kawałek ziemi i używany kiosk, by móc szpanować przed sąsiadami z bloku i z całą pompą zażywać rekreacji. Chodzi o ludność, która na stałe przenosi się z miast na tereny słabiej zurbanizowane, głównie na wieś.

W sytuacji, gdy słyszy się o starzeniu się i wyludnianiu polskiej wsi, gdy w takim np. województwie chełmskim trzeba tworzyć nowe spółdzielnie produkcyjne i pegeery, ponieważ nie ma kto uprawiać chłopskiej ziemi, dziwnym mogą wydawać się rozważania na temat migracji z miast na wieś. A jednak zjawisko istnieje, a nawet nasila się wraz z upływem dziesiątków lat Polski Ludowej, i to z różnych przyczyn.

Ludzie przenosili się z miasta na wieś już w czasie okupacji. Po to, aby przeżyć, uniknąć aresztowań i represji, łapanek i wywózki na roboty do Niemiec. Bo na wsi można było zaczepić się w pracy u bogatego Niemca i pozostać na miejscu. Łatwiej było o wyżywienie, można było uczestniczyć w ruchu oporu wspomagając partyzantkę, a nawet samemu stać się partyzantem. To właśnie na wsi polskiej przeżyło okupację wielu Żydów z miast.

Później, od roku 1945 do 1960, nastąpił gwałtowny pęd do miast. Budowaliśmy przemysł rękami młodych ludzi ze wsi. Poza tym, w okresie przymusowej kolektywizacji i walki z kułactwem, chłopi zmuszani byli częstokroć rzucać ziemię i uciekać do miast. Tym bardziej, że na wsi trudno było wyżyć, gdyż chłop musiał znaczną część żywności oddawać państwu w ramach kontyngentów, i to za dziesiątą część ich wartości.

Ale nawet w tym najtrudniejszym okresie odpływowi ludności do miast towarzyszyły powroty, a także przymusowe osiedlanie się na wsi rodowitych mieszczuchów. Jeżeli zaraz po wojnie na podłódzkiej wsi nie notowano licznego pojawiania się przybyszów z miasta, to tylko dlatego, że Łódź ocalała w czasie wyzwalania przez wojska radzieckie. Były jednak miasta tak zniszczone, jak chociażby Warszawa, gdzie z braku mieszkań tysiące rodzin musiało szukać dachu nad głową na wsi.

Wieś awansowała, ale nie wszystkim udawało się życie w mieście, i oni wracali. Nieraz z braku mieszkań, bo trudno zakładać rodzinę w hotelu robotniczym. Wydaje się, że przełomowym momentem we wzroście migracji na wieś był zakręt historyczny, jaki miał miejsce w roku 1956. Nie chodzi o to, że wówczas wielu ludzi ze wsi, awansowanych i zajmujących eksponowane stanowiska, ale uczestniczących w utrwalaniu „błędów i wypaczeń", musiało odejść i szukać szansy życiowej na wsi. Osiedlaniu się na wsi sprzyjała polityka rolna, lansowana przez Władysława Gomułkę. Rozwiązywanie spółdzielni produkcyjnych, częściowa likwidacja kontyngentów, reaktywowanie kółek rolniczych, odrodzenie organizacji spółdzielczych i młodzieżowych, jak ZMW, sprawiło, iż tysiące ludzi uwierzyło, że na wsi można znośnie żyć.

Jak podaje Joanna Strzelecka w 7 numerze pisma ruchu ludowego „Wieś Współczesna", w latach 1961—1970 nastąpiło zrównanie migracji ze wsi do miast i z miast na wieś i wynosiło ono według badań ankietowych 21,2 proc. Wieś nie była wtedy bogata, niektórzy nazywali ją nawet siermiężną, ale mimo to dochodziło do sytuacji, gdy młody rolnik brał sobie żonę z miasta, albo też dziewczyna brała chłopaka z miasta, i ci miejscy współmałżonkowie osiadali na wsi. Czasem wykształconemu mieszczuchowi znudziła się nierozgarnięta wiejska żona, albo też odwrotnie, i wówczas, aby uniknąć kłopotów mieszkaniowych, jedno ze współmałżonków przenosiło się na wieś. No, ale przemieszczanie się ludności z miasta na wieś wskutek rozwodów stanowi znikomy procent migracji.

Kolejny zakręt historyczny spowodował, iż na początku lat siedemdziesiątych więcej ludzi zaczynało osiedlać się na wsi niż w mieście. Rzecz jasna, dane te oparte są na badaniach ankietowych, i różnie przedstawiają się w poszczególnych województwach. Przyczyna tkwi m.in. w zapaleniu „zielonego światła" dla rolnictwa. Zniesienie obowiązkowych dostaw, możliwość korzystania przez rolników z bezpłatnej opieki lekarskiej oraz gwarancja uzyskania renty za przekazanie gospodarstwa państwu lub następcom stwarzały szanse na zabezpieczenie sobie bytu i spokojnej starości także w zawodzie rolniczym.

Według danych prezentowanych przez Joannę Strzelecką we „Wsi Współczesnej" w latach 1975—1978 przemieszczenia ludności w Polsce stanowiły ogółem 19,8 proc., natomiast migracja z miast na wieś wzrosła aż do 30 proc. Jeśli nawet tak było, to nie dlatego, że wieś stała się nagle krainą mlekiem i miodem płynącą. Wprost przeciwnie — na wsi zaczynało się dziać źle, coraz gorzej. Cała gospodarka uległa załamaniu, kruszył się mit wspaniałego życia na kredyt. Od połowy lat siedemdziesiątych wiele zła wyrządziła błędna polityka rolna. W rolnictwo inwestowano mało, szczególnie w rolnictwo indywidualne. Wznoszono ogromne kombinaty hodowlane na bazie paszy kupowanej za dewizy, zabierano chłopom grunty dzierżawione z PFZ i przekazywano je organizowanym Spółdzielniom Kółek Rolniczych oraz pegeerom i spółdzielniom produkcyjnym. A tysiące młodych ludzi ze wsi zamiast zajmować się rolnictwem, budowało Hutę Katowice, Port Północny, zasilało zagłębie miedziowe w Lublinie.

Jeśli więc mamy mówić o zainteresowaniu ludzi z miasta zawodem rolniczym i chęci osiadania na wsi, to bardziej przekonujące są zmiany zaszłe po kolejnym zakręcie historycznym. To wspólne Plenum KC PZPR i NK ZSL, wytyczające nowe kierunki polityki rolnej, „chłopski" zapis w Konstytucji o trwałości chłopskiej gospodarki rodzinnej i zwielokrotnione nakłady na rolnictwo, w tym na rozwój produkcji maszyn, sprawiły, iż ludzie zaczęli przenosić się z miasta na wieś. Często ze względów rodzinnych, aby przejąć gospodarstwo od starych, osamotnionych rodziców. Jednakże poprzedni trudny okres doprowadził do tego, że dziewczyny, które wywędrowały ze wsi do miasta, nie chcą wracać. Dziś dla młodego rolnika tragedią stało się znalezienie żony nawet na wsi.

A jakie są inne przyczyny migracji z miasta na wieś? Jest ich wiele, m.in. podjęcie pierwszej pracy zawodowej. Faktem jest, iż dla wielu specjalistów potrzebnych na wsi brakuje tam mieszkań, ale są przedstawiciele takich zawodów, dla których w mieście zwyczajnie nie ma wolnych etatów, w związku z czym muszą oni osiadać na wsi, i to nawet w trudnych, prymitywnych warunkach, bo dojazdy do pracy na wsi są zbyt uciążliwe, szczególnie zimą. W mieście nie ma tyle lecznic dla zwierząt, które zatrudniłyby wszystkich weterynarzy. Nauczyciel także musi mieszkać na wsi. Jeśli nie ma domu, to urząd gminy musi mu zapewnić mieszkanie u rolnika. Jeśli specjalista z miasta chce żyć dostatnio i mieć zapewnione mieszkanie, podejmuje pracę w pegeerze lub spółdzielni produkcyjnej. Trzeba przyznać, że władze gminne, by związać specjalistów z terenem, robią wszystko, aby pracownicy banku, GS, SKR, lekarze i nauczyciele mogli wybudować sobie dom blisko miejsca pracy. Wprawdzie z przydziałem działki, kredytów i materiałów budowlanych bywają kłopoty, ale nie można stwierdzić, iż nic się nie robi w celu poprawy tej sytuacji.

Jedną z przyczyn migracji na wieś jest także, co pewnie zabrzmi paradoksalnie, podjęcie nauki. Ale to prawda. Cieszy fakt, że młodzież z miasta podejmuje naukę w szkołach rolniczych, które często zlokalizowane są właśnie na wsi. Przykładem mogą tu być choćby Bratoszewice, Sędziejowice czy Czarnocin.

Bywa i tak, że ludzie zmuszeni są opuszczać tereny wywłaszczone pod inwestycje miejskie, min. pod budownictwo, i budują sobie domy na wsi. A jeszcze inni opuszczają miasta ze względów zdrowotnych. Zapylone, zatrute spalinami i wyziewami z fabryk miasto zmusza chorych do osiedlania się na wsi. Województwo miejskie łódzkie należy do czołówki województw, gdzie ze względów zdrowotnych przeniosło się na wieś najwięcej obywateli.

I w tym miejscu wkraczamy na tereny dużych ośrodków przemysłowych i wielkich aglomeracji, gdzie ze względu na niewielkie odległości i niezłą komunikację stosunkowo łatwo dojeżdżać jest ze wsi do pracy w mieście. W mieście trzeba czekać na mieszkanie piętnaście lat. Tymczasem wieś podłódzka to już nie ta dawna wiocha, głodna i bosonoga. Tutaj buduje się dużo. Domy są brzydkie, ale duże, wygodne, z energią elektryczną, centralnym ogrzewaniem i kanalizacją, i częstokroć udaje się wynająć u rolnika mieszkanie.

W podłódzkim Gospodarzu, mojej rodzinnej wsi, do której na dobrą sprawę można by dojechać tramwajem, jest kilkanaście przykładów na to, iż proces migracji na wieś staje się zjawiskiem stałym. Znam młodego człowieka, który przez kilka lat uprawiał swój zawód w wielkim ośrodku przemysłowym, po czym wrócił, założył gospodarstwo ogrodnicze, potem rodzinę, a teraz buduje dom. Znam człowieka, który po wyzwoleniu przywędrował do Łodzi z biednej kieleckiej wsi. Jego syn, natabene bardzo zdolny, ukończył Akademię Rolniczą i teraz, choć jeszcze zameldowany w Łodzi, większość roku spędza na wsi poświęcając czas prowadzeniu nabytego gospodarstwa.

Inny młody migrant z Łodzi wrócił na ojcowiznę ze względu na stan zdrowia rodziców, a wnukowie przybyli z miasta, aby zająć się gospodarstwem osamotnionego dziadka.

W Gospodarzu jest chyba trzech inżynierów z wykształceniem rolniczym, którzy przyjechali tu z miasta, kupili ziemię i prowadzą wzorowe gospodarstwa. A są i tacy, którzy nabyli działki, pobudowali się i wdychają świeże powietrze, zamiast dusić się w murach miasta. No i jeszcze jedno, co także jest zjawiskiem pozytywnym. Kilku tzw. chłopów-robotników zrezygnowało z dwuzawodowości i zajmuje się wyłącznie rolnictwem lub ogrodnictwem.

W mieście szemrzą, że wieś się bogaci, że chłop żyje lepiej niż robotnik. Chłopi też narzekają, bo oni zawsze będą narzekać. A prawda jest taka, że wieś polska, przynajmniej ta podłódzka, nie jest biedna, i że żyje się tam lepiej i dostatniej niż przed laty. Nikt nie chce kolejnego zakrętu historycznego i nikt nie myśli o zmianie kursu w polityce rolnej. Jeśli ten kurs zostanie utrzymany, to w roku dwutysięcznym na terenie aglomeracji łódzkiej możemy być świadkami obrazów z filmów angielskich, na których pracownicy miejskich fabryk i urzędów dojeżdżają kolejką lub autobusami do swoich domów na wsi. To nie są futurystyczne majaczenia. To po prostu nieunikniony proces migracji z miasta na wieś, do czego przyczynią się niezaspokojone potrzeby w zakresie budownictwa mieszkaniowego, komunikacji, zaopatrzenia miast w wodę, a także niedostatki w zakresie infrastruktury społecznej utrudniające życie w mieście. Rzecz jasna, iż warunki życia na wsi nigdy nie będą takie same jak w mieście, ale w miarę rozwoju gospodarczego standard życia w mieście i na wsi ulegnie znacznemu wyrównaniu, a wówczas wieś stanie się naprawdę atrakcyjna i będzie kusić mieszkańców miast nie tylko wygodą i niższymi kosztami utrzymania, ale przede wszystkim walorami środowiska naturalnego.

ze str. 1

możliwością ustawienia nowych kiosków spożywczych na peryferiach Sokolnik

Sklepy spożywcze, jeden sklep „żelazny" — jak mówią mieszkańcy, w którym są i gwoździe, i widły, i sprzęt stereofoniczny, kościół, biblioteka, dwie kawiarnie, punkt małej gastronomii, sanatorium dla dzieci, ośrodek wypoczynkowy dla pracowników służby zdrowia, poczta, ośrodek „Monaru", zanieczyszczony staw, w którym bez szkody dla zdrowia mogą pływać tylko psy i... 20 tys. ludzi. Z wymienionych instytucji tylko dwie kawiarnie i biblioteka mogą przyczynić się do zapewnienia rozrywki, kościół do zaspokojenia potrzeb duchowych, a o potrzeby ciała dbają sklepy. „Monar", sanatorium i staw istnieją „sobie a muzom", bowiem z ich istnienia

NIC DLA PRZECIĘTNEGO MIESZKAŃCA NIE WYNIKA.

Nie ma Sokolnik na mapie, a przecież są

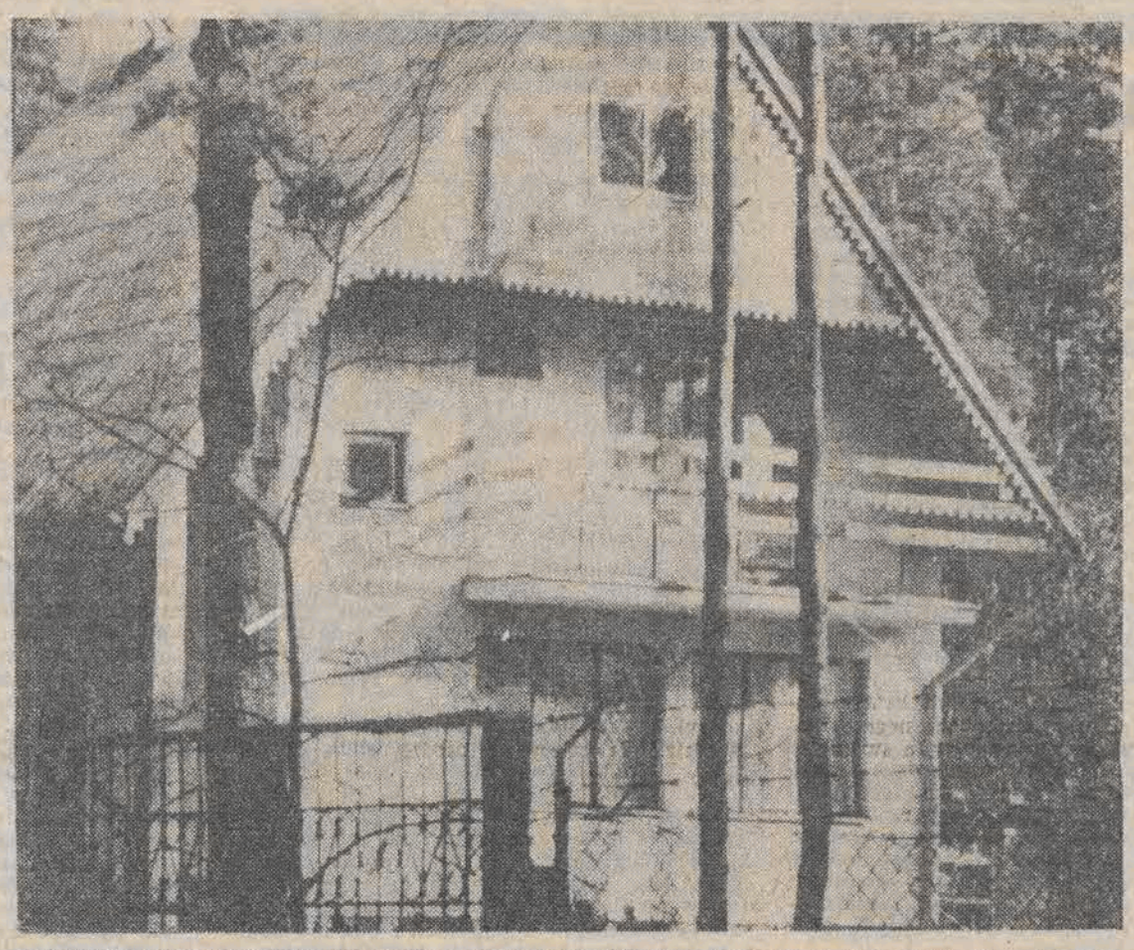

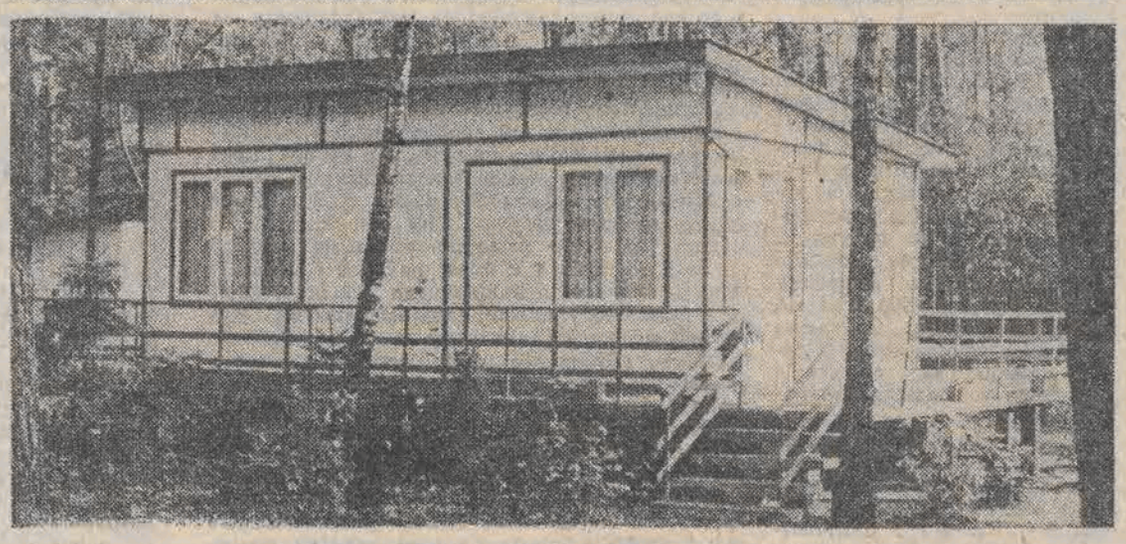

Fotoi Grzegorz Gałasiński

Cóż, jak na 20-tysięczne Miasto-Ogród to niewiele Na szczęście sytuację ratują spacery po lesie, no i oczywiście niezastąpiony telewizor.

— *Władzy terenowej i ludziom więcej potrzeba* — twierdzi Zdzisław Głyda, sekretarz Urzędu Gminy w Ozorkowie. — *Województwo patrzy na Sokolniki krzywym okiem. Były przecież plany, różne plany, ot choćby zagospodarowanie stawów, miała tu być druga „Nowa Gdynia", ośrodek rekreacyjny, a tymczasem władze w Łodzi odstąpiły od tego. Ważniejsze są mieszkania i ośrodki rekreacyjne w Łodzi. Ale i nasza Rada Narodowa też nie kocha Sokolnik. Radni nie chcą robić niczego dla łodzian przyjeżdżających latem do Sokolnik. Gmina nie ma pieniędzy, radni nie chcą uchwalać inwestycji, rolnicy okolicznych wsi też są przeciw.*

Wieść gminna głosi jednak, że nie jest aż tak źle, jak by mogło być. Uwzględniając budżet Urzędu Gminy w Ozorkowie który wynosi 89 mln zł (akurat na budowę trzech porządnych willi z wygodami) i potrzeby (np. w pobliskiej Modlnej buduje się szkołę, której koszt o milion złotych przekracza roczny budżet urzędu), w Sokolnikach nic się dziać nie powinno Tymczasem powstały niedawno dwa nowe sklepy, zaś naczelnik gminy, Elżbieta Gieraga planuje wyasfaltowanie straszliwie wyboistej żwirówki prowadzącej do poczty, wyrównanie piaszczystych dróg spychaczem, a w niedalekiej przyszłości — zagospodarowanie stawu Maszkowice i sokolnickiego jeziorka. Jej — choć nie tylko — zasługą są organizowane ku uciesze gawiedzi festyny z okazji 22 lipca. Pani naczelnik marzy też o scenie z prawdziwego zdarzenia, na której zaproszeni artyści umilaliby czas znudzonym tubylcom. Krótko mówiąc, dobre efekty uwzględniając mniej niż skromne możliwości.

POTRZEBY DWUDZIESTO-TYSIĘCZNEGO LEŚNEGO MIASTA

są ogromne. Ot, choćby problem wody Woda — jak wiadomo — jest nerwem życia. Mieszkańcy szarpią więc najpierw nerwy wodne, a potem nerwy własne Wystarczy, że ktoś ma wyschniętą studnię i pogłębi ją Z reguły woda ucieka ze studni sąsiadów, sąsiedzi pogłębiają itd., itp Prawdziwym kataklizmem są jednak studnie głębinowe które wysysają wodę w o wiele większym zasięgu Jedynym sensownym rozwiązaniem jest wodociąg, ale — po pierwsze — trochę za drogi, a — po drugie — trzeba od razu wybudować kanalizację. Tylko za co? I komu?

Drugim problemem, palącym na równi z pragnieniem, są śmieci. Uruchomiono co prawda w pobliskiej Modlnej państwowe wysypisko, ale i tak większość odpadków zaśmieca las Można by i to rozwiązać, ale jak na razie brakuje pomysłów „OPEK" (wbrew pozorom nie jest to Organizacja Państw-Eksporterów Ropy Naftowej, ale Ozorkowskie Przedsiębiorstwo Komunalne) nie wpadło na żadne rozwiązanie. A przecież wystarczy „ruszyć głową". Niechże po Sokolnikach jeździ raz w tygodniu (np w sobotę) śmieciarka i odbiera od mieszkańców odpadki. Stałą należność można wkalkulować w opłaty za każdą działkę. Podobnie można rozwiązać problem z wywozem nieczystości z przepełnionych szamb. Ot, raz w roku niech pojawi się wóz asenizacyjny, a przedtem wystarczy powiesić w widocznych miejscach afisze. Bo jak dotąd mieszkańcy polują na „szambiarza" pod sanatorium czy ośrodkiem wypoczynkowym i używając szeleszczących argumentów, pozbywają się kłopotu. Cóż, na wszystkim można zarobić, wydowców w Łodzi z pytaniami o zdrowie kanarka, dzielą się spostrzeżeniami na temat uroków zaopatrzenia i lasów w Sokolnikach, itp. itd. Trudno powiedzieć, czy nie założono już jakiejś blokady, ale przed kilku laty jacyś młodzieńcy zakładali się, że zadzwonią stąd do... Waszyngtonu. Nie wiadomo, czy im się udało, ale np. do Warszawy zadzwonić można było bez problemu. Mimo swych oczywistych uroków automat ulega czasem dewastacji lub awarii. I wtedy zaczyna się problem. Głuchy automat jest nieczuły na wszelkie argumenty. Jedynym rozwiązaniem bywa wizyta w

USTAWIA SIĘ KOLEJKA DO AUTOMATU

zainstalowanego przed budynkiem. Dodatkową atrakcją rozmowy telefonicznej jest to, że nic ona nie kosztuje. Żony dzwonią więc do słomianych

starczy tylko trochę dobrej woli.

Najistotniejszą bolączką jest jednak brak jakiejkolwiek pomocy lekarskiej. Teoretycznie lekarze w Sokolnikach są (niektórzy jako właściciele działek, inni jako wczasowicze w ośrodku wypoczynkowym), ale i tak w razie potrzeby jedynym rozwiązaniem bywa telefon po pomoc.

Ogólnie dostępny telefon jest na poczcie, która wszakże czynna jest do piętnastej. Ale chętnych do dzwonienia jest mało. Za to przed piętnastą wokół poczty kręcą się osobnicy podejrzanie często spoglądający na zegarki. I gdy tylko urzędniczka zamknie pocztę i zniknie za zakrętem,

ośrodku wypoczynkowym. Jest tam radiotelefon z własnym źródłem zasilania, niezależnym od awarii linii telekomunikacyjnej.

Związkowy Ośrodek Wypoczynkowy Służby Zdrowia o zdrowej nazwie „Zdrowie" jest instytucją ze wszech miar niezwykłą. A to za sprawą nowego kierownika, który objął funkcję w tym roku, Andrzeja Aptapskiego. Zagmatwane koleje życia zepchnęły go tu z Wybrzeża, ale wiadomo:

RYBAK NIE TONIE NAWET W LESIE.

Sokolnikom trafił się człowiek z inicjatywą i głową pełną pomysłów.

Kiedyś pan Andrzej pracował w prywatnej branży turystycznej nad morzem i teraz przelewa swe doświadczenia na państwowy grunt. Ledwie przyszedł, a już otworzył dla wczasowiczów i mieszkańców kawiarnię „Zdrówko". Co ciekawsze — kawiarnia ta ma chyba najniższą marżę w kra-

przeciwpożarowy, lecz na co dzień do kąpieli. Kierownik dba nie tylko o wczasowiczów, ale i o okolicznych mieszkańców. Oprócz udostępniania kawiarni, boisk sportowych, sprzedaje także tanie i smaczne obiady. Zresztą wyżywienie w ośrodku urąga powszechnej opinii, że na wczasach człowiek sobie nie poje: są i szynki, i kurczęta, i śledzie, i arbuzy... Ech, pomarzyć. Ale marzenia można zrealizować, bowiem nie tylko pracownicy ZOZ mogą przyjeżdżać tu na wczasy, mogą także zwykli śmiertelnicy, o ile zechcą zapłacić 3 tys. zł więcej niż lekarze.

Uwieńczeniem starań kierownika było zainstalowanie radiotelefonu, ale za tę cenę pan Andrzej kupił sobie niespokojny sen w razie awarii telefonu na poczcie. W związku z tym zrodził się pomysł utworzenia już w przyszłym roku gabinetu lekarskiego i pielęgniarskiego Ponoć będzie tam przyjmował wszystkich potencjalnych pacjentów lekarz i pielęgniarka.

Jest w tym wszystkim oczywiście niemała zasługa służby zdrowia z Łodzi i Ozorkowa, która pomaga kierownikowi w

czym może i jak może. Ale służba zdrowia nie tylko pomaga Sokolnikom, też szkodzi. I to jak!

Proszę zapytać któregokolwiek pulmonologa (lekarz zajmujący się chorobami układu oddechowego), co myśli o Sokolnikach. Z miejsca odpowie: zbawienny klimat dla chorych na oskrzela i płuca.

CUDOWNE POWIETRZE

Kiedyś dr Bejmowa z Przychodni Pulmonologicznej na wieść, że chore na astmę i częste zapalenia oskrzeli dziecko spędzi kilka miesięcy w Sokolnikach, odparła: — *No to my się już z Krzysiem nigdy nie spotkamy.* I miała rację. Przecież jest tajemnicą poliszynela, że klimat Sokolnik jest o wiele korzystniejszy niż klimat Łagiewnik, w których leczy się choroby układu oddechowego; wszak Sokolniki oddzielone są od łódzkich dymów trzema naturalnymi barierami: lasami w Lućmierzu, w Zgierzu i... w Łagiewnikach. Ponadto obszar i skład gatunkowy sokolnickiego lasu, a także jakość wód stawiają ten obszar na pierwszym miejscu przed Łagiewnikami czy też Tuszynem.

Zresztą warto wiedzieć, że w sokolnickim sanatorium dziecięcym przebywa stale około setki małych pensjonariuszy, choć w sanatorium leczy się nie schorzenia dróg oddechowych, ale reumatyzm. Bo klimat Sokolnik leczy także i te dolegliwości. Oprócz tego korzystnie wpływa na układ krążenia, a „twarda" woda zawierająca w niektórych rejonach różne mikroelementy reguluje układ trawienny. Jednym słowem — leśne sanatorium. I chociaż wielokrotnie lekarze postulowali o oficjalne uznanie Sokolnik za miejscowość uzdrowiskową, w maju 1986 r. w Warszawie zapadła decyzja odmowna. Ponoć kilku decydentów miało swoje powody, choć argumentacja była raczej dziwna.

I tak zaprzepaszczono wielką szansę. Szansę dla Sokolnik i dla chorych ludzi, bo w obecnej chwili miejscowość nie ma żadnych perspektyw dalszego rozwoju i nie ma możliwości pomieszczenia dalszych amatorów zbawiennego dla zdrowia mikroklimatu.

Powód? W Sokolnikach nie ma już ani jednej wolnej działki. Jest to więc miejscowość zamknięta. Wobec ciągłego zainteresowania działkami i rozgłosu Sokolnik jako najbliższego, choć nieoficjalnego uzdrowiska, niektórzy imają się wszelkich sposobów zdobycia własnego placu. Obecnie w Sokolnikach jest aż 28 tzw. samowoli budowlanych, tzn. ludzie pobudowali sobie domy i czekają, by móc skorzystać z przepisu o możliwości wykupu zabudowanego terenu po upływie 10 lub 20 lat. Jak na razie jest to jedyna możliwość osiedlenia się w tej miejscowości.

Z pewnością znalazłyby się jeszcze tereny na budowę sanatoriów, choćby od Zarządu Lasów Państwowych, (który co prawda nie chce nawet słyszeć o udostępnianiu licznych wojennych terenów osobom prywatnym), ale bez decyzji przyznającej Sokolnikom status uzdrowiska jest to niemożliwe. A więc potencjalni pensjonariusze sanatoriów muszą obejść się smakiem, a obecni działkowicze mogą tylko pomarzyć sobie o rozwiązaniu licznych problemów, jak np. wodociągu, kanalizacji, telefonów itd., itp.

Jan Kępiński, sołtys sokolnickich lasów, twierdzi, że duże są potrzeby, ale nic się nie zrobi, bo nie ma kto za to płacić.

NA GMINĘ NIE MA CO LICZYĆ:

biedna, a zresztą kto zechce wydawać państwowe pieniądze na zachcianki prominentów z Łodzi? Tymczasem nie wszyscy są prominentami. Owszem, są piętrowe wille z sauną i klimatyzacją, ale przecież to nie ich jest najwięcej. Wielu „prominentów" to emeryci i ludzie zarabiający średnio lub poniżej średniej, którzy albo kupili działkę wtedy, gdy kosztowała dosłownie grosze, a nikt nie przypuszczał, że Sokolniki będą tak sławne, albo kupili działkę wyrzekając się np. picia alkoholu, oszczędzając na jedzeniu i odzieży. Może to trochę śmiesznie brzmi, ale jest to niestety smutna prawda, smutna dla tych, którzy chcieliby widzieć Sokolniki jako cuchnące gniazdo socjalistycznych kapitalistów. Zresztą wystarczy przejść się jedną ze stu dziesięciu ulic. Znakomita większość to domki skromne, oszczędne w metrażu, konstrukcji i cenie, zbudowane w czasach, gdy za średnią pensję można było kupić kilkakrotnie więcej materiałów budowlanych niż dzisiaj. Zresztą nie przed każdym domem stoi „Polonez" czy „Mercedes", większość to „Syreny" i „Maluchy", albo... zgoła nic. Ale i tak nikt nie kocha „prominentów".

Rosnące do zawrotnych sum podatki gruntowe i lokalowe uderzają przede wszystkim w „średniaków". Chcesz mieć działkę w Sokolnikach — płać! Wszyscy chcą ściągnąć od „prominentów" gorący pieniądz. Na przykład PKS.

Przed kilkoma laty wprowadzono autobusy pospieszne obsługujące kursującą od dawien dawna „zieloną linię". Oprócz czerwonej tabliczki i pięciokrotnie wyższej opłaty za kurs (110 zł) sobotnie i niedzielne autobusy niczym nie różniły się od innych, zwykłych. Podniósł się raban, bo przecież w czasach, gdy 110 zł miało swą wartość i gdy koszt wyjazdu pięcioosobowej rodziny do Sokolnik wynosił 1100 zł, ci, którzy nie dorobili się samochodu, musieliby sprzedać dom, by móc do niego dojeżdżać! Co prawda protesty pomogły, dziś „zielona linia" przewozi pasażera za 80 zł, ale przykład ten jest znamienny nie tylko z powodu pokazania relacji w stosunku pasażer z Sokolnik — PKS w Łodzi.

Od kilku miesięcy u prezydenta Łodzi czeka na rozpatrzenie podanie o przyznanie Sokolnikom kontenerów na śmieci, co doraźnie rozwiązałoby jeden z palących problemów. Bez odpowiedzi. I tak dalej, i tym podobnie. Nie ma też komu zająć się problemem włamań i kradzieży, których plaga nęka niemal wszystkie domy w sezonie zimowym. Zdarza się, że jeden dom bywa okradany kilkakrotnie. Milicja z Ozorkowa przyjeżdża na wezwanie, ogląda, spisuje protokół, rozpoczyna kolejne dochodzenie, ale — szukaj wiatru w polu. Puste domy same zachęcają do wizyty nieproszonych gości.

MIT O SOKOLNICKICH *PROMINENTACH*

aktywizuje złodziei. Czasem sprawca zostaje ujęty, ale przedtem i tak poszkodowanych czeka walka z PZU, który co najmniej niechętnie wypłaca odszkodowanie, o ile nie znajdzie się jakiś przepis i sposób, by okradziony odszedł z kwitkiem, bo a to zamek nie taki, a to zabezpieczenie drzwi niewłaściwe...

Jedynym wyjściem byłoby utworzenie w Sokolnikach komisariatu milicji, albo przeniesienie siedziby MO choćby z odległego o kilka kilometrów Słowika. Jak dotąd ciągle mówi się o milicyjnym dozorze pozostawionych zimą domów, ale jest to tylko jeszcze jeden problem nie do rozwiązania. Można to chyba tłumaczyć trudnościami obiektywnymi, bo nie sądzę, że kompetentne władze i organa wolą pozostawić swobodę złodziejom, myśląc: *„a niech tych paskudnych prominentów okradają, dobrze im tak!"*.

Tak więc Sokolniki nie mają przed sobą żadnych perspektyw dalszego rozwoju, do rozwiązania pozostaje wiele palących problemów, zaprzepaszczono szansę wykorzystania mikroklimatu tej miejscowości na potrzeby lecznictwa. Do tego nie należy liczyć na zbytnią poprawę obecnego stanu rzeczy, wszak gmina dysponując tak skromnym funduszem robi co może, choć rzecz jasna nie może to wystarczyć. Tymczasem radni GRN, okoliczni chłopi, a także władze z odległej o kilkanaście kilometrów Łodzi — jakby się sprzysięgli; traktują temat Sokolnik jako coś wstydliwego i denerwującego. Co dziwniejsze jednak — ludzi, którzy mają tam działki, spotkać można w wielu ważnych instytucjach i organizacjach w Łodzi. Przy dobrej woli wiele można byłoby zrobić. Tymczasem naczelnik gminy w Ozorkowie, Elżbieta Gieraga, choć tak zaangażowana w rozwiązywanie sokolnickich problemów, działki tam nie ma.

JACEK GŁĘBSKI

Meksyk (6)

Chwyt odwetowy

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

Poza Meksykanami przekraczają Rio Bravo Północni i Południowi Koreańczycy oraz obywatele Chin, Pakistanu, Ekwadoru, Ameryki Centralnej i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ze szczególnym uwzględnieniem chłopów.

Kojot bierze od dwustu do dwóch tysięcy dolarów. Bywa że jest na swój sposób uczciwy i wywiązuje się z przyrzeczeń, częściej jednak przekazuje zmęczonych i ogłupiałych klientów policji.

Robi to dosyć perfidnie. Jeden z faktów: przywlókł piątkę Polaków w bezpośrednie sąsiedztwo rzeki, uśmiechnął się i powiedział:

— *Poczekajcie tu na mnie. Wrócę za godzinę z przewoźnikiem.*

Czekali więc. Usiedli na trawie i czekali. Kiedy zamiast kojota i przewoźnika ujrzeli nagle uzbrojonych łapiduchów, rzucili się do ucieczki. Czterech schwytano, piąty zbiegł. Nieszczęście czterech schwytanych polegało na tym, że ten piąty, który zdołał zbiec, miał przy sobie wszystkie paszporty.

2.

Konsul Jerzy Kwiatkowski i radca Andrzej Stachurski podali mi wiele takich przykładów. Kojot, jako się rzekło, jest kojotem i skubie, zwłaszcza wtedy, kiedy wyczuwa bezradność człowieka. Bywało zatem, iż Polacy, którzy wyruszali ze stolicy Meksyku w dobrej formie, z paszportem, z biletem lotniczym i z pokaźnym plikiem dolarów, trafiali na granicę ogołoceni do suchej nitki.

Bogaty taksówkarz, który miał w Polsce dużo, ale chciał mieć jeszcze więcej, zatelefonował do Ambasady PRL z Tijuany. Płakał. Wył. Przeklinał. Błagał o pomoc. Nie był już bogatym taksówkarzem. Był bankrutem. Ale cieszył się jeszcze wolnością.

Inni szli do aresztu. Wyłapywano ich w przygranicznych barach, poczekalniach dworcowych i hotelach w momencie, kiedy nie zdążyli jeszcze popełnić przestępstwa. Nie szmuglowali narkotyków; trzymali się póki co z daleka od granicy i rzeki. Ale policjant mrużył oko i mówił:

— *Wasza wiza ważna jest tylko na terenie Dystryktu Federalnego* (stolicy), *więc czego szukacie w Piedras Negras?* (w Ciudad Juarez? W Tijuanie? W Nuevo Laredo? W Reynosie?).

W tych wypadkach ambasada polska interweniowała stanowczo. Wiza meksykańska, którą aresztowani otrzymali w Warszawie, nie ogranicza się tylko do Dystryktu Federalnego, lecz ważna jest na obszarze całego kraju. Obywatele polscy przyjechali zapewne do Piedras Negras (ewentualnie do innych, sąsiadujących ze Stanami Zjednoczonymi miejscowości) w celach turystycznych. Nie ma żadnych podstaw, aby trzymać ich w areszcie, oczekujemy więc, iż będą natychmiast zwolnieni.

I wychodzili na wolność. Jedni mieli jeszcze pieniądze, bilety lotnicze i paszporty, drudzy nie mieli już nic poza szczęściem, iż ominęły ich długie przesłuchania i że zostali deportowani w sposób łagodny.

Gorzej działo się z tymi, których przyłapano na gorącym uczynku forsowania Rio Bravo. Ich nogi i plecy były mokre. Policja traktowała ich surowo.

Zwierzał się potem zszokowany chłop radcy Andrzejowi Stachurskiemu:

— *Wzięli mnie, panie, do prywatnego „więźnia".*

— *Do prywatnego?*

— *Tak.*

— *Dlaczego sądzi pan, że było to więzienie prywatne?*

— *Bo, panie, za wszystko trza było płacić. Chciał człek do ustępu — dwa dolary, cygaret — trzy dolary, szklanka wody — pięć dolarów.*

Areszt w stolicy, dobrze znany Jerzemu Kwiatkowskiemu i Andrzejowi Stachurskiemu, nie przypominał domu wypoczynkowego. Karmiono czarną fasolą (konsul i radca podrzucali często Polakom chleb, wędlinę, coca-colę i mleko); spało się w dużej celi na gołej posadzce, ale były do przykrycia derki. W dzień można było pospacerować na patio. Dało się żyć.

Zanim jednak przyłapany nad Rio Bravo Polak przetransportowany został do aresztu w stolicy, musiał spędzić jakiś czas w areszcie przygranicznym — tam nie dawano już do przykrycia derek, aczkolwiek również spało się na twardym i brudnym klepisku; nie wyprowadzano na spacery, nie podrzucano chleba, mleka i kiełbasy; kilkanaście osób żarło z jednej miski i piło z jednego dzbana.

Niektórzy chorowali. Niektórzy wzdychali po nocach za porzuconą białostocką wsią i za utraconym majątkiem. Niektórzy chcieli sobie palnąć w łeb, ale nie mieli z czego.

3.

Meksyk był zawsze krajem przyjacielskim, odważnym i gościnnym, a Polacy korzystali nieraz z owych cnót. Zbigniew Wojciechowski, znany łódzki dziennikarz, opublikował przed laty (KAW, Express Reporterów) wstrząsającą relację pod tytułem „Otwarte ramiona Meksyku". Oto rok 1942, piekło Drugiej Wojny Światowej. Statek przewozi dwa razy po tysiąc pięciuset Polaków z Bombaju na Florydę. Są to ludzie, którzy zawędrowali na kontynent azjatycki z Armią Andersa — okaleczeni, niezdolni do walki żołnierze, a także żołnierskie kobiety i dzieci, wymizerowane, wycieńczone, cierpiące na szkorbut i inne przypadłości.

Co z nimi zrobić? Kto ich przyjmie? Generał Sikorski udaje się samolotem do Meksyku, gdzie zostaje powitany z czcią i wszelkimi honorami przez prezydenta Manuela Camacho. Kiedyś Polak w Ameryce Łacińskiej był synonimem bohatera. Generał Sikorski był tym synonimem w trójnasób. Manuel Avila Camacho podejmuje natychmiastową decyzję udzielenia trzem tysiącom Polaków gościny. Zamieszkują w haciendzie Santa Rosa nie opodal Leon. Przyjmują się na meksykańskiej ziemi. Są pracowici, pozyskują sobie sympatię sąsiadów, no i nie sprawiają kłopotów policji.

I nagle, po czterdziestu kilku latach, wszystko się zmienia. Władze meksykańskie mają z Polakami mnóstwo kłopotów. Najpierw areszt przygraniczny, później transport do aresztu stołecznego, jeszcze później haniebna deportacja, która nie odbywa się przecież na koszt Polskich Linii Lotniczych ani Ambasady PRL — w wypadku, kiedy chłop zgubił bilet, płacą za to Meksykanie.

Konsul twierdzi, iż w ubiegłym, 1985 roku przyłapano na granicy kilkudziesięciu Polaków — nie wiadomo dokładnie: ilu, gdyż nie było jeszcze między PRL a Meksykiem konwencji konsularnej, w myśl której obydwie strony informują się o tego typu incydentach. Konwencja została podpisana w bieżącym roku. Ale i tak nie wszystkie incydenty są zgłaszane, bowiem zawsze można przekupić policjanta lub urzędnika i wrócić do Polski bez pieniędzy, ale za to cichaczem.

Jest teraz kwestia, ilu Polaków przebrnęło szczęśliwie Rio Bravo i suchą granicę, aby rozpocząć pracę w Stanach Zjednoczonych. Kilkudziesięciu dokonało tej sztuki z całą pewnością, trudno jednak powiedzieć, kto utonął, kto zginął, kto wpadł w szpony amerykańskich policjantów. Meksykanom, owszem, nie robi się krzywdy, ale przyłapany na przestępstwie obcokrajowiec, i to w dodatku obywatel socjalistycznego kraju, dostaje taką szkołę, że strach nawet o tym pomyśleć.

Przez rzekę!? Bez wizy!? Czego szukasz, bracie, w USA? Kryminał. Przesłuchania. Szpieg? Terrorysta? Szmugler narkotyków?

Trzeba odsiedzieć parę lat. Wzmożona kontrola graniczna, związana z przemytem marihuany i kokainy, sprawia, iż wielu Polaków odstępuje w ostatniej chwili od swoich szaleńczych zamiarów. Niebawem spotkam takich. Nie chcą ryzykować. Wracają do kraju. Stracili dużo, nieraz bardzo dużo. Ale mogli przecież stracić więcej.

Nie brak wszelako rodaków, którzy biorąc przykład z meksykańskich braceros gotowi są próbować do skutku. Zainwestowali taki majątek, że nic nie jest w stanie ich przerazić, nawet wówczas, kiedy siedzą już w areszcie.

— *Usiłowali mnie przekupić — wspomina konsul. — Zrób pan coś, żeby nas wypuścili, zapłacim.*

— *Przecież czekacie na samolot do Polski?*

— *E, panie! Mamy jeszcze trochę grosza. Nie pożałujesz pan, jak nas pan uwolnisz.*

— *I co wtedy?*

— *Ano, pójdziem znowu nad rzekę, albo na piachy. Może się uda, panie. Na pewno się uda!*

Podobne dialogi wiedli z konsulem na parę minut przed odlotem samolotu. Amok. Obsesja. Nie przerażał ich pustynny skwar i Rio Bravo. Nie przerażało ich więzienie ani ryje granicznych karabinów. Nie wierzyli, że można zginąć w Ameryce. Prędzej gotowi byli uwierzyć, że zginą w rodzinnej, białostockiej wsi, kiedy wrócą, a szwagier, od którego pożyczyli dolary lub teść, któremu przeputali samochód, sięgnie nagle pijany po siekierę i upomni się o swoje.

4.

Pewnego dnia na lotnisku w Ciudad de Mexico grupa skromnie ubranych Polaków, wśród których były kobiety i dzieci, zaczęła wypytywać urzędnika o stację kolejową i pociągi do rejonów przygranicznych. Nie mieli widocznie dość pieniędzy, aby wynająć przewodnika już w Dystrykcie Federalnym. Otrzymali informację, iż kolej jest najtańszym środkiem komunikacji i że najbardziej opłaca się poszukać kontaktów na miejscu: w Piedras Negras lub Nuevo Laredo.

Uprzedzając fakty: pojechałem metrem na Centralny Dworzec Autobusowy de Norte i kupiłem bilet do Queretaro, pięknego kolonialnego miasta, które jest stolicą stanu o tej samej nazwie.

W ogromnym hallu dworcowym stoi rotunda, gdzie można dokonać różnych ubezpieczeń. Oparłem się o jej ścianę i paliłem papierosa, aby zabić czas do odjazdu. Naprzeciw były kasy. Nad jedną, pośród wielu połączeń, zobaczyłem napis TIJUANA. Obok tkwiło dwóch młodych, wyraźnie niezdecydowanych mężczyzn. Rozmawiali po polsku. Nie wyglądali na chłopów. Nie wyglądali także na idiotów.

Ten wyższy, z twarzą faceta, który musiał otrzeć się niedawno o uniwersytet lub inną uczelnię, powtarzał raz po raz:

— *Ja cię nie namawiam. Musisz decydować sam. Ja cię do niczego nie namawiam. Nie chcę, żebyś mnie później przeklinał.*

Drugi, blady, uśmiechał się z przyjazną ironią:

— *Jak mnie zabiją, nie zdążę cię przekląć.*

— *Krótko: tak czy nie?* — nalegał wyższy.

— *Tak.*

— *Ale się boisz?*

— *A ty się nie boisz? Trzeba było jechać w tamtym roku.*

— *On mówi, że to nie ma żadnej różnicy. Sprawa jest czysta.*

— *Dla niego, nie dla nas. Bierz te bilety!*

— *Poważnie mówisz?*

— *Oczywiście.*

— *Bo ja cię do niczego nie zmuszam. Nie chcę, żebyś mnie później przeklinał.*

Byłem w kapeluszu i nie miałem na sobie polskiego ubrania. Ci dwaj zerknęli jednak na moje białe, szwedzkie trepy i starczyło. Przez chwilę myślałem, że podejdą, ale wybrali kawiarnię. Głośnik dworcowy wezwał mnie do autobusu.

Kiedy opuszczałem z Janem Szerszeniem ambasadę polską przy Calle de Cracovia, zarówno konsul Kwiatkowski jak i radca Stachurski powiedzieli, że zależy im bardzo, abym poruszył temat w gazecie przydając mu odpowiedniej rangi i formatu. Bywało, że nie mieli czasu zajmować się niczym innym, jak wyciąganiem Polaków z aresztu i transportowaniem ich na lotnisko.

— *Jeśli dzięki pana reportażom ubędzie nam przynajmniej jeden klient, którego zdoła pan w porę ostrzec i przerazić, zarobi pan uczciwie na naszą wdzięczność.*

5.

Pojechaliśmy zobaczyć piramidy z tymi dwoma specjalistami od górnictwa. Wyszamotaliśmy się z przykrytej pierzyną smogu stolicy, minęliśmy skraj Doliny Meksykańskiej i sunęliśmy drogą, wzdłuż której rosły eukaliptusy. Drzewo to służy między innymi do wyrobu stempli górniczych, tak zwanych kopalniaków, ma jednak wedle specjalistów istotną wadę: nie trzeszczy, a więc nie ostrzega przed zawałem i tąpnięciem, jak to czynią nasze poczciwe sosny. Kopalniak eukaliptusowy jest cichy jak indiańska śmierć (sformułowanie Jana Szerszenia).

Kiedy opuszczasz Dystrykt Federalny szlakiem na wschód czy na zachód, na północ czy południe, wcześniej czy później zobaczysz przydrożne ostrzeżenia: UWAGA — MGŁA. OSTROŻNIE — MOŻLIWOŚĆ OBLODZEŃ. Szczyty gór sięgających niekiedy pięciu tysięcy metrów pokryte są śniegiem jak Kasprowy.

A w dole tropik.

— *Po piramidach żaden z was nie powie już, że było mu w Meksyku zimno* — oświadczył pogodnie Jan Szerszeń.

Była sobota. Sam prowadził tego dnia samochód: indiański kierowca odpoczywał na łonie rodziny.

— Panie Janie — zapytałem — nie gniewa się pan, że popsuliśmy panu weekend?

— *A wyglądam na zagniewanego?* — odpowiedział po swojemu Szerszeń. I dodał, nie odrywając rąk od kierownicy: — *Jesteśmy na miejscu. Na wprost widzicie Piramidę Słońca, po lewej stronie macie Piramidę Księżyca. Znajdujemy się w Teatihuacanie, siedzibie Tolteków, spalonej podobno w dziewiątym wieku naszej ery. Panowie wybaczą, ale nie mogę zawieźć was autem na szczyt żadnej z owych czcigodnych budowli. Auto musimy zostawić na parkingu i zaufać sile własnych nóg.*

Najpierw zwiedziliśmy Ciudadelę i świątynię Quetzalcoatla, której ściany najeżone były głowami potworów o przerażających zębiskach. Potem ruszyliśmy wzdłuż nie kończących się murów ku Piramidzie Słońca.

Ułożone prostokątnie mury wyglądały, jakby zrobiono je wczoraj. Przypominały do złudzenia stadiony piłkarskie z odwróconymi w przeciwną stronę trybunami, i miały podobnej wielkości boiska. Stadion przylegał szczelnie do stadionu i ciągnął się jeden za drugim, tworząc masyw architektoniczny o zadziwiającej symetrii.

Nieprawdą jest, że starożytne zabytki Meksyku przypominają Grecję. Grecja to ruiny, w Meksyku trudno nawet mówić o wykopaliskach. To, co wzniesiono przed wiekami, stoi nadal w nie zmienionym, surowym, lecz pięknym pozbawionym jakiejkolwiek pretensji szyku.

Szła za nami gromada młodych i starych Indian. Jedni z pamiątkami o cenach zdecydowanie przesadzonych (kalendarze azteckie, derki, pierścionki, naszyjniki, główki bożków i sylwetki zwierząt), drudzy z przyborami do czyszczenia butów. Ciężkie, czarne, zwisające nad doliną chmury groziły lada chwila ulewą. Dwaj specjaliści górniczy zawieruszyli się gdzieś. Piramida była blisko.

— *Na serce pan nie choruje?* — zapytał Szerszeń.

— Chorowałem, ale minęło.

— *Więc niech pan wchodzi. Powoli, równomiernie, bez zrywów i przyspieszeń. Nogi należy stawiać bokiem i przesuwać się lekko wzdłuż stopni do przodu. Dobrze jest zmienić od czasu do czasu kierunek. Nie będę panu towarzyszył, ponieważ zdobywałem ten szczyt wielokrotnie. Poczekam na dole. Niech pan nie rezygnuje jednak w połowie drogi. Jak iść, to iść!*

Poszedłem. Zatkało mnie na pierwszej platformie piramidy, która objętościowo jest większa od Piramidy Cheopsa. Potem było lepiej, ale stromiej. Przeklinałem szwedzkie trepy, wdarłem się przecież na sam wierzchołek, żeby zobaczyć rozległą, groźną panoramę doliny. Dopiero stąd mogłem w pełni docenić wspaniałą precyzję i geometrię tolteckich zabytków.

Wiało. Front burzowy nadciągał nieubłaganie. Kiedy stanąłem znowu na ziemi, mówię do Szerszenia:

— Trzeba wracać.

— *Dlaczego?*

— Deszcz.

— *I tak mu nie uciekniemy, panie Andrzeju. Jak zwiedzać, to zwiedzać!*

Szliśmy więc wzdłuż prostokątnych, ustawionych jak stadiony sportowe murów w stronę Piramidy Księżycowej. Byliśmy już u jej podnóża, stawiałem już nogę na pierwszym stopniu, i wtedy lunęło!

Turyści rzucili się do ucieczki. Szerszeń, który był tylko w letniej koszulce, powiedział, że nie ma sensu się spieszyć. Od parkingu dzielą nas i tak trzy kilometry. Można biec, można iść żółwim krokiem — wszyscy będą wyglądali podobnie.

Nigdy w życiu nie byłem tak przemoknięty i nigdy w życiu nie było mi tak zimno. A przecież w pewnej chwili zacząłem się śmiać. Zobaczyłem rozpłaszczoną na trawie plandekę. Podszedłem mówiąc do Szerszenia: — Można to założyć na głowę. — Wówczas spod plandeki wychynęła szczupła, metysia rączka i jakiś typ zabeczał przyjaźnie: — *Jankes, robimy negocio?*

6.

W hotelu wziąłem długi, gorący prysznic. Połknąłem dwie aspiryny, wszedłem pod koc i rozpamiętywałem rozmowę z konsulem. Ale prawdziwą moją obsesją był Roman.

Dlaczego wraca? Coś go chyba musiało przerazić? Choroba? Jakaś sekretna informacja? Jakiś złowróżbny splot okoliczności?

Capilla en el Cerro de las Campanas

C.D.N.

Poeci Ziemi Iwanowskiej

Władimir Lebiediew

Ballada o polonezie

Szumią brzozy to głośniej, to ciszej,
Czeka słońce zamglone na burzę,
Dom żywicznym zapachem wciąż dyszy,
Sad w tarninie, a księgi pod kurzem.
Ponad rzekę wzlatują dwa tony,
Róg prowadzi ścieżkami swe stadka,
Coraz ciemniej lśnią grzbiety złocone,
Jakaż stara jest szafa pradziadka...
Pokojami znów idziem pomału,
Uśmiech dziecka się błąka po sieniach,
I przywiędła już róża od skwaru
Przyszpilona do twego ramienia.
Jak mi dobrze tak siedzieć, gdy cisza
Twoim tchnieniem oddycha na nowo,
Palce złożyć na białych klawiszach,
Serce całe otworzyć przed tobą.
Gdy wytryśnie spod palców polonez,
Pieszczotliwej poddaje się fali...
Czemuż w śpiewną tę frazę pod koniec
Szabla wdzwania brzękliwy głos stali?
Więc muzyka twardnieje i z nagła
Tonom obcej szorstkości przybywa,
A ty słuchasz zlękniona, pobladła,
Gubi płatki twa róża półżywa!
Zahuczała w parowach ulewa,
Grzmot po ziemi i niebo śród burzy,
W strugach deszczu i wichrów
Idą, idą wojowie ponurzy.
Drży klawesyn przejęty złym dreszczem,
Siecze szablą powietrze muzykant,
Plują ogniem armaty złowieszcze,
On wargami do klingi swej przypadł,
Pocałunek żelazem zatruty...
Byś przebaczyć zechciała, poprosił.
Przeciąg runął z impetem na nuty
I rozgania je, w górę unosi.
Ty nie wołaj muzyka, bo zgrzeszysz,
Tylko burza odpowie wołaniem,
W barykadę się zmieni klawesyn,
Załaduje kłoś przy nim karabin.
...I odpłynie na zachód huk trwogi,
Pastuch zajrzy w głąb twojej komnaty:
— Szlachta szablą oznacza swe drogi,
Niech się biją o swoje, psubraty...
My popatrzym... Czy car rządzi nami,
Czy król polski, na jedno wychodzi,
Szkoda tylko, że zmilkło to granie,
Com planował na dudce odtworzyć...
I przeleci przez sad niepogoda,
Chłopski topór mebelki popieści!
...Lecz polonez znów zabrzmi w ogrodach,
W nutach przyszłych pokoleń i pieśni.
Nic ulęknie się żadnych kordonów
Wiecznie młody, rozlewny jak Wisła,
Choć już nikt nie usłyszy w nim dzwonu,
Który klingą szlachecką rozbłyska.
Hen odpłyną zmętniałe łzy, troski,
Wraz ze szczęściem, tęsknoty przypływem,
Chociaż starty błysk stali z nut polskich,
Twoja róża wpół zwiędła nie zginie.
Nie uleci w zaziemskie wszak sfery
Z ziemskim strachem i bólem zarazem...
Bez nadziei polonez chciał wierzyć,
Wierną czułość ślubował odwadze.

Przełożyła:
BOŻENA KLOG-GOGOLEWSKA

Wiktor Arsentiew

Pieśń

A to pieśń jest — o tobie, dla ciebie.
Płyną kędyś po niej stada gwiazd.
Dreszcz po jeziorze przebiegł.
Tam ptaszę utajone
W zadumie pogrążone,
Zbudzone w ranny brzask
O czymś przesmutnym gędzi
Zaszyte w ciemny las.

A to pieśń jest — o tobie, dla ciebie.
W niej, w srebrzystej krynicy
Jak w teremie — świetlicy
Woda śpi jak królewna,
Jakże smutna i rzewna,
Śni, tęskni, chce wśród śnień
Ujrzeć swój ślubny dzień.

A to pieśń jest — o tobie, dla ciebie.
W niej jak w baśni — wszystko, co na sercu
I co skryte w najgłębszym „dla siebie"...
Ale oto co począć, jeśli
Nie wyśpiewa strofa mej pieśni
Ani drogi, ani gwiazd —
Pośród których, pośród których
Dążę do ciebie w nocny czas.

Przełożył:
TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Wiktor Arsentiew

Burza

Nim wybuchł ładunek nieba,
potężniał ogromnym cieniem,
aż gromowładna ulewa
grzmotnęła w spragnioną ziemię.

Lecz nic się wtedy nie stało —
i ścieżki, i gwiazdy te same —
powietrze tylko zawrzało
gardłowym wody śpiewaniem.

Tym szczęścia wysokim tonem,
napięciem strumienia w trawie,
Miłości, tyś przyszła do mnie
gwałtownie i niespodzianie.

Ma przeszłość sens utraciła,
na nowo los mój się waży...
Ty stoisz, burzy przyczyna,
pod niebem trwasz popękanym.

Wiesz, że nie zniosę już dłużej
błysków, że cisza przemokła,
uciszasz zatem tę burzę
twarz odwracając od okna.

Czyń czary, moc swą ukazuj,
prorocze sobie rość prawa!
Od chmury do chmury — lazur,
Od burzy do burzy — trawa...

Idź, miła, świat uczłowieczaj,
stwarzaj swych odbić bez liku —
płyń sadem, w modrych bądź zmierzchach,
w miłosnych bredniach słowików.

Przełożyła:
BOŻENA KLOG-GOGOLEWSKA

Leonid Wyszesławski

☆ ★ ☆

Nade wszystko
Niepokoiła go brama.
Na żelazną zasuwę
dnie i noce zamykał
za płotem.
Goście przychodzili i próżno czekali,
by im gospodarz otworzył.
Wiatr snuł się wzdłuż ogrodzenia
i nie mógł przeniknąć do środka.
Tylko gwiazdy wiedziały
co tam się dzieje.
Pewnej nocy
brama uchyliła swe skrzydło.
Wiatr pędzący po szosie
wdarł się i przewrócił wszystko
do góry nogami.
Gwiazdozbiory jeden za drugim
wpadały do ogrodu i rozjaśniały mrok.
Księżyc stoczył się
i beczkę z wodą nachylił do spękanych ust
Gospodarz spał i nie wiedział,
że jego zakochana córka
wróciła ze szczęśliwej planety
i furtkę zostawiła otwartą.

Przełożył:
WASYL KOCZNOW

Wiktor Arsentiew

Gwiazda

Kwietniowa woda spokojna,
a mosty, jak dawniej, zburzyła.
Starymi korzeniami kipiel targa
jak siła nieczysta.
Nie myśmy wydumali
symbolikę srebrnego księżyca,
nie myśmy postawili gwiazdy
na straży wieczystej.

Ileż to lat —
niecierpliwie drga światło gwiazd.
Ileż to lat —
wabiąc ludzi blasku ułudą —
towarzyszy człowieczym losom
nieznana gwiazda przewodnia —
takie bezdomne,
czasem bzdurne, czasem gorzkie cudo.

Fantaści, koneserzy miraży,
tutaj zwalcie się tłumnie!
Tu — nad mit latających spodków —
prawda wyciska swe piętno:
człowieczym losom
przewodzi nieznana gwiazda,
kruszy mosty,
gasi światła
i budzi życia tętno.

Przełożył:
STANISŁAW OSTAPOWICZ

Borys Jowlew

Jak sztaba złota...

Są w życiu daty jak gór szczyty,
gdzie widać wszystko: dal ogromną —
pełne zakrętów, długie drogi,
biegnące w jesień wiekopomną.

Błogosławione są te lata.
W nich złotej sztaby słychać drżenie,
ukryta mądrość trudnych marszów
za — wołającym nas marzeniem.

Przełożył:
JERZY GŁUSZEK

WŁADYSŁAW STRZELECKI

Łódź – Iwanowo, kronika literackiej przyjaźni

Łódź i Iwanowo — dwa miasta siostrzane, połączone tradycjami rewolucyjnego ruchu robotniczego. Na barykadach Łodzi, jak przypominał o tym Lenin, rozległy się pierwsze salwy rewolucji 1905 roku. A w Iwanowie, noszącym wówczas nazwę — Iwanowo-Wozniesieńsk — w tym samym 1905 roku powstały pierwsze Rady Delegatów Robotniczych — praobraz obecnej władzy radzieckiej. Myślę, iż nie był to zwykły przypadek, że przewodniczącym pierwszej Rady Robotniczej w Rosji był iwanowski poeta Awenir Nozdrin, którego imię nosi obecnie jedna z najmłodszych ulic Iwanowa. Słowo poetyckie zawsze było groźnym orężem rewolucji.

Pierwsza gazeta robotnicza w Iwanowie, założona w 1905 roku przez znanego pisarza Dmitrija Furmanowa, autora popularnej powieści „Czapajew", zgrupowała w kolegium redakcyjnym wielu utalentowanych twórców: Dmitrija Furmanowa, Aleksandra Woronskiego, Michaiła Artamanowa, Aleksandra Siemionowskiego, Awenira Nozdrina, Jefima Wichriewa. Z uznaniem wypowiadał się o nich W. I. Lenin, a także tacy znani pisarze jak Maksym Gorki i Walerij Briusow. Iwanowo — miasto pierwszej Rady Robotniczej na równi z Piotrogrodem i Moskwą uważane jest za kolebkę nowej socjalistycznej literatury.

Łódź i Iwanowo wiążą wspólne losy historii: są stolicami włókniarstwa, dużymi ośrodkami przemysłowymi, gdzie byt i świadomość klasy robotniczej kształtowały się podobnie, chociaż różnił je język.

Dwa miasta złączone są wspólną słowiańską krwią, przelaną w walkach o wolność waszą i naszą. „My przecież bracia — Słowianie" — tak zatytułował swój artykuł dla „Głosu Robotniczego" pisarz iwanowski Witalij Serdiuk, który kilkakrotnie gościł w Łodzi i w Skierniewicach.

W środku lat siedemdziesiątych również i Skierniewice nawiązały współpracę z Iwanowem. Rozpoczęła się ona jeszcze przed 1975 rokiem, gdy Skierniewice wchodziły w skład województwa łódzkiego. W 1979 roku została podpisana umowa między Skierniewicami i Iwanowem, obejmująca również współpracę w dziedzinie kultury.

Tygodnik „Wiadomości Skierniewickie" przez sześć lat istnienia i pożytecznej pracy opublikował kilkanaście kolumn utworów poetów i pisarzy Iwanowa i oddzielnych tworzyw przyjaciół, a Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego i Zarząd Wojewódzki TPPR w Skierniewicach wydały w roku 1980 pod redakcją Tadeusza Chróścielewskiego pierwszą w Polsce antologię poetów Iwanowa pod tytułem „Znam brzmienie słowiańskiej mowy...", zaczerpniętym z zamieszczonego w niej pod tym samym tytułem wiersza Władimira Smirnowa.

Ze strony przyjaciół takimż potwierdzeniem jest stanowisko organizacji Związku Pisarzy Radzieckich w Iwanowie, którzy podjęli decyzję wydania u siebie antologii poetów i pisarzy Łodzi i regionu. Aktualnie trwają intensywne przygotowania pod kierunkiem pisarza, sekretarza iwanowskiej organizacji Pisarzy Radzieckich Witalija Serdiuka i Wasyla Kocznowa.

Na łamach gazety „Raboczij Kraj" regularnie publikowana jest proza i poezja polskich pisarzy, szczególnie Łodzi i regionu łódzkiego. W bieżącym roku, jak zwykle, otrzymywałem od iwanowskich przyjaciół wszystkie numery z „polskimi" publikacjami.

Jednym z pierwszych był numer z 21 kwietnia poświęcony rocznicy podpisania między Polską a ZSRR Układu o Przyjaźni i Pomocy Wzajemnej. Znajdowały się w nim interesujące materiały o współpracy kulturalnej i gospodarczej pod ogólnym tytułem „41 lat trwania Układu o Współpracy".

Wśród nich wyróżniał się artykuł redaktora naczelnego gazety Eugeniusza Bogorodzkiego „Dalekie-bliskie", mówiący o pobycie W. I. Lenina w Polsce, o korespondencji, jaka przychodziła z Krakowa do rewolucjonistów Iwanowa-Woźniesieńska i zawartej w niej ocenie walk na barykadach 1905 roku w Łodzi. Autor wykorzystał nowe dokumenty odkryte niedawno w Polsce, opowiedział, o życzliwości, jaką Polacy darzyli Lenina i jego współtowarzyszy.

Drugi artykuł „Niezawodne ramię" pióra Aleksandra Pierszyna mówił o rozwoju kontaktów naukowo-technicznych między ZSRR a Polską. W tym samym numerze opublikowano też fragment powieści łodzianina Igora Sikiryckiego w przekładzie Belli Wendler, opowiadający o tragicznym dla narodu okresie okupacji, a zatytułowany „Rozstrzelane skrzypce" oraz wiersze poetów z Warszawy o wspólnym szlaku bojowym — Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego „Pod żółtym krzewem" i Jana Babicza „Zwycięstwo". Oba wiersze w tłumaczeniu Wasyla Kocznowa.

Święto Odrodzenia Polski — 22 lipca — Iwanowianie uczcili w „Raboczym Kraju" całą „polską" stroną, a właściwie „łódzką" stroną. Znalazły się na niej wiersze: Andrzeja Mikołajewskiego „Małe podwórko i koń", Jerzego Głuszka, także łodzianina, ostatnio mieszkańca Ełku, „Letni wieczór" (oba wiersze w przekładzie Mikołaja Graczowa) i Władysława Strzeleckiego „Dobry czas" (przekład Wasyla Kocznowa) oraz opowiadanie Jerzego Wilmańskiego „Wieczór autorski" (przekład Belli Wendler).

Rocznica napaści hitlerowskiej na Polskę — 1 września — została upamiętniona przez gazetę „Raboczij Kraj" polsko-radzieckimi publikacjami — prozą Tadeusza Chróścielewskiego — opowiadaniem „Rotmistrz" (w przekładzie Witalija Serdiuka) i antywojennymi wierszami Giennadija Serebriakowa.

W Iwanowie mieszka obecnie poeta i tłumacz radziecki, półłodzianin, Wasyl Kocznow. Oprócz badań nad staroruską literaturą, które wnikliwie prowadzi, wiele serca poświęca sprawom polskiego miasta włókniarzy, kieruje utworzoną przez siebie grupą tłumaczy z języka polskiego. Grupa ta popularyzuje polskich pisarzy i poetów, szczególnie twórczość łódzkiego środowiska literackiego oraz pisarzy i poetów regionu łódzkiego — Skierniewic, Piotrkowa Trybunalskiego, Sieradza i innych miejscowości, aktywnie realizuje umowy o współpracy kulturalnej Iwanowa z Łodzią i Skierniewicami.

Środowisko literackie bratniego Iwanowa aktualnie przygotowuje do wydania antologię prozy i poezji pisarzy Ziemi Łódzkiej. Stąd wyjątkowe zainteresowanie przekładami z polskiego.

Wśród tłumaczy z polskiego aktywnością i artyzmem wyróżnia się znany poeta Nikołaj Graczow. Ma on bogate doświadczenie w pracy translatorskiej, tłumaczył bowiem z wielu języków radzieckich narodów i narodowości. W przekładach z języka polskiego korzysta z tłumaczeń dosłownych, tak zwanych „rybek", zawierających wyjaśnienia trudniejszych zwrotów i idiomów, niemniej umiejętność przeniknięcia w styl mowy polskiej, łatwość transpozycji trudnych metafor i pojęć budzą powszechny podziw. Z łódzkich twórców przekładał Henryka Hartenberga, Mirosława Kuźniaka, Dorotę Chróścielewską, Andrzeja Mikołajewskiego i Edwarda Kolbusa.

Bella Wendler z grupy tłumaczy, utworzonej przez Wasyla Kocznowa, świetnie zna polski, czuje jego „duszę". Tłumaczy przede wszystkim prozę. Potrafi nie tylko znaleźć właściwy i świeżo brzmiący odpowiednik słowa, ale i przekazać autorski styl pisarski. Jej przekłady są przyjmowane często jako oryginalne, napisane po rosyjsku utwory, co jest dla tłumacza najwyższym wyróżnieniem. Przełożyła na rosyjski Leona Gomolickiego, Stanisława Czernika, Henryka Jachimowskiego, Eugeniusza Iwanickiego, Henryka Czarneckiego, Tadeusza Papiera, Tadeusza Chróścielewskiego, Jerzego Wilmańskiego, Igora Sikiryckiego i innych. Ma w swoim dorobku również dramat H. Jachimowskiego „Makijaż", który przygotowuje na scenę wraz z moskiewskim reżyserem Edwardem Racerem. Ukończyła przekład bajek dla dzieci Marka Nejmana z Sochaczewa. Obecnie ma na warsztacie „Dzikie muzy" L. Gomolickiego i „Władcę zielonych ogrodów" E. Iwanickiego.

Ten sam talent i ta sama dociekliwość dla oddania ducha utworów polskich pisarzy i poetów, czyniące wspaniałymi przekłady z języka polskiego Nikołaja Graczewa i Belli Wendler cechuje poetę i krytyka literackiego Wiktora Sokołowa (pseudonim Wiktor Arsentiew), który jest sekretarzem redakcji „Raboczego Kraju".

Podkreślam bardzo udane tłumaczenia wierszy Tadeusza Chróścielewskiego z tomu „Tożsamość", dokonane przez Wiktora Arsentiewa (Wiktora Sokołowa). Tłumacz lubi poezję intelektualną, wiersz swobodny, biały. Udało mu się przekazać po rosyjsku szczególną manierę poetycką T. Chróścielewskiego, co było zadaniem trudnym wobec rozpowszechnionej w rosyjskim tradycji poezji rymowanej.

Próbuje swych sił w przekładzie również Witalij Serdiuk — prezes iwanowskiego oddziału Związku Pisarzy Radzieckich. Przy tłumaczeniach korzysta z „rybek". Jego pierwsze kroki są pewne i obiecujące.

Tłumaczenia z polskiego dokonywane są również przez literatów spoza Iwanowa, zgrupowanych wokół Wydawnictwa Górnej Wołgi. Są to Władimir Lebiediew z Jarosławla który tłumaczył wiersze Jana Czarnego i Władimir Zima z Władimira.

Inicjator wspomnianej antologii, nasz półłodzianin Wasyl Kocznow pracuje nad doborem tekstów ubiega się o dobre przekłady, weryfikuje je, czasami również przygotowuje „rybki" i oczywiście wiele czasu poświęca własnym tłumaczeniom.

Przekłady wszystkich cechuje staranność, dokładność i piękno.

Jak w życiu – tylko o stopień wyżej

Rzecz działa się w 1930 roku w Warszawie. Do legendarnego dyrektora *Reduty* Juliusza Osterwy zgłosił się szesnastoletni uczeń gimnazjum Wojciecha Górskiego. — *Kocham teatr* — powiedział — *i pragnę zostać artystą.* Osterwa nie miał zwyczaju zbywać kogokolwiek. — *A jak się nazywasz?* — zapytał. — *Włodzimierz Kwaskowski.* — *A więc posłuchaj, Włodziu. Czy zostaniesz artystą, to czas pokaże. Ale skoro kochasz teatr, musisz przede wszystkim zostać człowiekiem teatru. Dziś mogę ci zaproponować zamiatanie sceny. I jeszcze jedno! Możesz mi mówić: panie Juliuszu.*

I tak się zaczęła przygoda z teatrem Włodzimierza Kwaskowskiego. Przygoda, która trwa już ponad 55 lat. Po gorliwym zamiataniu sceny skierowany został do modelatorni, później kolejno do stolarni, fryzjerni i archiwum. Dla uzupełnienia edukacji — dyżur biletera, do którego obowiązków należała obsługa gongu.

Po gruntownym zapoznaniu się z pracami pomocniczymi nastąpił wymarzony moment: debiut sceniczny w bajce *Okruchy zaklętego zwierciadła* w roli Renifera.

* * *

30 września 1986 roku. Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi. Kurtyna idzie w górę. W programie wieczoru *Pan Jowialski* Aleksandra Fredry z Włodzimierzem Kwaskowskim w roli tytułowej. Tego dnia świetny aktor święcił piękny i rzadki jubileusz 55 lat pracy scenicznej.

Na widowni przedstawiciele władz: sekretarz KC PZPR *Andrzej Wasilewski*, minister kultury i sztuki prof. dr *Aleksander Krawczuk*, I sekretarz KŁ PZPR *Józef Niewiadomski* i inni, a także wypełniający wszystkie krzesła wdzięczni Artyście-Jubilatowi łodzianie. Wdzięczni za wieloletni owocny trud aktorski związany w wielkiej części z Łodzią i z Teatrem Jaracza, za liczne chwile wzruszeń i refleksji, których Włodzimierz Kwaskowski był animatorem.

Nic dziwnego, że już na samo pojawienie się na scenie Jubilata wszyscy zerwali się z miejsc w gorącej i długotrwałej owacji. A po spektaklu przemówienia, depesze gratulacyjne, kwiaty....

* * *

Długie życie aktora, który związał się z teatrem na dobre i na złe, jest tak obfitujące w wydarzenia, że trudno je spisać i wtłoczyć w ramy jubileuszowej publikacji. Odnotujmy zatem niektóre tylko wybrane fakty:

...w 1935 roku gra w Teatrze Narodowym w *Panu Benecie* Fredry w reżyserii Stanisława Stanisławskiego...

...w tymże roku uczestniczy w strajku okupacyjnym w teatrze *Comoedia* za dyrekcji Eugeniusza Poredy...

...1937. Wchodzi w skład prapremierowej obsady *Gałązki rozmarynu* Zygmunta Nowakowskiego (dziś po latach obsadzony jest w Teatrze Jaracza w tej samej sztuce, oczywiście w innej roli)....

...zdaje egzamin aktorski eksternistycznie, grając rolę Jukliego w *Sędziach*, Jaśka w *Weselu*, Malwolia w *Wieczorze Trzech Króli* i Stolarza Engstranda w *Upiorach*.

... we wrześniu 1939 roku wyniósł z gmachu teatru gong *Reduty*...

...1945. Z Teatrem Wojska Polskiego pod dyrekcją Władysława Krasnowieckiego przybywa do Łodzi, gdzie pozostaje przez jeden sezon, występując w *Weselu* (Ojciec), *Uczniu diabła*, *Dożywociu* (z Aleksandrem Zelwerowiczem) i *Weselu Figara*....

...zweryfikowany jako reżyser w teatrze Iwo Galla po przygotowaniu *Chorego z urojenia* Moliera...

...via Kraków, Wybrzeże, Warszawa, Katowice i Szczecin wraca w 1961 roku do Łodzi, by już miastu i Teatrowi Jaracza pozostać wiernym po dzień dzisiejszy...

...gra w: *Volpone* (rola tytułowa), *Kordianie* (Wielki Książę), *Panu Jowialskim* (Szambelan), *Krakowiakach i góralach* (Miechodmuch) *Igraszkach z diabłem* (Sarka-Farka) i w tylu, tylu innych rolach....

...bierze udział w ponad 200 filmach, m.in. w pierwszym nakręconym po wojnie obrazie *Łódź* Leonarda Buczkowskiego, w *Hallo, Szpicbródka* (Salomonowicz), w serialu Ryszarda Bera *Lalka* (Szlangbaum), w *Domu św. Kazimierza* (Kapelan Spoczyński), w filmie Kazimierza Karabasza *Cień już niedaleko* (Leon)...

...w wystawionych na inaugurację Studia Telewizyjnego ŁOT w 1958 roku *Sędziach* zagrał Samuela...

Wyrywkowość tych jedenastu informacji jest aż żenująca. Droga aktorska i reżyserska Kwaskowskiego wymaga obszernego opracowania, a tu dajemy tylko próbki dla celu doraźnego, jakim jest jubileusz.

* * *

Pytam:

— Co uważasz za najważniejsze w teatrze, za imponderabilia?

Kwaskowski odpowiada:

— Uczciwość i prawdę aktorską.

— Jak do tego dochodzisz?

— Pracując nad plastyką słowa, dykcją, opanowaniem ruchu i gestu, charakteryzacją.

— Twój stosunek do brechtowskiej teorii aktorskiej, do referowania postaci przez jej wykonawcę, do bycia obok postaci, a nie w niej?

— Nigdy nie gram komentarza do postaci ani postaci-symbolu. Scena nie znosi efemeryd ani mglistych zarysów. Tworzę zawsze konkretną postać, a sprawą autora jest przydanie jej ewentualnych cech symbolicznych.

— Czy to równoznaczne jest z wyznawaniem przez ciebie konwencji naturalistycznej?

— Nie. Pan Juliusz opowiadał kiedyś, jak to był w klasycznym teatrze japońskim. Zafascynowany grą głównego aktora zapytał: — *Jak pan to robi?* Japończyk odpowiedział: — *Gdy piję na scenie herbatę, czynię to tak jak w życiu, tylko ...o stopień wyżej.* Właśnie o to chodzi w aktorstwie! Grać jak w życiu, tylko o stopień wyżej.

— Twój stosunek do tekstu?

— Znowu powołam się na mojego mistrza. Mówił on: — *Mickiewicza i Słowackiego graj prozą. Autorzy zadbali o to, by najważniejsze słowa były we właściwym miejscu.* I jeszcze Osterwa: — *Dawniej akcentowałem wszystkie słowa. Teraz wiem, że czasem trzeba przelecieć, przelecieć, natomiast wybijać słowa węzłowe dla treści.* Od siebie ośmielę się dodać: nie religijne padanie plackiem przed tekstem, ale poważne jego traktowanie.

— Czy jesteś zwolennikiem ścisłej dyscypliny wymagającej od aktora przygotowywania się w garderobie do występu długo przed gongiem rozpoczynającym spektakl?

— Regulamin ZASP stawiał wymóg przebywania w garderobie na co najmniej 45 minut przed wyjściem na scenę. Dziś tempo życia jest inne. Ale przed ukazaniem się publiczności trzeba zrzucić z siebie piętno prywatności, balast codziennych kłopotów. Nie pozwalałem sobie nigdy na lekceważenie widzów.

* * *

Pisać recenzję z przedstawienia jubileuszowego, odświętnego, bywa zadaniem diablo trudnym, wymagającym od krytyka umiejętności dyplomatycznych. Oczekuje się bowiem od niego skierowania wszystkich świateł na jubilata i obligatoryjnych zachwytów — nawet wbrew przekonaniu — nad jego grą.

Na szczęście przedstawienie *Pana Jowialskiego* w reżyserii *Tadeusza Bradeckiego*, jak i interpretacja roli tytułowej przez *Włodzimierza Kwaskowskiego* nie wymaga takich sztucznych zabiegów, ani okazjonalnych, nieszczerych komplementów. Spektakl przygotowany został jako całość z wielką konsekwencją, a świetną grę Jubilata obudowano bardzo dobrym wykonawstwem ról przez partnerów.

Tak tedy pisać mogę o tym przedsięwzięciu z uznaniem, bez nadmiernego uwypuklania roli Pana Jowialskiego, z czego sam aktor nie byłby zapewne zadowolony. Za bardzo szanuje on teatr i jego prawa zbudowane na zbiorowym wysiłku, by życzyć sobie wyizolowania własnej osoby i oderwania jej od efektu wspólnej pracy.

Zresztą *Pan Jowialski*, którego premiera miała miejsce 1 czerwca, przed przerwą wakacyjną, nie był przygotowany na jubileuszową pompę. I to dobrze. Dzięki temu jest przedstawieniem *normalnym*, nie żadnym benefisem.

Tak się złożyło, że z tygodniową przerwą oglądaliśmy dwa widowiska fredrowskie: *Śluby panieńskie* w Teatrze Powszechnym, z których miałem możność składać sprawozdanie w *Odgłosach*, i *Pana Jowialskiego*. Niewątpliwie dwie perły w twórczości hrabiego Aleksandra. W obu przypadkach zrezygnowano z tradycyjnej sceny *pudełkowej*, napompowując jakby tlenu do nieco zatęchłej i archaicznej atmosfery galicyjskiego dworku szlacheckiego. Scenograf *Pana Jowialskiego* — *Urszula Kenar* poszła po tej linii bardzo zdecydowanie, wprowadzając jako akcenty plastyczne stado żywych gęsi, tak charakterystycznych dla wiejskiej sielanki.

W tym miejscu gęsiom należy się od recenzenta mały wtręt. Wiadomo, że to ptactwo nie tylko uświetnia stoły biesiadne jako wonne pieczyste, ale wykazuje także dużą wrażliwość, że wspomnę gęsi kapitolińskie, które geganiem uratowały Rzym przed podstępnym atakiem Gallów pod wodzą Brennusa.

W *Panu Jowialskim* młodsze koleżanki gęsi kapitolińskich znalazły się także na wysokości zadania, reagując głośno i trzepocząc skrzydłami w węzłowych momentach akcji scenicznej. Stanowczo udały się te gęsi reżyserowi i scenografowi!

A teraz znów poważnie. Tadeusz Bradecki zaatakował szaniec — jakim dla współczesnego teatru jest *Pan Jowialski*, jeśli nie chce się go traktować jako ramoty — z temperamentem, humorem, a gdzie sztuka istotnie się zestarzała — z dyskretnym dystansem. W sumie uzyskaliśmy widowisko żywe, ani przez chwilę nie nużące. Z pomocą pospieszył tu reżyserowi zespół aktorski, który zapewnił przedstawieniu bardzo dobre wykonawstwo.

Na pierwszy plan wysuwa się *Bogusław Sochnacki* w roli Szambelana. Widziałem w życiu wielu znakomitych Szambelanów, w tej liczbie Aleksandra Zelwerowicza i Henryka Szletyńskiego. Z pełną odpowiedzialnością stwierdzam, że Sochnacki rolą tą nawiązał do najlepszych tradycji polskiej sceny. Postać, jak by nie oceniać, przygłupa wyposażył w tyle ciepła, umiaru i promiennej wesołości, że to dokonanie aktorskie wspominać będziemy długo. W świetnej karierze artystycznej Sochnackiego Szambelan zapisze się w sposób trwały.

Z kolei wykonawcy ról Ludmira i Wiktora, dwaj *Mariusze — Wojciechowski* i *Saniternik*. Stanowią oni sprawdzony już tandem, jak Lelum i Polelum, że przypomnę tu tylko role Konrada i Księdza Piotra w *Dziadach* oraz Gogo i Didi w *Czekając na Godota*. Jest to minizespół, sprawny, skontrastowany, inteligentny i rozumiejący się wzajemnie. Zwłaszcza na Wojciechowskim spoczęły zadania lekkiego kompromitowania archaicznych fragmentów tekstu.

Panią Jowialską zagrała z umiarem, bez próby ośmieszania tej postaci, *Irena Burawska*. Również powściągliwa, nie próbująca szarży, a przecież wyrazista jest Szambelanowa *Zofii Tomaszewskiej*. *Grażyna Walasek* w roli Heleny trafnie dostroiła się do tonacji przedstawienia, zręcznie balansując na granicy uroku i naiwności. W miarę zabawnym i w miarę gwałtownym Januszem był *Leon Charewicz*. Dowcipne wstawki pantomimiczne zaprezentował *Leszek Zdybał* (Lokaj).

A teraz, *last but not least*, Włodzimierz Kwaskowski w roli starego facecjonisty, nieco (z woli autora) nudnego Pana Jowialskiego. Jest to postać napisana przez Fredrę w jednej tonacji, rodzaj katarynki. Nie ma tu materiału na wielką kreację.

Jowialski stanowi jednak zwornik spinający całą akcję komedii. Wielkie doświadczenie i bogate środki aktorskie, jakimi dysponuje Jubilat, wpłynęły decydująco na sukces całego przedstawienia.

Życzymy Jubilatowi wielu nowych, podobnych temu, triumfów scenicznych! Ad multos annos, Włodziu!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Aleksander Fredro *Pan Jowialski*; reżyseria — *Tadeusz Bradecki*; scenografia — *Urszula Kenar*; muzyka — *Jan Kanty Pawluśkiewicz*; kompozycja światła — *Krzysztof Sendke*; Teatr im. Stefana Jaracza — premiera prasowa 30 września 1986.

Włodzimierz Kwaskowski w roli Pana Jowialskiego. **Foto: Romuald Sakowicz**

Pigmalion z musicalu

Bywa, proszę państwa, że ktoś popada w taki zachwyt nad własnym dziełem, że nie może od niego oderwać oczu i pragnie, by inni je również podziwiali. Nie wiadomo, czy zaczęło się to od króla Cypru, Pigmaliona, który po amatorsku uprawiał rzeźbiarstwo (nie wykluczam, że ze szkoda dla sprawowania rządów). Po wyrzeźbieniu posągu pięknej dziewczyny tak się w nim zakochał, że błagał Afrodytę, by mu istotę równie piękną naraiła za żonę, bogini zaś doszła do wniosku, że najpraktyczniej będzie po prostu ożywić posąg.

Jak układało się życie Pigmaliona z istotą powołaną do życia — o tym mitologia milczy, nie dziwi więc, że znany z przekory brytyjski dramaturg irlandzkiego pochodzenia, jeden z najsławniejszych autorów swojej epoki, Bernard Shaw, postanowił tego dociec. Uwspółcześnił więc mit o Pigmalionie, podstawił w miejsce króla profesora fonetyki i wielkiego ekscentryka, profesora Henry Higginsa, który umyślił sobie w celach naukowego eksperymentu natchnąć wzniosłym duchem dość prymitywną osóbkę, uliczną kwiaciarkę Elizę Doolitle, uczynić z dziecka londyńskiego przedmieścia światową damę przez pokonanie najtrudniejszej z przeszkód, jeszcze trudniejszej niż dobre maniery, jaką stanowi dla człowieka z „nizin" poprawność języka literackiego. Komedia Shawa święciła przez wiele lat triumfy na całej kuli ziemskiej, w tym również w Polsce i bywa grywana z powodzeniem do dziś, największy jednak sukces wątkowi Pigmaliona zapewniła musicalowa adaptacja, znana pod tytułem „My fair lady", będąca współczesnym dziełem **Fredericka Loewego i Alana Jay Lernera**, która miała swą głośną premierę w 1956 r. na nowojorskim Broadwayu.

Największym odstępstwem od pierwowzoru pozostało zakończenie, w przeciwieństwie bowiem do Shawa, który nie wierzył, by Eliza mogła zaznać szczęścia przy boku despotycznego i zadufanego w sobie profesora, autorzy musicalu uznali, że losy tych dwojga zrosły się nierozdzielnie w ciągu miesięcy wspólnej udręki. Co prawda sama scena końcowa przedstawiając pokorną Elizę przynoszącą swemu panu i władcy domowe pantofle, choć zadowala naszą próżność męską, musi być uznana, gwoli sprawiedliwości, za sprzeczną z... ideami emancypacji kobiet...

Przedstawienie wyreżyserował w Teatrze Muzycznym dobrze znany łodzianom i wielce przez nich lubiany **Andrzej Żarnecki**, dość rzadkie połączenie aktora dramatycznego o dobrze wyszkolonym głosie, a kierownictwo muzyczne objął szef placówki **Rajmund Ambroziak**. Trzeba z zadowoleniem stwierdzić, że to kolejne ostatnimi czasy odstępstwo od konwencji tradycyjnej „operety" wymuszające na wykonawcach kameralowe aktorstwo będące nie do pogodzenia z operetkową sztampą — nie tylko wyszło zespołowi na dobre, ale też ujawniło znów (jak w „Skrzypku na dachu"), że duża część zespołu z przekonaniem wypełnia te zadania.

Z głównych postaci najważniejsza jest, moim zdaniem, kwiaciarka **Eliza**, ponieważ musi ona roztoczyć przed widzem cały przebieg stopniowego przeobrażania się z „poczwarki w motyla" (według ulubionego zwrotu dawniejszych recenzentów). HANNA MATYSKIEWICZ przeprowadziła tę metamorfozę z należną wiarygodnością, ujawniając też poczucie humoru i szeroką skalę środków od charakterystyczno - komicznych po czysto brzmiący liryzm, w doskonałej symbiozie aktorstwa ze śpiewem, który mógł zadowolić słuchaczy pięknym brzmieniem wprawnego głosu, muzykalnością frazy i nienaganną techniką wokalną. Doprawdy trudno się dziwić Higginsowi, że ostatecznie uległ urokom tej postaci.

Ze swoich również złożonych zadań wywiązał się Żarnecki ze swobodą i błyskotliwością, a przede wszystkim zbudował konsekwentną, spójną postać człowieka pełnego nonszalancji wobec własnego środowiska i lekceważenia wobec ludzi z tzw. wówczas „nizin", co w przekonujący sposób uzasadniało wewnętrzne opory, z jakimi przyszło mu się borykać, nim zdołał dostrzec w Elizie godną siebie partnerkę. Chwilami jednak odnosiłem wrażenie, że partia wokalna była dla niego zbyt nisko napisana i z tego powodu średnica nie brzmiała zbyt nikle.

Nie mniej popisową rolę **Alfreda Doolitla**, ojca Elizy stworzył ZBIGNIEW BOBOWSKI, pełen przebiegłości i cynizmu domorosły filozof z lumpenproletariackim światopoglądem. Znakomicie zwłaszcza interpretował wokalnie i aktorsko „Mały szczęścia łut".

Ale znamienne, że gdy rzecz toczyła się między tymi trzema postaciami, miało się poczucie całkowitego przełamywania sztywnych konwencji operetkowych, gdy natomiast w akcję wkraczały inne osoby, np. **Pułkownik Pickering** (JERZY NEJMAN), skądinąd dobrze władający wokalno-aktorskim warsztatem, ulatniała się atmosfera musicalu. Z pozostałych wykonawców, mających zadania zarówno aktorskie, jak i wokalne wyróżniłbym przede wszystkim IRENEUSZA JAKUBOWSKIEGO **(Freddy Eynsford-Hill)**. Wyraziście i sprawnie ruchowo przebiegały sceny zbiorowe.

Dekorację pomyślano funkcjonalnie, gdyż poza bocznymi schodami i centralnymi drzwiami traktowała pozostałe elementy wymiennie, zależnie od potrzeby i stosunkowo sprawnie. Kostiumy gustowne, z natury rzeczy były nie tak strojne, jak w typowej operetce.

Orkiestra towarzyszyła solistom czujnie i precyzyjnie, dobrze brzmiały chóry. Słowem, przedstawienie przygotowano pieczołowicie i można je uznać za jedną z lepszych premier łódzkich rozpoczętego sezonu. Ten musicalowy Pigmalion ma, jak przypuszczam, wszelkie szanse by jak najdłużej utrzymywać się w repertuarze.

JERZY KWIECIŃSKI

„My fair lady", Musical w dwóch aktach. Muzyka — Frederick Loewe, libretto i teksty piosenek — Alan Jay Lerner. Przekład — Antoni Marinowicz i Janusz Minkiewicz. Inscenizacja i reżyseria — Andrzej Żarnecki, kierownictwo muzyczne — Rajmund Ambroziak, scenografia — Andrzej Sadowski, choreografia i ruch sceniczny — Włodzimierz Traczewski, kierownictwo chóru — Roman Paniuta. Premiera 11 października 86 r. w Teatrze Muzycznym w Łodzi.

Nie żałuję niczego

Rozmowa z EWĄ ŚNIEŻANKĄ.

Foto: Zdzisław Walter

Dawno już stwierdzono, że EWA ŚNIEŻANKA jest jednym z największych talentów wokalnych w polskiej piosence. Talent wylansowano, wykorzystano (bronił naszych barw na wielu zagranicznych festiwalach piosenki i eksportowych koncertach na obu półkulach) i... zajęto się szukaniem nowych głosów a że wspaniałe głosy nie rodzą się u nas zbyt często, Śnieżanka wciąż pozostaje w czołówce piosenkarskich gwiazd choć tych, których się już nie lansuje.

Rodowita łodzianka, od lat warszawianka, śpiewa w Łodzi rzadko, ale za to gdy już się tutaj pojawi (niedawna seria koncertów i recitali) zawsze spotyka się z ogromnym aplauzem publiczności. Ostatnio o Ewie Śnieżance znowu głośno. Na lipcowym Międzynarodowym Festiwalu Piosenki na Kubie uhonorowano polską gwiazdę aż trzema głównymi nagrodami! Jej występy w luksemburskim lokalu „La Reserve" komentowano różnie i dwuznacznie.

— Podobno kandyduje pani do zaszczytnego tytułu „polskiej Lizy Minnelli"?

— Nie jestem jedyną piosenkarką, porównywaną do tej wielkiej amerykańskiej artystki i choć wiem o przypisywanych mi podobieństwach sama nigdy tak o sobie nie myślałam.

— Będąc wielokrotnie w USA, widziała pani tę gwiazdę na żywo?

— Tak, kilkakrotnie, m. in. w specjalnie dla niej napisanym przez twórców „Kabaretu" musicalu „The Act". Rzecz o tyle zabawna, że tego samego dnia znalazłam się na Broadwayu, aby zobaczyć to przedstawienie. I zobaczyłam, aby wyjść z niego z podwyższoną temperaturą i zadać jedno pytanie: „O której godzinie odlatuje najbliższy samolot do Polski i co ja robię w tym kraju?". Oczywiście że osobowość i temperament, sposób śpiewania i aktorstwa Lizy Minnelli są mi bliskie, ale podobieństwo to bzdura choć z kolei schlebia mi to porównanie. Skoro już mówimy o podobieństwach, to często bywam porównywana do Krystyny Jandy. Ludzie uważają że jesteśmy podobne w sposobie podawania siebie, egzaltacji, gestykulacji. Nawet w Hawanie zostałam pomylona z Jandą, pytano mnie, ile filmów nakręciłam z Andrzejem Wajdą, co obecnie kręcę i... że bardzo mnie lubią.

— Jakie inne znakomitości piosenkarskie oglądała pani podczas licznych wojaży po świecie?

— Wiele, m.in. D. Warwick, D. Summer, Ch. Aznavoura, T. Jonesa, A. Quinna. Spotkania z nimi to ogromne przeżycie artystyczne, za każdym razem innego kalibru.

— Czy będąc w Nowym Jorku, Paryżu czy Londynie umiała pani w pełni wykorzystać swój czas poza śpiewaniem?

— Śpiewanie za granicą zajmuje niewielki fragment tych podróży, więc wypełniałam swój czas jak tylko się dało najciekawiej, najpożyteczniej...

— Jak naprawdę, bez lukrowania, wyglądają występy polskich piosenkarzy na Zachodzie?

— Zależy, jaką publiczność mamy na myśli. Inaczej występuje się przed Polonią, inaczej przed publicznością amerykańską. To obszerny temat. Polonia charakteryzuje się sentymentem, traktuje polskich artystów jak ludzi, którzy przyjechali „za chlebem", może dlatego są często zbyt poufali, bo w każdej chwili mogą zaprosić ulubieńca na drinka. Faktem jest, że ten kraj zmienia ludzi na niekorzyść i dla wielu okazał się wręcz nieszczęśliwy. Nie wszyscy potrafimy znaleźć się w kraju, gdzie z trudem można znaleźć duszę słowiańską. Gubi nas sentymentalizm. Publiczność tamtejsza jest inna, bardzo obiektywna, wychwytująca błędy bez sentymentu. Śpiewałam dla obu typów publiczności, stąd tak zróżnicowana ocena.

— Ciekawy jestem, czy tam lepiej opłaca się być podobną do którejś z wielkich gwiazd, czy też raczej trzeba pozostać sobą?

— Lepiej jest być sobą, nigdy nie wymyślałam siebie na podobieństwo kogoś bo mam za dużo pomysłów na siebie.

— Jaka pani była na różnych etapach swojej kariery?

— Przez wiele lat nie miałam świadomości śpiewania, otwierałam usta i wydobywałam różne dźwięki w górę i w dół swojej trzyoktawowej skali głosu. Dopiero po latach zrozumiałam, że nie zawsze śpiewać głośno to znaczy dobrze, że szeptem też można przekazać różne treści. Po pewnym czasie zdobyłam świadomość tego, co robię i potrafiłam nad tym zapanować. Różne etapy śpiewania wiążą się z moim dojrzewaniem, sposobem patrzenia na ludzi i życie. Dziś nie powiem, że się zestarzałam, lecz wydoroślałam.

— Który okres był najciekawszy?

— Lata 1976—1980, czyli okres wielu międzynarodowych festiwali i uzyskanych na nich nagród. Także wybór w Kanadzie mojego longplaya nagranego w Polsce („To nie był wcale nasz ostatni walc") płytą roku, uplasowanie mojego nazwiska w plebiscycie „Kuriera Polskiego" na 10 najpopularniejszych ludzi w Polsce, wybór piosenki „Warszawskie nowe tango" przebojem roku, nagranie drugiego longplaya i ogólne zainteresowanie tym, co robię.

— Czy wykorzystała pani wszystkie swoje szanse, czy też ich wykorzystanie nie tylko od pani zależało?

— Niestety, nie tylko ode mnie. Zauważyłam w sobie pewne zniechęcenie, choć zawsze bardzo lubiłam śpiewać i wciąż mam masę koncertów. Nie umiem pukać do odpowiednich drzwi, nie mam menażera, mój jedyny kontakt ze środowiskiem to mój telefon. Nabrałam dystansu do środków masowego przekazu zajmujących się reklamą, lansowaniem i doszłam do wniosku, że mnie się już po prostu nie chce. Tym bardziej, że mam mnóstwo propozycji i częste wyjazdy. Na rynku pojawiają się wciąż nowi ludzie, panują nowe mody. Jesteśmy jedynym krajem, w którym przy wprowadzaniu nowych ludzi na rynek piosenkarski zapomina się o tych, którzy coś dla piosenki zrobili. Jest cała plejada odsuniętych nazwisk, które mimo to wciąż mają swoich odbiorców. Optymizmem napawa obecny powrót do piosenki „środka" dla szerokiej publiczności.

— Czy karierę piosenkarską łatwiej było zaczynać wtedy, gdy pani stawiała pierwsze kroki, czy też łatwiej jest o dobry start obecnie?

— Wydaje mi się, że chyba jest trudniej i będzie coraz trudniej zrobić nazwisko, bo ludzie mają teraz znacznie więcej problemów niż np. 10 lat temu. Jesteśmy krajem bardzo muzykalnym i potrzebującym sztuki estradowej, lecz ludzie nie potrafią już reagować tak spontanicznie jak kiedyś.

— Jak znajduje pani te wszystkie młode osoby, które pojawiają się (i nie gasną) na naszym rynku?

— Mam swoje typy, z niektórymi jestem zaprzyjaźniona i chętnie bym im pomogła. Ale są osoby, co do których jestem zdziwiona, że publicznie śpiewają.

— Całe lata nie było konkurencji dla pani charakterystycznego sposobu śpiewania, ale ostatnio lansuje się Agnieszkę Fatygę. Czy w związku z tym czuje się pani zagrożona?

— Całe szczęście, że jest nas sporo i nie rozumiem — dlaczego pojawienie się kogoś nowego uważa się za konkurencję.

— Niedawno oglądaliśmy panią, nawet dwukrotnie, w nowym programie telewizyjnym „Kartki z podróży", choć w repertuarze, który już gdzieś słyszałem. Czy naprawdę nie stać pani na przygotowanie premierowego repertuaru z dobrymi, nowoczesnie zaaranżowanymi piosenkami, zgodnie z najnowszą modą światową?

— Takie było założenie pani reżyser, która chciała, żeby był to wspomnieniowy program z repertuarem moich dawnych i nie najnowszych przebojów. Mam opracowany nowy, światowy repertuar, ale jest on jeszcze nie nagrany w studio. Śpiewam go jedynie na koncertach. Poza tym, zmieniły się czasy, dla mnie na niekorzyść, teraz ja muszę wydzwaniać do kompozytorów, którzy są bardzo zajęci. Kiedyś było inaczej...

— Co więc zależy tylko od pani i czy pani rzeczywiście to wykorzystuje?

— Myślę, że nie wszystko wykorzystuję, pewnie dlatego, że z natury jestem leniwa. Ale choć uwielbiam śpiewać, coraz częściej zadaję sobie pytanie: — komu dzisiaj jest to naprawdę potrzebne?

— Oj, przydałby się ktoś, kto by panią...

— Tak, tak, przydałby się ktoś z batem, ktoś kto by mi zorganizował to całe zaplecze, bo choć poza śpiewaniem umiem jeszcze parę rzeczy, to dla siebie jestem kiepskim menażerem. Podziwiam kolegów potrafiących połączyć talent z umiejętnością sprzedania siebie. Po audycji „Studia Rytm" w I Programie PR, do której zostałam zaproszona w charakterze gościa, było do mnie mnóstwo telefonów z całej Polski i wiele pytań dotyczących moich planów, wtedy uświadomiłam sobie, iż może warto śpiewać dla tych ludzi, którzy dzwonili do studia.

— Ale już tylko od pani talentu zależy, aby od czasu do czasu zaskoczyć swych wielbicieli i antagonistów, co jest nieodzownym atrybutem każdej liczącej się na rynku gwiazdy?

— Ktoś mądry z branży powiedział, że moją największą bolączką jest to, iż nie zetknęłam się z kompozytorem, który wiedziałby co trzeba dla mnie pisać. Dlatego śpiewam różne gatunki piosenki, co stawiane jest mi jako zarzut, wciąż szukam w piosence siebie, mam niedosyt i wciąż jestem w oczekiwaniu, że spotkam kogoś z kim mogłabym się w pełni porozumieć.

— Wciąż pamiętam panią ze sceny musicalowej w programie rewiowym „Miejsce dla gwiazdy" wystawianym przez warszawski Teatr na Targówku, ale która z piosenkarek poza Violettą Villas może sobie teraz pozwolić na luksus występowania w teatrze?

— U nas nie ma tradycji musicalowych i ten gatunek przez cały czas pozostaje w powijakach. Mnie jest on bardzo bliski i stwierdzam z żalem, że nie ma u nas teatru musicalowego, gdzie czułabym się najlepiej.

— Jaką przyszłość przepowiadano pani na początku kariery?

— Uważano mnie za piosenkarkę wszechstronną wokalnie, ale nikt mnie nie uplasował w jednym wybranym gatunku i tak już zostało. Ale ponieważ z natury jestem optymistką, sądzę, że wszystko jeszcze przede mną.

— A gdyby raz jeszcze miała pani zaczynać swoją karierę?

— Nie, nie żałuję niczego w swoim życiu, zarówno tego co dobre, jak i tego co złe. Rozpatrując problem teoretycznie — wiem jakie popełniłam błędy i choć śpiewanie zawsze było dla mnie bardzo ważne, to jednak znalazło się parę ważniejszych spraw w moim życiu i coś chyba przegapiłam. A poza tym pewnie nie mam w sobie siły przebicia, która w tym zawodzie jest niezbędna. Sam talent nie wystarczy, a i on nie jest moją zasługą. Mój głos to dar natury.

— Czy więc ten zawód daje pani wciąż tyle samo satysfakcji?

— Tak, bo jest to zawód, który może dawać satysfakcję jak mało który.

— A co pani myśli, gdy na widowni widzi wiele pustych miejsc?

— Nic nie widzę, bo reflektory zawsze świecą prosto w oczy...

— Co czuje pani, gdy w radio i telewizji królują teraz inne piosenkarki?

— Nic nie czuję, bo gdy słucham innych jestem przeciętnym słuchaczem.

— Podobno jeździ pani z niezliczoną ilością koncertów, występuje po dwa, trzy razy dziennie, nie dbając o higienę psychiczną i szarżując głosem?

— Duża ilość koncertów nie dotyczy tylko mnie, wszyscy polscy piosenkarze zarabiają w ten sposób. Ciekawa jestem — kto tak bardzo troszczy się o moje struny głosowe, bo jak na razie nie mam z nimi problemów.

— Pieniądze szczęścia nie dają...

— ...ale za to można robić zakupy.

— Dlaczego ubiera się pani na czarno?

— Mam dwa ulubione kolory: biel i czerń. Czuję się w nich ubrana.

— Co sądzi o pani piosenkach i sposobie śpiewania syn Filip?

— Jest w stosunku do mnie bardzo krytyczny i chociaż bardzo się staram, przegrywam z zespołami „Republika" i „The Cure".

— Nigdy nie próbowała pani śpiewać rocka, disco?

— Nie próbowałam, poza „I will survive" (po polsku „Ja jestem tu"), nie bardzo umiałabym tak śpiewać. Musiałoby mnie coś zdopingować, abym uwierzyła, że potrafię to robić.

— Jest pani piosenkarką komercyjną, z konfekcyjnym, ładnie opakowanym repertuarem, gdzie podziały się dawne ambicje i pasje?

— Pewnie na myśli ma pan repertuar, od którego zaczynałam śpiewać, kiedy to jeszcze nikt dla mnie nie pisał. Były to utwory z repertuaru Edith Piaf, Milvy, Brela. Później zaczęto pisać i dla mnie polskie piosenki i odkryto we mnie inne możliwości. W końcu zostałam zaszufladkowana i tylko czasami wracam do tego repertuaru, bo bardzo dobrze się w nim czuję. Śpiewam go na wielkich koncertach.

— „Obiecałam, obiecałam"... śpiewała pani kiedyś taką świetną wymowną piosenkę...

— Gdyby pan posłuchał tej piosenki do końca, to wiedziałby że „obiecałam, obiecałam..." dotyczyło mężczyzn.

— A tych w pani życiu prywatnym było wielu, trzech mężów...

— Na tej samej płycie jest jeszcze jedna piosenka: „Wielu nie pamiętam".

— Z mężczyznami zawsze miała pani kłopoty. Ostatnio głośna stała się sprawa pani występów w nocnym lokalu w Luksemburgu?

— Do Luksemburga wyjechałam na trzymiesięczny kontrakt z ramienia PAGARTU, ale wróciłam po 10 dniach, z czego tylko przez dwa dni występowałam. Okazało się, że oprócz śpiewu (na orkiestrowych półplaybackach) wymagano ode mnie w tym nocnym kabarecie jeszcze innych usług, które nazwijmy to delikatnie — nie leżały w mojej psychice i... wolałam wrócić.

— Co na to wszystko PAGART?

— PAGART szuka agenta, z którym podpisał ten kontrakt.

— „Przegląd Tygodniowy" skomentował luksemburską aferę dość jednoznacznie?

— Może nie tyle „PT" co pan Tomasz Raczek, który nie napisał w swoim artykule jednego, ale bardzo istotnego zdania wyjaśniającego całą sprawę, a mianowicie, że ja po dwóch występach zrezygnowałam z kontraktu i wróciłam do Warszawy. Żałuję, że autor nie porozumiał się ze mną przed oddaniem artykułu do druku, bo mogłam mu opowiedzieć parę pikantnych historyjek, skoro tak bardzo chciał ubarwić swój artykuł. Jedną z nieścisłości jest również to, że w tym lokalu nie występowała nigdy Ewa Kuklińska, śpiewała natomiast Irena Jarocka.

— Pani nazwisko nie figuruje na liście podopiecznych PAGARTU, których ta instytucja firmuje w programie ostatniego festiwalu w Sopocie?

— Czy nie wydaje się panu, że to pytanie winien zadać pan dyr. Pagartu? Czy jest to jedyna rzecz, która pana dziwi w tej branży? To chyba drobiazg.

— Ale to właśnie PAGART ponownie ujrzał w pani tę piosenkarkę, która może się nie tylko podobać za granicą, ale wygrywać festiwale. I nie pomylił się, wygrała pani trzy główne nagrody na międzynarodowej imprezie, jaką jest Festiwal Piosenki na Kubie. To rzadki sukces. Widzieliśmy pani łzy szczęścia na telewizyjnych ekranach. Na Kubie występowała pani nie pierwszy raz?

— Wyśpiewywałam pierwsze nagrody na różnych międzynarodowych festiwalach piosenki i niekoniecznie coś z tego wynikało dla PAGARTU. Co prawda w Polsce wiele się zmieniło, animują tą branżą inni ludzie, więc mam nadzieję, że po festiwalu na Kubie PAGART okaże się dla mnie życzliwy i znajdę się w planach artystycznych tej instytucji. Jeśli chodzi o Kubę, to byłam tam 6 lat temu z okazji Dni Kultury Polskiej z Orkiestrą Alex Band. Jadąc tam po raz drugi nie przypuszczałam, że los okaże się dla mnie tak łaskawy. Oprócz Grand Prix dostałam nagrody krytyki i publiczności. Były to zresztą jedyne nagrody na tym festiwalu. Po raz pierwszy dało się pogodzić gusty krytyków z gustami widzów. A w ogóle, to były piękne dni...

— Złośliwa konkurencja w Polsce na wieść o pani sukcesie mówiła, że festiwal na Kubie nie liczy się na mapie imprez tego typu?

— To samo od lat mówi się o festiwalu sopockim, a przecież jest inaczej. Śpiewającym koleżankom i kolegom życzyłabym spotkania na estradzie ze znakomitym Big-Bandem Tony Tańo, wspaniałej atmosfery oraz gorącej, spontanicznej i muzykalnej publiczności. My wciąż utożsamiamy muzykę kubańską z rumbą, sambą, a to jest nieprawda, podobnie jak utożsamianie przez naszą Polonię kraju z kujawiakiem i oberkiem.

— Jaki rodzaj śpiewania preferowany jest na kubańskim festiwalu?

— Mnie jest trudno o tym mówić. Wolałabym żeby zapytał pan o to Kubańczyków.

— Pytałem Anabell Lopez, tegoroczną reprezentantkę Kuby w Sopocie, powiedziała, że podbiła pani Kubańczyków nie tylko wspaniałym głosem i techniką w jego prowadzeniu, ale i temperamentem, a przede wszystkim sercem. Oni to czują i lubią. A propos nagród — w jakiej postaci były te trzy główne nagrody?

— Nagroda „Grand Prix" to olbrzymi wazon i 300 pesos, z których 200 wydałam na przyjęcie dla wszystkich wykonawców i osób towarzyszących. Nagrody krytyki i publiczności stanowiły statuetki i... morze kwiatów. Nagrody wiążą się z kilkoma występami w programach telewizyjnych i radiowych dla krajów latynoskich, parę wywiadów dla prasy. A także zaproszenie na przyszły rok na ten festiwal z własnym recitalem w charakterze gwiazdy.

— Po festiwalu śpiewała pani na Kubie jeszcze przez dwa tygodnie?

— Prawie trzy tygodnie na trasie koncertowej po całej Kubie. Byliśmy we wszystkich prowincjach, na tę trasę wyjechało 105 osób: orkiestra, balet, gwiazdy piosenki kubańskiej i wszyscy uczestnicy festiwalu.

— Po powrocie zapewne wszyscy z branży rzucili się na panią chcąc na swój sposób zdyskontować sukces polskiej gwiazdy za granicą?

— Uśmieje się pan, ale rzeczywiście miałam sporo propozycji, lecz nie śpiewania, nagrywania, tylko opowiadania o swoim pobycie i sukcesie na Kubie. Twórcy piosenek jak milczeli, tak milczą. A prawie każdy wywiad udzielony w Hawanie zaczynał się od pytania-stwierdzenia, że pewnie teraz moje akcje zawodowe pójdą w górę i na nic nie będę miała czasu poza nagrywaniem piosenek. W najbliższym czasie chciałabym nagrać dużą płytę, bo wstyd się przyznać, ale ostatnią nagrałam 10 lat temu.

— Co więc wynika z tego sukcesu dla pani poza satysfakcją osobistą i łzami radości?

— Nic, choć cały czas o tym mówimy. Ale my Polacy lubimy dużo mówić. Nagrody z Kuby będą dla mnie dopingiem i dodadzą mi wiary w siebie. Obecnie zabrałam się do gromadzenia repertuaru. Fakt tego sukcesu mimo wszystko pozwolił mi uwierzyć, że może nie wszystko jeszcze stracone.

Rozmawiał:

BOHDAN GADOMSKI

Polemiki • Listy • Opinie

„SZEWC ZABIJA SZEWCA..." CZYLI O JAROCINIE INACZEJ

Po zakończeniu każdego Festiwalu Muzyków Rockowych w Jarocinie przychodzi mi zawsze na myśl kilka refleksji, którymi chciałbym się podzielić z Czytelnikami. Proszę w tym momencie nie obawiać się, że będę powielał recenzje z prasy, jakie na temat tej imprezy ukazały się pod koniec sierpnia. Nic z tych rzeczy. Ale, a propos prasy... Okazuje się, że jedynie ten środek masowego przekazu (też nie zawsze) wie, że oprócz festiwali w Kołobrzegu, Opolu czy Sopocie, raz do roku, w czasie wakacji odbywa się, w jakimś tam Jarocinie impreza, której ulubieńcami publiczności są młodzieńcy o pseudonimie np. „Zygzak" czy zespoły noszące bardzo swojskie nazwy np.: „Dzieci kapitana Klossa". Mniejsza jednak o nazwy czy pseudonimy, chodzi mianowicie o to, że w czasie kiedy w Jarocinie trwają koncerty, to telewizja i radio (z wyjątkiem — uwaga! uwaga! — Rozgłośni Harcerskiej) milczą jak zaklęte. Przepraszam za złe określenie, milczeć na pewno nie milczą, gdyż lansują zawzięcie Modern Talking czy Bolter. Mniejsza również o lansowanie tych zespołów. Cóż, widocznie taki jest gust nie tylko słuchaczy, ale i redaktorów. Chciałbym jednak zwrócić uwagę, że oprócz słuchaczy o bardzo wyrobionych gustach (chodzi oczywiście o „miłośników" piosenek w stylu „Chałupy Welcome tu...") istnieje w naszym kraju liczna grupa miłośników innej muzyki, której różne kierunki prezentowane są w Jarocinie. Jeżeli ktoś chce posłuchać jaką muzykę gra aktualnie polska młodzież, to musi, niestety, jechać do Jarocina, z tego względu, że w gazetach ukazują się tylko recenzje z koncertów, jednak bez tekstów i nut (no a jak ktoś nie potrafi grać na jakimś instrumencie, to po co mu nuty?). Natomiast takie Opole czy chociażby Sopot (podobno w tym roku był na wysokim poziomie artystycznym), to nie dość, że są transmitowane „na żywo" w PR i TV (uznano to prawie za epokowy sukces), to jeszcze długo, długo po zakończeniu tych jakże wspaniałych (ale drogich!) imprez organizowanych dla posiadaczy bardzo bardzo drogich biletów, możemy posłuchać w radio lub telewizji („koncert życzeń", „przeboje programu 1") wspaniałych piosenek śpiewanych przez jeszcze wspanialszych wykonawców, nie wiadomo w zasadzie o czym.

W tym miejscu mała refleksja. Niedawno ukazał się singel wydany przez firmę „Tonpress" z nagraniem zespołu „Siekiera" pt. „Misiowie puszyści", w którym wokalista przez parę minut prawie że recytuje w kółko słowa: „szewc zabija szewca, bum tarara bum tarara". „Spece" od muzyki młodzieżowej złapali w tym momencie wiatr w plecy mówiąc, że takie, ich zdaniem, (u)twory nie nadają się na antenę. Ejże panowie, a może to jest właśnie nic innego jak tylko „specyficzny głos" młodego pokolenia muzycznego w sprawie muzyki lansowanej w PR i TV. Proszę tylko dokładnie posłuchać, czy piosenki emitowane w publikatorach to nie nic innego jak właśnie „szewc zabija szewca, bum tarara, bum tarara"?

Wróćmy jednak do Jarocina. W momencie pisania tego artykułu (pierwsze dni września) oprócz wspomnianej wyżej Rozgłośni Harcerskiej, nadającej krótkie reminiscencje z Festiwalu w Jarocinie, nie było, przynajmniej ja nie słyszałem i nie widziałem, żadnej wzmianki w PR i TV, nie mówiąc już chociażby o krótkiej transmisji, o Jarocinie. Nie bardzo jednak wiem, co ma „w sobie" ten Jarocin, że tak bardzo nie podoba się decydentom PR i TV. Może stroje wykonawców? Wydaje mi się jednak, że nie, z tego względu, iż nie pokazywano by również w telewizji Opola, a w szczególności piosenkarek, które miały na sobie wszystko co tylko można na głowę zarzucić. Może nie przypadają do gustu nazwy zespołów występujących w Jarocinie? Sądzę jednak, że najbardziej „niebezpieczną" stroną Jarocina są teksty piosenek. Wiadomo sprzecież, że w czasach wychodzenia z kryzysu lepiej jest „puszczać" piosenkarza, który śpiewa „Szał baj najt, barwny slajd pawie pióra...", czyli ble ble, ble, niż na przykład, utwór zespołu New z Pabianic*):

„Idź i walcz po kres swych dni
dłonie twoje prężą się opętane żądzą zemsty
więc podnieś w górę swój miecz
wśród ślepych blaznów polegniesz gdzieś
bo walczyć to też sztuką jest
twe młode dni rozszarpią psy"

(„Wbrew Piątemu Przykazaniu")

Nieprawdaż, że to bardzo „niebezpieczny" tekst. Albo na przykład zespół Fort BS z Jeleniej Góry śpiewa:

„Gdy świat przestanie się zbroić
a w wojsku zabraknie etatów
broń oddamy do hut
a trenów do domu wariatów"

(„IT")

Zacytowałem na razie tylko dwa, spośród wielu tekstów piosenek wykonywanych przez zespoły naprawdę młodzieżowe. Piszę wyraźnie, zespoły naprawdę młodzieżowe z tego względu, że np. Maanam, Lombard, Kombi dawno już przestały być zespołami młodzieżowymi, czyli takimi które w pewien określony sposób wyrażają niepokoje młodego pokolenia. I to jest właśnie przyczyna, że na koncerty tych zespołów przychodzi bardzo mało słuchaczy, a nie to, że jak się mówi i pisze, nadszedł kryzys polskiego rocka. Jarocin na frekwencję nie narzeka. Można zresztą pojechać i zobaczyć, a potem dopiero mówić o tzw. kryzysie polskiego rocka, czy jak kto woli polskiej muzyki młodzieżowej.

Widzimy więc, dlaczego Jarocin nie może być transmitowany „na żywo". Trzeba najpierw posegregować, pociąć, przeciąć, dokleić i dopiero potem (i tak z wahaniami) wyemitować. Zadaję sobie jednak pytanie do czego taka polityka prowadzi? Na pewno nie jest to potwierdzeniem znanego hasła, że trzeba wsłuchiwać się w głos młodego pokolenia. Wręcz przeciwnie, bo jeżeli młode pokolenie nie może posłuchać i obejrzeć (nie każdemu przecież chce się jechać do Jarocina) tego co najbardziej lubi, za sprawą starszych, doświadczonych, nic nie rozumiejących, to gdzie tu można mówić o tym, że głos młodych bardzo, ale to bardzo się liczy. Pytam się więc gdzie się liczy? Tak, ja wiem, że się ostatnio dyskutuje o młodzieży, o jej problemach, ale tylko się dyskutuje i nic więcej się nie robi, poza podsumowaniem wzorców, które prawie nigdy się nie sprawdziły. Niestety, ale taka jest prawda. Poza tym, dyskutuje się o młodzieży wśród ludzi, których do młodzieży nijak już nie można zaliczyć. A jeżeli jeszcze przypadkiem można, to ludzie ci naprawdę nie znają aktualnych problemów młodego pokolenia. A jeżeli znają, to i tak nie mogą nic praktycznie zmienić, z tego względu, iż absolutnie nie znajdują zrozumienia u swoich przełożonych, a nawet i podwładnych. Ot, chociażby ten „nieszczęsny" Jarocin. Przy dobrych chęciach można by zrobić najlepszy festiwal rockowy nie tylko w Europie Wschodniej, ale nawet w całej Europie. Nie, nie przesadzam. Przecież wiele zespołów zachodnich (bardzo dobrych) zadeklarowało chęć przyjazdu do Jarocina na własny koszt. Tak, tak to prawda, wystarczy przeczytać prasowe relacje z festiwalu, ale skoro uważa się, że Opole, Sopot czy zespół „Mazowsze" potrafią lepiej zainteresować inne społeczeństwa naszym krajem lub że są jedynym miernikiem naszej kultury, to w takim razie czy warto w ogóle dyskutować?

Czy warto...? Tych pytań można zadawać wiele i w nieskończoność. Nie bez powodów zespół „Karcer" ze Słupska śpiewa:

„ja tylko chcę spróbować
dlaczego nie mamy żadnych szans"

(„Karcer")

Właśnie. Dlaczego nie mamy żadnych szans!?

DARIUSZ DREWNICZ

*) Wszystkie fragmenty tekstów piosenek (z wyjątkiem utworów wykonywanych przez „Siekierę" i Andrzeja Dąbrowskiego) pochodzą z artykułu Adama Grzegorczyka pt. „Żniwa '86", zamieszczonego w nadzwyczajnym wydaniu miesięcznika „Non Stop" z 23 lipca 1986 r.

HARCERZE WYNALAZCY

Różne zakłady gospodarki państwowej i spółdzielnie produkują kilka typów namiotów, ale nie zawsze i nie wszędzie są one przydatne do użytku w warunkach, gdzie należy połączyć wypoczynek z pracą przyjętą przez siebie np. na różnego typu obozach. Użytkownicy tego rodzaju namiotów jako wymarzony typ pragną widzieć namiot dwuczęściowy, tj. część mieszkalną i drugą część przeznaczoną do pracy.

Niektórzy posuwają się dalej żądając namiotów nie krępujących osoby o odmiennej płci, które nie chciałyby ograniczać swojej wolności osobistej. Coraz częściej zdarza się, że ze względu na cenę namiotów korzystają z nich zespoły ludzi niekoniecznie stanowiące rodzinę. Dlatego też odbiorcy namiotów stawiają producentom coraz wyższe wymagania, które ci ostatni nie zawsze starają się lub mogą spełnić.

Czy nie można wykonywać namiotów o takich kształtach i rozwiązaniach, jakich życzą sobie klienci? Czy koniecznie trzeba wykonywac tylko namioty z zagięciami, załamaniami, kieszonkami itp.? Większość producentów twierdzi, że nie można wykonywać innych. Że tylko namioty o wykonywanych typach znajdują zbyt (jak innych nie ma, to klienci biorą co jest).

Zaprzeczenie takiego jednolitego zdania producentów i handlowców znalazłem na jednym z łódzkich obozów harcerskich. Otóż harcerze ci wykombinowali nowy, uniwersalny typ namiotu dla kadry obozowej, używając do tego typowego stelaża namiotu „Narew". Nowo skonstruowany namiot ma te właściwości, że w każdym z obydwu przedziałów można śmiało umieścić łóżka polowe, a także półki na rzeczy i przedmioty służące do pracy. W przedsionku namiotu, używając do tego turystycznych fotelików i stolików, można doskonale zorganizować miejsce pracy dla magazynierów żywności i sprzętu oraz innych instruktorów pełniących różne funkcje na obozie. Dla turystów zaś tego rodzaju namiot stanowi wygodne miejsce do noclegu i schronienia się w wypadku niepogody.

Inny pomysł tych samych harcerzy to wynalezienie i wyprodukowanie nowego i największego z używanych w Polsce plecaków. Jego pojemność liczy bowiem 120 litrów. Plecak posiada cztery kieszenie boczne oraz jedną na klapie. Poza tym do plecaka dopasowane są troczki, za pomocą których można przytroczyć drobny sprzęt np. siekierę, saperkę, młotek itp. Do wykonania takiego plecaka użyto także stelaża używanego przy powszechnie produkowanych w kraju plecakach.

Gdybym chciał napisać o wszystkich pomysłach tych łódzkich harcerzy musiałbym wspomnieć o takich „drobiazgach" jak wyposażenie w kurtki nowego kroju kadry instruktorskiej. Kurtki te uszyte zostały z tkaniny maskującej typu „moro". Kadra ta posiada także nowy typ spodni, a także getry chroniące łydki podczas górskich wędrówek.

Obóz posiada jedyną w kraju harcerską elektrownię, która za pomocą silnika wysokoprężnego wytwarza energię elektryczną pozwalającą na oświetlenie namiotów. Zastosowano przy tym też szereg innych pomysłów, np. maszt sygnalizacyjny, zegarek wskazujący czas z dokładnością 1/2 sekundy na miesiąc itp.

Świadomie nie podaję nazwy miejscowości, ani też obozu, czy nazwisk racjonalizatorów z bardzo prozaicznych powodów. Nie chcę bowiem, aby ci ludzie mieli jakieś nieprzyjemności w związku ze swoją działalnością. Nieraz zdarzało się, że producenci zasłaniając się „monopolem" swoich wyrobów starali się zgładzić grożącą im „konkurencję", zaprzęgając do tej walki nawet i urząd skarbowy. Z doświadczenia bowiem wiem, że istnieją sprawy, o których nie śniło się filozofom.

MIECZYSŁAW KOZAK

STO STRON DLA PRZYSZŁOŚCI

Otrzymałem z Editions Godefroy, książkę pióra Aurelio Peccei „100 Pages Pour l'avenir" („100 stron dla przyszłości"). Refleksje Przewodniczącego Klubu Rzymskiego. Dzieło to zasługuje na uwagę. Jest w tej książce zawarte wszystko niemal o przeszłości i przyszłości rodzaju ludzkiego.

Aurelio Peccei, Piemontczyk, o ukształtowaniu liberalno-socjalistycznym. Pracę rozpoczął bardzo wcześnie. Następnie wykształcenie uniwersyteckie błyskotliwe. Pobyt w Chinach. Członek Klubu Oporu, zaznał dotkliwie z tego powodu różne cierpienia w więzieniach faszystowskich. Wyzwolenie i odbudowa kraju. Zajmuje następnie odpowiedzialne stanowiska w przemyśle, realizuje wielkie przedsięwzięcia budując w obszarze Trzeciego Świata. Założyciel Klubu Rzymskiego. Umysł pragmatyczny nie traci wiary w wielkie ideały ludzkości i poświęca się w poznaniu umysłu człowieka.

Po osiągnięciu wiedzy i potęgi, ludzkość jest więźniem ciężkiego kryzysu bez precedensu w swej historii. Żaden problem nie jest dotąd rozwiązany, nawet nie ma konkretnych prób w tym kierunku, wyłaniają się inne, nie mniej złe i związują się w jakiś węzeł coraz bardziej złożony. Więcej niż cztery miliardy osobników, a jutro pięć lub sześć miliardów, przeznaczeni do dzielenia bardzo burzliwej przyszłości, aby nie było to beznadziejne. Trzeba za wszelką cenę wyjść z tego przeklętego i złowróżbnego kręgu. Jest to możliwe — twierdzi Peccei — że lepsza przyszłość jest możliwa i wyobrażalna do jej zbudowania.

Lata osiemdziesiąte są decydujące. Aby stawić czoła wezwaniu światowemu, spójność kulturowa jest nieodzowna. Idzie tu o prawdziwą rewolucję humanistyczną. Radykalna zmiana mentalności, zachowania i zbliżenia międzyludzkiego, co wymaga dokładnych studiów, a które są w trakcie realizacji głównych jej kierunków. Do starej „realpolityki" trzeba dorzucić „realutopie", ale śmiałe i twórcze, czynione z politycznych i strategicznie globalnych opowiedzeń się i konstruktywnych kontaktów Wschód — Zachód, a także szerokiej współpracy między Północą — Południem na zasadzie pełnej równości. Trzeba szczególnie dać priorytet dla rozwoju ludzkiego.

Potencjał utajony każdego osobnika jest największym i najbogatszym źródłem ludzkości. Młodzi winni być wzywani, aby kuli przyszłość. Swoją przyszłość. Książka ta jest pewną prowokacją, do myślenia i działania. Jest uzupełniona indeksami i tablicami. Wspaniała lektura wielce pouczająca, a tchnąca optymizmem, że ludzkość rozwiąże nabrzmiałe problemy bez uciekania się do wojny.

WINICJUSZ ŁACHACIŃSKI

BODAJBYŚ POJECHAŁ NA WCZASY...

Mając 4-letnie dziecko, zdecydowaliśmy się mimo wysokich kosztów wykupić wczasy na cały sierpień. Wybór padł na Szklarską Porębę Dolną (FWP) w pierwszej połowie miesiąca i Augustów („Turysta") w drugiej połowie. Ze względu na dużą różnicę jakości tych usług przemawiającą za FWP, pragnę podsumować obydwa rodzaje wczasów.

Do Szklarskiej Poręby — mimo przesiadki w Jeleniej Górze — dotarliśmy koleją bez większych problemów. Na miejscu wprawdzie nie było żadnych możliwości dojazdowych, ale na szczęście docelowa „Wanda V" (FWP) była niedaleko od stacji. W „Wandzie" przyjęto nas życzliwie choć nie mieliśmy oddzielnego skierowania na syna. Zapłaciliśmy tylko za obiady dla niego, których i tak prawie nie jadł, za kwaterę nie żądano dodatkowej opłaty. Mieliśmy duży wygodny pokój z umywalką, który pokojowa ku naszemu zdziwieniu codziennie odkurzała (sic!). Piękna słoneczna pogoda i przyjemna atmosfera wczasów sprawiła, że byliśmy z tych wczasów bardzo zadowoleni.

Zupełnie odmiennie wypadły wczasy w Augustowie, których obawialiśmy się głównie ze względu na dość daleką i niepewną podróż, a jak się okazało, obawy te znalazły dalsze nieoczekiwane uzasadnienia.

15 sierpnia 1986 r. jedyny pociąg do Augustowa (20.20) był natychmiast po podstawieniu tak przeładowany, że mieliśmy szansę podróżować tylko w pozycji pionowej na korytarzu I klasy. Dodam — do białego rana. Mimo zakupionych już biletów musieliśmy z tego kursu zrezygnować, obierając dłuższą (sporo), ale za to pewniejszą trasę przez Olsztyn i Ełk (21.30) docierając do Augustowa, zamiast „świtkiem do dnia", we wczesnych godzinach popołudniowych, ledwo zdążając na wczasowy obiadek. Okazało się przy tym, że stołówka, która miała być niedaleko, była oddalona o kwadrans od kwatery, przy czym usytuowana w lesie i niezwykle trudna do odszukania. Podobnie był usytuowany Klub z TV, korzystanie z niego wiązało się z powrotem przez las późnym wieczorem lub nocą. Ze względu na bezpieczeństwo osobiste musieliśmy zrezygnować z TV. Nie byliśmy strachem podszyci, zrobiliśmy to przez pamięć o niegdysiejszej niesławnej augustowskiej „Czerwonej Oberży".

Ani na kwaterze, ani w stołówce nie żądano od nas dopłaty za dziecko. Chcieliśmy jak w Szklarskiej Porębie opłacić za nie obiady, ale zapewniono nas, że to zbędne, bo taki malec się przy nas pożywi, i tak było w istocie. Pokój otrzymaliśmy maleńki i duszny, ale okna na noc nie można było otwierać ze względu na hałas jedno- i dwuśladów aż po dość częste traktory (starego typu bez tłumików), produkujące duże ilości wyraźnie odczuwalnych spalin. W dzień oczywiście jedno i drugie nasilało się, bo kwatera była zlokalizowana na ruchliwym skrzyżowaniu Nowomiejskiej z Wiejską.

Gospodarze nie poczuwali się do obowiązku sprzątania choćby raz w tygodniu, trzeba było to robić samemu, aliści ani odkurzacz, ani żelazko do prasowania, nie były do dyspozycji, tylko trzeba było ich szukać lub prosić o nie. Natomiast wymagano od nas podlewania rozłożystej ozdobnej rośliny, która dość zręcznie pokrywała niedostatki dawno malowanych ścian. Wobec częstych deszczów udręką było chodzenie po kałużach i mokrych duktach leśnych do odległej stołówki.

Początkowo uprzejma gospodyni w dziesiątym dniu naszego dość męczącego pobytu (do miasta — spory kawał drogi) raptem zmieniła ton, domagając się dopłaty za kwaterowanie dziecka w wysokości 3.000 zł. Uznalibyśmy jej rację w pierwszych dniach wczasów, gdyby towarzyszyły tym żądaniom dodatkowe świadczenia (nieco większy pokój, posłanie dla dziecka), ale w faktycznej sytuacji byliśmy skłonni uregulować tylko dopłatę za dodatkowe zużycie prądu i ciepłą wodę, która notabene była ciepła tylko przez 1—2 godziny wieczorem i to nie zawsze. Na nasze racje pani gospodyni oburzyła się okrutnie, zaczęła nam wymyślać, grozić, że już od jutra nie wpuści do mieszkania jednej osoby z nas, ale w ogóle to możemy spakować manatki i wynosić się, bo ona już ma chętnych na nasze miejsce itd. itp. Nie używając brzydkich słów, które się cisnęły na usta, wyprosiłem niegrzecznie gospodynię za drzwi, pomagając jej co nieco, bo się opierała i dobrze zaryglowałem drzwi w obawie przed dalszymi atakami tej nieodpowiedzialnej osoby, zwłaszcza że dziecko ryczało w głos, a zapytane, dlaczego płacze, łkało: „ja się boję baby Jagi".

Drugiego dnia (26 sierpnia — wczasy mieliśmy do 29.VIII) około godz. 9.00 rano opuściliśmy „gościnne progi" pod hasłem „nigdy więcej Augustowa", pozostawiając na stole 1000 zł tytułem rekompensaty za „uciążliwe dziecko" (to słowa gospodyni).

Do Łodzi wróciliśmy zdenerwowani i zmęczeni tymi pseudowczasami za 30 tys. zł. Po kilku dniach otrzymaliśmy rodzaj listu ekspiacyjnego, w którym kajała się i przepraszała, ale słaba to dla nas pociecha i żadna satysfakcja. W rzeczonej sprawie wysłaliśmy do kierownika wczasów w Augustowie list, który pozostał bez odpowiedzi.

H.P.

(Imię i nazwisko tylko do wiadomości redakcji)

WARTO ODWIEDZIĆ BRONÓW

Wieś Bronów leży na północnym skraju województwa sieradzkiego i znana jest w kraju ze względu na pobyt w niej Marii Konopnickiej. Przez dziesięć lat od roku 1862 do roku 1872 zamieszkiwała ona wraz z mężem i dziećmi w miejscowym dworku należącym jeszcze do działa jej męża.

Dzisiaj w dworku tym mieści się szkoła podstawowa im. Marii Konopnickiej oraz Szkolne Schronisko Noclegowe. W dwóch wyodrębnionych pomieszczeniach w dworku zorganizowano muzeum poświęcone życiu i działalności poetki. Muzeum to wyposażone jest w stare, pamiętające ubiegłowieczne czasy meble: biblioteczkę, sekretarzyk, wyścielane krzesełka, stoliki itp. Jest także stara niemiecka maszyna do pisania marki „Stoewer", pochodząca jeszcze z okresu twórczości poetki.

W oddzielnych gablotach umieszczono obwoluty wydanych wierszy i poematów: „Pan Balcer w Brazylii", „W piwnicznej izbie", „Śpiewnik dla dzieci", „Poezje", „Z przeszłości" i inne. Na jednej ze ścian wisi fotokopia rękopisu „Roty". W muzeum znajduje się cały szereg obrazów i fotografii poetki z lat 1901—1912.

Niedawno odwiedzili muzeum uczestnicy I Kadrowego Biwaku Hufca Zgierz-Miasto. Uczestnicy tego biwaku drużynowi i przyboczni zgierskich drużyn, przeprowadzając zwiad terenowy po okolicach Bronowa, uzyskali szereg ciekawych informacji o historii dworku i pobycie w nim Marii Konopnickiej.

W roku 1784 zakupił dobra Spędoszyn pradziad Jarosława, męża Marii Konopnickiej. Syn jego Ignacy założył księgi wieczyste dla Bronowa. Ostatecznie nabył Bronów ojciec Jarosława — Wincenty za sumę 161.333 zł. Bronów stanowił własność Konopnickich do roku 1873, kiedy to zakupił ten majątek Artur Dzierzbicki za sumę 51.975 rubli. Jednak Konopniccy wraz z dziećmi już w 1872 r. przenieśli się do pobliskiego Gusina.

Dworek otacza wielki park tworzony przynajmniej przez kilka wieków. Jeszcze do dzisiaj pozostało w nim żywe drzewo liczące ponad 300 lat. Jak głosi legenda pod tym drzewem Maria Konopnicka układała swoje wiersze, tak bardzo popularne wśród ludu.

Do Bronowa dojeżdża się ze stacji kolejowej Kłudna, leżącej na linii Zduńska Wola — Inowrocław.

M.K.

Zapomniana wojna bez końca

Nawet iraccy taksówkarze uczestniczą w wojnie przeciwko Iranowi. Przed wyjazdem z Basry zawracają przy wojskowej kostnicy, aby zabrać sosnowe trumny z ciałami poległych żołnierzy. Umieszcza się je na bagażnikach, owinięte w narodową flagę. Kierowcy, zaopatrzeni w adresy domowe zabitych Irakijczyków, odwożą ich ciała zapyloną autostradą na północny zachód, mijając konwoje ciężarówek wiozących w kierunku frontu nowe oddziały i amunicję. Gdy ciała docierają do swych miejsc przeznaczenia, rodziny wywieszają czarne, żałobne flagi, które powiewając w gorących podmuchach wiatru, powiadamiają o odejściu ojców, synów i braci.

Czarne chorągwie dla uczczenia pamięci poległych powiewają również w Iranie, ale tam płacz żałobników jest często wykorzystywany przez oficjalne środki przekazu dla podsycania krzykliwego entuzjazmu do kontynuowania wojny, która pochłonęła dotychczas około 100 tysięcy Irakijczyków i 250 tysięcy Irańczyków. Wojowniczy duch jest podtrzymywany przez niezłomną wolę irańskiego przywódcy 86-letniego ajatollaha Ruhollaha Chomeiniego, pragnącego ujrzeć odejście Saddama Husajna, silnego człowieka świeckiej władzy w Iraku.

„Każdy, kto może, musi iść na front — nawoływał rodaków Chomeini w swym niedawnym wystąpieniu. — *Nasza młodzież, mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy — wszyscy są gotowi kontynuować wojnę aż do zwycięstwa".*

Strażnicy rewolucji islamskiej — 180-tysięczna formacja powołana do ochrony rewolucji — natychmiast przyśpieszyli nabór nowych rekrutów. Rozwieszono plakaty wzywające każdego *„w wieku do 90 lat"*, by przyłączył się do wojny *„światła z ciemnością"*. Chociaż niektórzy Irańczycy obawiają się tych wezwań, to jednak większość jest zadowolona, a nawet szczęśliwa, iż dołącza do szeregów mężczyzn zmierzających w kierunku frontu.

JEST TO ZAPOMNIANA WOJNA,

konflikt bez widoków na zakończenie. Wojna ta stanowi starcie woli i broni na jałowej, pustynnej ziemi, ozdobionej jedynie słupami czarnego dymu na dalekim horyzoncie i, podczas ofensyw, ciałami setek, a nawet tysięcy padłych żołnierzy, wysuszonych i skręconych na gorącym piasku. Pomimo iż żaden konwencjonalny konflikt od zakończenia II wojny światowej nie ciągnął się tak długo, ani też nie zebrał tak wielu ofiar, to wojna ta została zepchnięta na ostatnie strony światowej prasy. Negocjatorzy pokojowi przyjechali i odjechali — witani przez Irak i nie przyjęci przez Iran. Broń nie przestaje strzelać.

W roku 1980, gdy po serii utarczek granicznych irackie oddziały wkroczyły do Iranu, obawiano się, że w pewnym momencie supermocarstwa mogą również zostać wmanewrowane w konflikt rozgrywający się w strategicznym regionie Zatoki Perskiej, z którego pochodzi 1/6 ropy naftowej zużywanej przez kraje niekomunistyczne. Jeżeli tak się nie stało, to i tak jest to mało pocieszające dla konserwatywnych państw naftowych położonych na zachodnim obrzeżu Zatoki. Popierając Irak finansowo i materialnie obawiają się, że Iran wciągnie je w konflikt, przynosząc im przy okazji rewolucję w stylu Chomeiniego.

Początkowo arabskie kraje Zatoki w zasadzie bez niepokoju przyglądały się jak dwa najsilniejsze kraje regionu zwarły się w pojedynku przy użyciu wszelkich środków. Ten sam punkt widzenia podziela również Izrael, który w przeciwnym wypadku musiałby znacznie bardziej obawiać się tak Iranu, jak i Iraku. Podczas trzech wojen arabsko-izraelskich oddziały irackie przyłączyły się do walki w sprawie arabskiej. Z kolei Chomeini jednoznacznie stwierdził, iż jednym z głównych celów jego *„dżihadu"* (świętej wojny) z Saddamem jest Jerozolima. *„Mam nadzieję, że ta wojna potrwa jeszcze 30 lat"* — powiedział pewien izraelski urzędnik. (...)

Po prawie sześciu latach morderczych walk, w których fale irańskiej piechoty przeciwstawiają się nowoczesnemu uzbrojeniu irackiemu: myśliwcom bombardującym, artylerii i broni chemicznej, utrzymuje się impas, nawet jeśli pojawiły się oznaki ledwo uchwytnych zmian w sytuacji wojskowej i politycznej po obu stronach. Powoli i wielkim kosztem Iran zmusił Irak od odwrotu w kilku sektorach ponad 1100-kilometrowego frontu. Podczas swego najbardziej pomyślnego uderzenia opatrzonego kryptonimem *„Wal-Fadżr 8"* („Jutrzenia") Irańczycy osiągnęli w lutym 1986 r. pierwszy liczący się przyczółek na terytorium irackim wokół spustoszonego portu Fau. (...)

Zadziwiające jest to, iż Iran i Irak mogą sobie nadal pozwolić na walkę, mimo że ich gospodarki są coraz bardziej zagrożone. Pewien zachodni dyplomata w Bagdadzie twierdzi, że oprócz ciężkich strat na Fau — brak jest jakichkolwiek wiarygodnych danych, ale obie strony straciły tysiące ludzi — irackie straty zostały pogłębione przez spadek o 50 proc. cen na rynku ropy naftowej w ciągu ostatnich 6 miesięcy. Spadek ten spowodował zmniejszenie o połowę irackich dochodów z eksportu tego surowca do około 7,5 mld dol. w skali rocznej. Niektórzy zachodni obserwatorzy przypuszczają, iż w miarę kurczenia się dochodów dewizowych armia iracka może stanąć w obliczu braków w zaopatrzeniu i amunicji. (...)

Irański dochód ze sprzedaży ropy naftowej w przybliżeniu równa się dochodowi irackiemu, z tym że jego zmniejszenie zostało spowodowane nie tylko przez ogólny spadek cen, ale również przez kolejne irackie naloty na irańskie instalacje naftowe w Zatoce Perskiej. Pomimo że 44-milionowy Iran pod względem liczby ludności trzykrotnie przewyższa Irak, to dzięki temu, że Irańczycy bardziej już zdążyli przywyknąć do różnych trudności, kraj ten może lepiej znieść pogorszenie sytuacji. Tak też jest naprawdę — to właśnie biedacy są najbardziej entuzjastycznymi zwolennikami kontynuowania wojny.

WOJENNE OSIĄGNIĘCIA IRANU

są rezultatem ogólnego okrzepnięcia jego liczących 1,25 mln ludzi sił zbrojnych składających się z armii regularnej, Korpusu Strażników Rewolucji oraz basidżów — młodych ochotników po minimalnym przeszkoleniu wojskowym. Na początku wojny słabo wyszkolone, bezmyślnie wierne oddziały strażników rewolucji i basidżów stanowiły szturmową siłę Chomeiniego. Obecnie oficerowie i podoficerowie armii regularnej mają więcej do powiedzenia przy podejmowaniu decyzji o znaczeniu militarnym, a strażnicy rewolucji, znacznie lepiej przeszkoleni, prezentują o wiele mniej samobójcze podejście do wojny. Iranowi nadal brakuje uzbrojenia, artylerii i myśliwców — siłom lotniczym pozostało niewiele samolotów atakujących — ale jednak otrzymuje podstawowe dostawy taktycznych pocisków rakietowych, dział i amunicji od (...) Libii, Syrii i Korei Północnej oraz Chin. Iran doszedł do dużej sprawności w zakupach uzbrojenia na czarnym rynku, co zostało zademonstrowane na przykładzie oskarżeń skierowanych w kwietniu 1986 r. w Nowym Jorku przeciwko 17 osobom, włącznie z 4 Amerykanami i emerytowanym generałem izraelskim, o nielegalną próbę sprzedaży Teheranowi uzbrojenia i części zamiennych produkcji USA o wartości 2 mld dol. Części zamienne są potrzebne do utrzymania sprawności starzejącego się i obecnie już zużytego sprzętu produkcji USA. Sądzi się, że z 80 myśliwców F-14 A Tomcat tylko około dziesięciu jest w stanie wznieść się w powietrze. Chociaż walki rozpalają się od czasu do czasu wzdłuż frontu, to jednak rzadko zdarza się, by trwały dłużej niż kilka dni. Wojska większość swego czasu poświęcają na znojny trud oczekiwania, przygotowań i ponownych oczekiwań.

Świeżo rozmieszczone oddziały irackie, jedne z najlepiej wyszkolonych i zdyscyplinowanych na Bliskim Wschodzie, spędzają czas w stosunkowym komforcie. W niewielu tylko bunkrach brakuje odbiorników telewizyjnych dostarczających rozrywki i baasistowskiej propagandy, wiele z bunkrów dowództwa zostało wyposażonych w aparaty telefoniczne, aby żołnierze mogli regularnie dzwonić do domu. Ogromne parkingi sąsiadujące z linią frontu świadczą o tym, że w tej wojnie jest coś z delegacji służbowej i wielu irackich żołnierzy podjeżdża autem w pobliże frontu, by móc popędzić do domu, gdy tylko otrzymają przepustkę. W porównaniu z nimi irańscy żołnierze prowadzą skromne życie; zaspokajane są jedynie ich najbardziej podstawowe potrzeby, a podtrzymywani są tylko przez muzykę z radia i nieugiętego ducha walki.

Długi front ciągnący się ku północy od turkusowych wód Zatoki do jałowych gór Kurdystanu dzieli się na trzy, wyraźnie różniące się, części: bagniste południe, piaszczyste wzgórza i równiny centralnego regionu oraz skalistą północ. Jakiekolwiek decydujące starcie musiałoby zostać przeprowadzone na centralnym lub południowym odcinku frontu, skąd blisko do największych miast Iraku: Bagdadu — 110 km i Basry — 25 km od linii ognia.

Do najbardziej zaciętych walk w tym roku doszło na południu, wokół Fau, portu służącego niegdyś do eksportu ropy naftowej, zniszczonego w pierwszych tygodniach walk przez jednostki irańskie ogniem z morza i powietrza. Rejon ten leży trochę na zachód od ujścia Szatt el-Arab, 210-kilometrowej drogi wodnej powstałej przez połączenie się dwóch rzek: Tygrysu i Eufratu i tworzącej południową granicę między Iranem i Irakiem. Podczas ofensywy *„Wal Fadżr-8"* w lutym 1986 r. Irańczycy zaskoczyli Irakijczyków którejś deszczowej nocy wysyłając kilka tysięcy komandosów z armii regularnej i specjalnie przeszkolonych strażników rewolucji przez prawie 400-metrowy odcinek Szatt w gumowych łodziach, by utworzyli przyczółek na półwyspie Fau. Trzy dni później cztery dywizje elitarnej irackiej Gwardii Republikańskiej, stanowiącej strategiczny odwód Saddama, przeprowadziły kontratak. Kontratak ten został powstrzymany przez Irańczyków, powodując 30-procentowe straty po stronie irackiej. Od tego czasu Irakijczycy prowadzili zapamiętałe bombardowanie Fau wystrzeliwując 20 tysięcy pocisków artyleryjskich dziennie w kierunku irańskich pozycji. Według opinii obserwatorów z ramienia ONZ, którzy wizytowali ten region wiosną 1986 r., Irakijczycy używali gazu musztardowego i innych środków chemicznych przeciwko okopanym Irańczykom. Raport zespołu stanowił pierwsze jednoznaczne oskarżenie Iraku o naruszenie konwencji międzynarodowych zabraniających używania broni chemicznej. Dowody świadczące o stosowaniu przez Irak od roku 1983 tej broni były wielokrotnie przedstawiane przez Iran.

Irańczycy, których straty podczas ataku na Fau ocenia się w USA na około 15 tysięcy ludzi, okopują się teraz na ufortyfikowanych pozycjach opuszczonych przez Irakijczyków i chociaż są przygważdżani ogniem artyleryjskim, ponoszą jedynie lekkie straty. Naigrawając się z władz w Bagdadzie i dla podkreślenia irańskiego niepodzielnego panowania nad Fau, Radio Teheran ogłosiło ostatnio o otwarciu szkoły średniej dla rozmieszczonych tam młodych żołnierzy irańskich. W Teheranie mówi się o proklamowaniu na Fau z pomocą niewielkiej grupy irackich emigrantów, przebywających obecnie w Teheranie, islamskiego rządu Iraku.

IRAKIJCZYCY WYDAJĄ SIĘ OCZEKIWAĆ

na osłabienie irańskiej determinacji przed podjęciem kontrataku. Przed wejściem do akcji ciężkiego sprzętu musi przeschnąć grunt rozmokły po niezwykle obfitych opadach wiosną tego roku. Irakijscy saperzy próbują osuszyć teren płytkich basenów, używanych niegdyś jako parniki solne, które teraz tworzą coś na kształt fosy broniącej dostępu do Fau. Gdy tylko osuszą którąś część, jest zaraz ponownie zatapiana przez Irańczyków. Odbicie tego portowego miasta wymagałoby podjęcia ciężkich walk o każdą ulicę i każdy dom, a straty mogłyby być bardzo wysokie.

„Nie jest to rejon, gdzie można by użyć czołgów — mówi pewien zachodni attaché wojskowy w Bagdadzie — *Irakijczycy powinni mieć się na baczności. Raczej sytuacja będzie dla nich jeszcze gorsza niż lepsza".* Zachodni obserwatorzy podkreślają, że irackie straty na Fau przekroczyły poziom możliwy do przyjęcia przez Saddama, który musi być świadom tego, że zbyt wiele czarnych flag w Iraku może spowodować polityczne kłopoty.

Bardziej na północ, tam gdzie spotyka się Tygrys z Eufratem, leżą bagna Houejza, oddalony obszar zamulonych wód i brązowych trzcin upstrzony małymi wysepkami. Ten bagnisty teren był miejscem najbardziej krwawych starć podczas tej wojny. W lutym 1984 roku, w czasie jednego z bardziej ambitnych ciosów wymierzonych przez Iran w serce Iraku, tysiące strażników rewolucji, wśród których było wielu kilkunastoletnich chłopców, szło pod bezpośredni ogień irackiej artylerii i karabinów maszynowych próbując sforsować moczary. Ich ostatecznym celem miało być zdobycie Nadżafu i Kerbali, miast uważanych za święte przez szyitów jako miejsca wiecznego spoczynku imama Alego i imama Husajna, dwóch najbardziej czczonych postaci w historii szyizmu. Ofensywa ta załamała się; poległo, jak się ocenia, około 40 tysięcy Irańczyków. Podobny atak podjęty w następnym roku był niewiele bardziej pomyślny i zginęło 15 tysięcy Irańczyków.

Aby zabezpieczyć się przed takimi uderzeniami Irakijczycy przekształcili region położony na wschód od szosy Basra — Bagdad w strefę śmierci. Wysoki, przeciwczołgowy wał ziemny rozciąga się na przestrzeni 60—80 kilometrów. Na całej jego długości rozmieszczono stanowiska artylerii, wyrzutni rakietowych i ciężkiej broni maszynowej. Wzniesiono trzynastometrowe wieże obserwacyjne, by stworzyć system ostrzegający przed irańskim atakiem. Wreszcie, by zniszczyć ostatnią lichą osłonę istniejącą na bagnach, tysiące robotników — wśród nich większość stanowiły wiejskie kobiety — wycięły do cna wszystkie trzciny na obszarze wielu kilometrów kwadratowych. (...)

W północnych regionach obejmujących Kurdystan, przeciwnicy walczyli w skalistym terenie bez żadnych specjalnych osiągnięć po obu stronach. Ostatecznym celem Iranu w tej części frontu jest miasto Kirkuk (587 tys. mieszkańców), będące głównym centrum naftowym Iraku — tu zaczyna się ropociąg transportujący dziennie przez Turcję 1 mln baryłek na eksport. Atak na tym skalistym terenie jest trudny, ale stwarza to przewagę Irańczykom, którzy bardziej przywykli do działań pieszych niż w większości zmotoryzowane oddziały irackie. Brak dróg czyni prawie niemożliwym zaopatrywanie wysuniętych oddziałów. Wzgórza i doliny stale przechodzą z rąk do rąk w zażartych potyczkach. Zarówno Teheran, jak i Bagdad popierają przeciwstawne frakcje kurdyjskich rebeliantów działających w górach.

Trzymając swe siły głównie w defensywie, Saddam jest zdecydowany, podobnie jak na początku konfliktu, zmusić Iran do zapłacenia ceny nie tylko krwią, lecz również i ropą naftową. Aby zniszczyć możliwości Teheranu prowadzenia wojny, irackie lotnictwo podjęło naloty na wyspę Charg, będącą głównym irańskim portem naftowym w Zatoce, jak również na statki płynące do i z tej wyspy. Jednakże dotychczas ataki te nie zdołały poważnie zaszkodzić irańskiemu przemysłowi naftowemu. Większość obserwatorów uważa, że irackie siły powietrzne posiadają odpowiednie możliwości, aby spowodować znacznie większe szkody w irańskich instalacjach naftowych, lecz Irak z niejasnych powodów nie wykorzystał dotąd swej przewagi. Na przykład, nie zniszczył do końca urządzeń na Chargu w roku 1985, mimo iż zostały one poważnie uszkodzone wskutek nalotów.

DLA OBU STRON WOJNA

obfituje w niezrealizowane oczekiwania. Ani Saddam, ani Chomeini nie osiągnęli sukcesu, apelując bezpośrednio do narodu strony przeciwnej. Zamiast witać armię iracką, gdy ta na początku wojny zajęła irański Chuzestan, milion jego mieszkańców pochodzenia arabskiego uciekło na wschód. Wielokrotne wezwania Chomeiniego skierowane do Irakijczyków, aby *„powstali i powołali taki rząd Iraku, jakiego pragną"*, przeszły bez echa.

Gdy o 3 nad ranem 23 września 1980 roku sześć irackich dywizji przekroczyło granicę irańską, Saddam był pewien, iż zdoła upokorzyć Chomeiniego, który nie tylko nawoływał do powstania w Iraku, gdzie przynajmniej połowę ludności stanowią szyici, ale także podżegał do starć granicznych. Poza tym Saddam był niezadowolony z porozumienia zawartego w roku 1975 między Irakiem i Iranem, stwierdzającego, że w zamian za wstrzymanie irańskiego poparcia dla kurdyjskich rebeliantów i za drobne regulacje graniczne, granica międzypaństwowa zostanie przeniesiona z irańskiego brzegu Szatt el-Arab na środek tej drogi wodnej.

Wykorzystując zamęt powstały po usunięciu przez Chomeiniego szacha, Irakijczycy przekroczyli granicę, zajmując Szatt el-Arab i wkraczając do Chuzestanu. Saddam wyjaśnił swemu narodowi konieczność prowadzenia tej wojny wymogami arabskiego nacjonalizmu i historyczną wrogością arabsko-perską. Powoływał się na Saladyna, wielkiego muzułmańskiego sułtana, który w roku 1187 odbił od chrześcijan Jerozolimę oraz przypomniał swym rodakom bitwę pod Kadisiją w roku 637, w wyniku której armia arabska zdołała powstrzymać inwazję perską. Pomyślność królko towarzyszyła poczynaniom Saddama. Irańczycy, nieustępliwie broniąc swych ziem, zatrzymali Irakijczyków tuż przed osiągnięciem przez nich najważniejszych celów: ośrodków naftowych w Dezfulu i Ahwazie.

W listopadzie 1980 roku, zaledwie dwa miesiące po tym, jak wybuchł ten konflikt, wojna znalazła się w martwym punkcie. Chomeini odrzucił irackie oferty pokojowe i zaapelował do Irańczyków o rozbicie wojsk Saddama — *„karłowatego faraona"*. W ciągu następnego półtora roku Iran odzyskał wszystkie, utracone w pierwszej fazie wojny ziemie. 29 czerwca 1982 roku wyrzucono irackie oddziały z irańskiego terytorium. Pozostawiły za sobą 50 tysięcy zabitych i 50 tysięcy jeńców, nie przynosząc nic w zamian.

Saddam ponownie zaproponował pokój, wyrażając gotowość powrotu na przedwojenne granice. Chomeini odrzucił te oferty, a irańskie wojska wkroczyły do Iraku. Wrogość ajatollaha wobec prezydenta Iraku ma częściowo charakter osobisty: Chomeini nigdy nie zapomniał, że to właśnie Saddam w roku 1978, na życzenie szacha, usunął go z Iraku, gdzie przebywał do tej pory na emigracji. Nawet przed przystąpieniem przez Iran do działań ofensywnych różni negocjatorzy usiłowali doprowadzić do zakończenia konfliktu. Osobistości tak różnorodne, jak przywódca OWP Jaser Arafat, czy też zmarły premier Szwecji Olof Palme, próbowały bez powodzenia mediacji pokojowych. W kwietniu 1985 roku sekretarz generalny ONZ Javier Perez de Cuellar sam podjął podobny wysiłek. Początkowo Iran zażądał 350 mld dol. reparacji wojennych oraz odsunięcia Saddama od władzy, później odmówił wprost wzięcia udziału w jakichkolwiek rokowaniach.

GDYBY ŻOŁNIERZE CHOMEINIEGO

kiedykolwiek dotarli do Bagdadu, znaleźliby się w świecie bardzo różniącym się od tego, do którego przywykli w Teheranie, ognisku religijnego zapału. Od końca lat siedemdziesiątych rząd Saddama zaczął przeznaczać naftowe bogactwo kraju na podniesienie stopy życiowej jego obywateli. Zaledwie 20 lat temu Bagdad był rozsypującym się, obdartym miastem, żyjącym przekwitłą chwałą. Obecnie jest to miasto dróg szybkiego ruchu, wspaniałych budowli publicznych, gustownych architektonicznych domów, obszernych stadionów sportowych i co najmniej czterech pięciogwiazdkowych hoteli. Od początku lat siedemdziesiątych dochód na jednego mieszkańca Iraku zwiększył się siedmiokrotnie. Baasiści są zdecydowanymi zwolennikami laicyzacji, np. prawo cywilne nie opiera się na szarii, tak jak to jest w Iranie, irackie kobiety bez przeszkód spotykają się z mężczyznami w sklepach i kawiarniach oraz zatrudniane są w wielu zawodach. Tego rodzaju równość stanowi ostry kontrast w stosunku do sytuacji w Iranie, gdzie kobiety zostały zmuszone po upadku szacha do noszenia czarczafów lub innych islamskich okryć. (...)

Pogarszająca się sytuacja gospodarcza Iraku jest czynnikiem popychającym Chomeiniego do kontynuowania wojny. Dzięki zwiększeniu zdolności przesyłania ropy ropociągiem z Kirkuku przez Turcję na wybrzeże Morza Śródziemnego oraz zakończeniu budowy naftociągu prowadzącego przez Arabię Saudyjską na wybrzeże Morza Czerwonego, Irak jest w stanie eksportować 1,5 mln baryłek ropy dziennie. Jest to dużo więcej niż 700 tysięcy baryłek dziennie, które to Irak mógł eksportować po zamknięciu przez Syrię w roku 1982 ropociągu prowadzącego przez jej terytorium, ale też dużo mniej od 2,5 mln baryłek dziennie, które eksportował przed wojną — i przed nasyceniem rynku tym surowcem. Z powodu spadku cen dochody ze sprzedaży ropy zniżą się do połowy sumy 15 mld dolarów zarobionej z tego tytułu w roku 1985. Gwałtowne obniżenie się kursu dolara spowodowało znaczne podrożenie kosztów importu oraz spłaty długów zaciągniętych u dwóch głównych partnerów handlowych — Japonii i RFN, co jeszcze bardziej pogarsza sytuację. Wyczerpały się już kredyty udzielone przez zachodnie i arabskie banki handlowe.

W sytuacji, gdy nie ma żadnych oznak, aby Bagdad dążył do zmniejszenia rozmiarów swego wysiłku wojennego, w kwietniu 1986 r. rząd podjął decyzję o drastycznym obcięciu funduszy przeznaczonych na import, szczególnie takich towarów nie stanowiących artykułów pierwszej potrzeby, jak samochody osobowe, sprzęt elektroniczny i odzież z Japonii. Oznacza to cięższe czasy dla ludności Iraku, którą do tej pory chroniono przed skutkami wojny. W przemówieniu telewizyjnym z okazji 18 rocznicy objęcia rządów przez partię Baas, Saddam zapowiedział dalsze ograniczenia wydatków państwowych i indywidualnych dla osiągnięcia „ostatecznego zwycięstwa". Środki oszczędnościowe są mało popularne.

„Saddam nauczył naród wydawać pieniądze — mówi bagdadzki biznesmen. — *Nie da się zmusić Irakijczyków do prowadzenia skromnego życia. Oni potrzebują whisky i papierosów. Mówiąc szczerze, nie jestem pewien, czy naród to zniesie".*

Irakijczycy nie są również zbyt zadowoleni z wciągnięcia ich w wojnę, która wydaje się nie mieć końca. Spowodowała utratę 30 mld dolarów rezerw dewizowych i przyniosła krajowi 35 mld dol. długów. Wydaje się jednak, że większość rozumie racje wyrażone przez Saddama w przemówieniu z okazji święta narodowego przed rokiem. Powiedział wówczas, że wojna stanowi *„wybór pomiędzy tym, że jest się wolnym, dumnym i szczęśliwym na naszej ziemi, lub też przyjmuje się obce powiernictwo, hegemonię i dominację".* (...)

„TIME"
(28.08.1986)

Naser i egipska rewolucja lipcowa 1952 r.

HASSAN A. JAMSHEER

W warunkach głębokiego kryzysu wewnętrznego i zewnętrznego, w dniach 23—26 lipca 1952 r. grupa młodych oficerów przejęła władzę w Egipcie. Oficerowie zrzeszeni w Związku Wolnych Oficerów przygotowywali się od lat do obalenia rządów zależnego od Wielkiej Brytanii króla Faruka. Egipską rewolucję lipcową wiąże się z osobą jej architekta i założyciela organizacji Wolnych Oficerów, **Gamala Abdel-Nasera**; człowieka, który wywarł tak ogromny wpływ na historię własnego kraju, jak i świata arabskiego oraz krajów rozwijających się. Jego nazwisko kojarzy się także z orientacją polityczno-społeczną zwaną powszechnie socjalizmem arabskim.

Gamal Abdel-Naser urodził się w 1918 r. w miejscowości Beni Mur niedaleko Assiut. Egipt znajdował się od 1882 r. pod okupacją brytyjską, przeciwko której wybuchło w 1919 r. powstanie ogólnonarodowe. Ojciec Nasera, Husein, przeniósł się wraz z całą rodziną do Aleksandrii po otrzymaniu posady w administracji poczty. Stamtąd wysłał 7-letniego Gamala do swego brata zamieszkałego w Kairze. Tu Naser uczęszczał przez trzy lata do szkoły El-Nahasin. W 1929 roku Naser powrócił do Aleksandrii, gdzie kontynuował naukę w szkole Ras El-Tin, znajdującej się nie opodal letniego pałacu królewskiego. W 1933 r. kiedy Gamal miał 15 lat, administracja poczty skierowała jego ojca do Kairu, gdzie otrzymał posadę w ludowej dzielnicy Churunfisz.

W Kairze Gamal uczęszczał przez dwa lata do szkoły El-Nahda. W tym okresie zapoznał się z wieloma dziełami z zakresu nowożytnej historii Egiptu i Arabów oraz literatury arabskiej i obcej. Musiał więc zetknąć się z dziejami okupacji brytyjskiej Egiptu, z powstaniem narodowym pod wodzą Arabiego. Żywa była jeszcze w owym czasie pamięć o powstaniu z 1919 r. Podczas uroczystości na cześć ministra oświaty, Negiba El-Hilali, Naser brał udział w przedstawieniu „Juliusz Cezar", grając rolę Cezara — popularnego wyzwoliciela mas, zdobywcy Brytanii.

W wieku lat 17, Naser uzyskał świadectwo ukończenia szkoły średniej i wstąpił na wydział prawa Uniwersytetu Kairskiego. W 1935 r., w związku z agresją włoską na Abisynię, Egipt znalazł się w niebezpieczeństwie, w obliczu którego Anglicy próbowali utrwalić swoją okupację na drodze legalnej. Doszło więc w 1936 r. do zawarcia traktatu brytyjsko-egipskiego. Tymczasem w 1935 r. Naser zaczął brać udział w akcji agitacyjnej przeciwko okupacji brytyjskiej i projektowi układu z Wielką Brytanią. W czasie jednej z demonstracji Naser stanął na czele kolumny demonstrujących kolegów ze swej uczelni, z których policja brytyjska zastrzeliła dwóch i ścigała jego samego. W swych pamiętnikach wydanych w Kairze w 1954 r. pt. „Falsafat El-Thaura" (Filozofia Rewolucji), Gamal nazywa te czasy „dniem przebudzenia się". Odrzucił on traktat z 1936 r., ponieważ legalizował brytyjską obecność militarną w strefie Kanału Sueskiego, a przede wszystkim dlatego, że był rezultatem transakcji z okupantem. Tym niemniej, traktat przewidywał wzrost liczebności armii egipskiej; na skutek czego bramy szkoły oficerskiej zostały otwarte dla absolwentów szkół średnich, wywodzących się z warstw średnich.

W marcu 1937 r. Naser wstąpił do Akademii Wojskowej. Studia wojskowe były mniej kosztowne od prawniczych i — szczególnie w okresie kryzysu gospodarczego — wiązały się z awansem socjalnym. Trzyletni kurs studiów teoretycznych ukończył Naser w ciągu zaledwie 17 miesięcy. Po kolejnych 6 miesiącach otrzymał on nominację na kaprala i dowództwo grupy, wśród której wybijał się Abdel-Hakim Amer. W stopniu podporucznika został Gamal przydzielony w 1939 r. do garnizonu w Mankabad, niedaleko rodzinnej miejscowości Beni Mur. Tutaj razem z nim służbę odbywali podporucznicy Zakaria Mohieddin i Anwar Sadat. Ten ostatni podaje rok 1939 jako datę powstania Związku Wolnych Oficerów. Po Mankabad Naser został przeniesiony na własną prośbę do Sudanu, znajdującego się wówczas pod wspólną egipsko-brytyjską administracją. Nie mógł on znieść panującej w Egipcie — a zwłaszcza w stolicy kraju — atmosfery kolaboracji. 1 maja 1940 r. mianowano go porucznikiem.

W końcu 1941 r. w momencie przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny, Naser powrócił do Egiptu. W tym czasie generał Rommel przyśpieszył marsz z Libii w kierunku Aleksandrii. W swej nienawiści do okupanta, wielu Egipcjan wiązało nadzieje na wyzwolenie z klęską Wielkiej Brytanii w północnej Afryce. W obawie o swój tron, król Faruk zaczął się wahać, wyznaczając na premiera nieprzychylnego w owym czasie Brytyjczykom polityka Ali Mahera. W obliczu niekorzystnego dla siebie układu sił, Brytyjczycy zdecydowali się na zmuszenie Faruka (4 lutego 1942 r.) przy pomocy czołgów otaczających pałac królewski do mianowania przywódcy partii Wafd, Mustafy Nahasa, premierem. Akcja ta wstrząsnęła armią i doprowadziła do zdyskredytowania partii Wafd wśród oficerów.

W październiku 1942 r. wojska Rommla zostały odparte z Egiptu. W tym czasie Naser otrzymał nominację na kapitana, a w sześć miesięcy później mianowano go instruktorem w kairskiej Akademii Wojskowej. Jednocześnie odbywał kurs sztabowy w Akademii Sztabu Generalnego. W tym również czasie wstąpił w związek małżeński.

Po zakończeniu II wojny światowej, Egipt znalazł się w warunkach fermentu społecznego i politycznego. W centrum uwagi społeczeństwa egipskiego znalazły się dwa podstawowe hasła: zakończenie okupacji brytyjskiej i przeprowadzenie reform społecznych. W tych warunkach Naser skontaktował się z sympatykami orientacji marksistowskiej (1945—1946) za pośrednictwem Chalida Muhieddina, z Bractwem Muzułmańskim za pośrednictwem Anwara Sadata oraz z Partią Socjalistyczną, z lewym skrzydłem Wafd, z adwokatami, pisarzami i redaktorami. Jest prawdopodobne, że dopiero po tych kontaktach utworzono Związek Wolnych Oficerów. Kontakty te przekonały Nasera, że tylko armia była zdolna stać się awangardą ruchu wyzwoleńczego, gdyż jedynie ona odpowiadała podstawowemu wymogowi: scentralizowana siła „trzymająca się z dala od konfliktów między jednostkami i klasami, wywodząca się z serca narodu" — pisał w „Filozofii Rewolucji".

29 listopada 1947 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ przyznało syjonistom dużą część terytorium palestyńskiego. 15 maja 1948 r. ogłoszono powstanie państwa izraelskiego, i tego samego dnia wybuchła wojna palestyńska. Pierwsze oddziały egipskie zostały skierowane do Palestyny, a wśród nich dowódca VI batalionu Naser wraz z kapitanami Amerem i Zakarią Muhieddinem (kuzyn Chalida). Jednostkę Nasera wysłano najpierw do Gazy, a następnie do Deir Snid. Po zakończeniu pierwszego rozejmu Naser został 12 lipca zraniony w pierś. Drugi rozejm (od końca lipca do początku października) pozwolił oddziałom izraelskim poprawić swoje pozycje i odświeżyć siły. 4 listopada (1948) rozpoczęła się bitwa o pustynię Negew. Batalionowi Nasera powierzono zadanie obrony ważnego węzła komunikacyjnego w pobliżu Faluji. Siły egipskie zostały odcięte i otoczone. Dowódca VI batalionu zorganizował udany kontratak i nawiązał kontakt z innymi oddziałami. W tym stanie rzeczy przetrzymywali oni liczne ataki izraelskich oddziałów aż do podpisania rozejmu egipsko-izraelskiego (luty 1949) i honorowego zakończenia blokady. Zyskało to Naserowi duży kredyt zaufania i uznania wśród oficerów, żołnierzy i społeczeństwa.

Po wojnie palestyńskiej następował w Egipcie wzrost nastrojów antyrządowych. Powołanie państwa izraelskiego w Palestynie spotkało się z oburzeniem w świecie arabskim: m.in. w Egipcie. Decyzja państw arabskich wysłania swoich sił zbrojnych celem obrony Palestyńczyków i uniemożliwienie powstania państwa syjonistycznego wywołała entuzjazm w armii egipskiej. Nie mieli oni wątpliwości co do tego, że rząd przedsięwziął wszystkie kroki, które zapewniłyby zwycięstwo. Po pierwszych zwycięstwach, walczący z sapałem i oddaniem żołnierze egipskich sił zbrojnych szybko przekonali się, że byli tylko ofiarami nieudolności i zdrady. Oficerowie sztabu generalnego kierowali głównymi operacjami z wygodnych urzędów kairskich w sposób sprzeczny z elementarnymi zasadami taktyki i dowodzenia. Oficerowie znajdujący się na froncie musieli wprowadzać w życie sprzeczne ze sobą rozkazy, które doprowadzały do ciężkich strat ludzkich i materialnych.

Niedługo później oficerowie egipscy zostali zaszokowani wiadomościami o machinacjach handlowych osób zbliżonych do rządu i dworu, na skutek czego wojsko otrzymywało niezdatne do użycia broń i amunicję. Ich towarzysze ginęli nie z rąk wroga, lecz z rąk zdrajców i skorumpowanych osób z dworu królewskiego bądź wysokich oficerów kairskich. Oficerowie wrócili do kraju z wyraźnie zdefiniowanym celem obalić skorumpowany reżym z królem na czele.

Pierwszy Komitet Wykonawczy Związku Wolnych Oficerów powołano pod koniec listopada 1949 r. W jego skład weszli: G. A Naser, A. H. Amer, Salah Salem, Abdel-Latif Bogdadi, Chalid Muhieddin, Kemal Eddin Husein, Hassan Ibrahim i Abdel-Monim Rauf. Wkrótce do Komitetu wchodzą dwaj pierwsi przyjaciele Nasera — A. Sadat i Z. Muhieddin. Społecznie członkowie Komitetu byli zbliżeni do Nasera, zaś — jeśli chodzi o poglądy — to choć znajdowali się wśród nich ludzie zbliżeni do marksistów (Chalid Muhieddin i Yusif Saddik, późniejszy członek Komitetu Wykonawczego) lub do Bractwa (A. Sadat, K. Husein i Husein El-Szafei), przeważali jednak zwolennicy poglądów nacjonalistycznych.

W momencie powstania Związek Wolnych Oficerów liczył 200—300 członków. Działali oni w 3—5 osobowych komórkach. Na czele Komitetu Wykonawczego Związku stanął podpułkownik Gamal Abdel-Naser, mający w momencie zamachu stanu 34 lata. Górował nad innymi członkami Komitetu aktywnością i umiejętnościami organizacyjnymi, był ponadto świetnym mówcą. Zadanie Komitetu ułatwił fakt, że jego członkowie byli oficerami wyższej rangi: majorami i podpułkownikami, co dawało im szerokie uprawnienia we własnych jednostkach oraz możność zwerbowania nowych członków. Komitet prowadził swoją działalność w pięciu sekcjach: ekonomicznej, osobowej, bezpieczeństwa, bojowej i propagandowej.

Tę ostatnią dziedzinę działalności prowadzono bardziej energicznie od końca 1949 r. W 1950 r. zaczął się ukazywać regularnie — tajny oczywiście — „Głos Wolnych Oficerów". Ulotki były rozprowadzane wśród wojskowych jak i osób cywilnych. Pierwsza ulotka, zredagowana głównie przez Chalida Muhieddina, nawiązała do stanu uzbrojenia armii egipskiej i do afery broni, o której było coraz głośniej. W innych ulotkach młodzi oficerowie piętnowali okupantów brytyjskich, Stany Zjednoczone za poparcie udzielone Wielkiej Brytanii oraz plany utrwalenia okupacji Egiptu i powołania paktu militarnego na Środkowym Wschodzie.

Program Wolnych Oficerów był więc mało sprecyzowany, lecz po objęciu władzy ustalono sześć zasad programowych: likwidacja kolonializmu i egipskich zdrajców, likwidacja feudalizmu, położenie kresu dominacji obcego kapitału, ustanowienie równości społecznej, powołanie silnej armii narodowej i ustanowienie życia demokratycznego na zdrowych zasadach.

Po południu **22 lipca 1952 r.**, w 5 godzin przed wyznaczonym terminem zamachu odbyło się spotkanie kierownictwa Wolnych Oficerów, na którym omówiono plan przejęcia władzy opracowany zgodnie z instrukcją Nasera. W pierwszej fazie plan przewidywał przejęcie kontroli nad armią i punktami strategicznymi Kairu. Przed północą żołnierze Saddika opanowali sztab generalny, wybrany na miejsce dowodzenia dalszej akcji. W tym czasie opanowano najważniejsze dzielnice i punkty strategiczne Kairu, rozgłośnię oraz rozsiane po kraju garnizony — a przede wszystkim garnizony znajdujące się na Synaju. Akcja przebiegała szybko i sprawnie, bez większego oporu.

Po opowiedzeniu się po stronie puczu, generałowi Muhamedowi Negibowi Naser zaproponował przejęcie roli oficjalnego przywódcy. Na razie Wolni Oficerowie woleli utrzymać w tajemnicy istnienie swej organizacji. Przez pierwszy etap przewrotu Negib miał pozostać jedynym znanym przywódcą. Był on dobrym, popularnym w korpusie oficerskim, oficerem. Walczył w Palestynie, gdzie kilkakrotnie został ranny. Napisał broszury na temat taktyki wojennej. Mówił biegle po angielsku, francusku i włosku.

W obawie przed obcą interwencją, Wolni Oficerowie — w pierwszych godzinach puczu — skontaktowali się z ambasadą amerykańską za pośrednictwem szefa królewskiego wywiadu lotniczego i członka Wolnych Oficerów, Ali Sabriego. Znał on osobiście podpułkownika Davida L. Evansa, zastępcę amerykańskiego attaché lotniczego. Zgodnie z instrukcją, Sabri prosił Evansa, by poinformował swego ambasadora i dalej brytyjskich dyplomatów, że „rewolucja jest sprawą czysto wewnętrzną, dotyczącą samych tylko Egipcjan, i że życie i mienie obcych obywateli będą gorliwie chronione". Sabri ostrzegał jednak, że w wypadku interwencji brytyjskiej „odpowiedzialność za nieunikniony przelew krwi spada na Brytyjczyków, a nie na Wolnych Oficerów".

24 lipca 1952 r. rano z dawnego Komitetu Wykonawczego ukonstytuowała się Rada Dowództwa Rewolucji jako główny organ władzy. Postanawiając ukrywać swoje plany, Wolni Oficerowie wysunęli kandydaturę Ali Mahera na stanowisko premiera, ministra obrony i spraw wewnętrznych. Jeszcze tego samego dnia Maher otrzymał nominację z rąk króla, który dodatkowo zgodził się na mianowanie Negiba głównodowodzącym armii oraz na odsunięcie od władzy niektórych faworytów królewskich. Król i Ali Maher, polityk bądź co bądź zbliżony do kół dworskich, liczyli na złagodzenie sytuacji, uśpienie czujności młodych oficerów, by zyskać na czasie i organizować kontruderzenie.

Letnią stolicą Egiptu była w tym czasie Aleksandria. Tu przebywali król, członkowie rządu i obcy przedstawiciele dyplomatyczni. Dwór królewski czynił intensywne staranie o uzyskanie pomocy zbrojnej w zdławieniu przewrotu. W tym celu wielokrotnie kontaktował się z ambasadą brytyjską i amerykańską. Otrzymując wezwania Faruka do interwencji, brytyjski minister spraw zagranicznych Anthony Eden skontaktował się z Departamentem Stanu celem uzyskania poparcia amerykańskiego dla ewentualnej akcji zbrojnej.

Na Amerykanów wpłynął fakt, że Wolni Oficerowie zwrócili się do nich w pierwszym rzędzie natychmiast po opanowaniu Kairu, oraz że armia bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność za bezpieczeństwo osobiste, mienie i interesy „cudzoziemców". Ponadto Stanom Zjednoczonym przypadło do gustu utrzymanie w mocy ustaw zakazujących działalność komunistyczną. 28 lipca zwolniono ponad 300 więźniów politycznych, z wyjątkiem komunistów. W rezultacie, Departament Stanu — licząc na prozachodnią orientację młodych oficerów — odrzucił brytyjską propozycję wspólnej interwencji i postanowił uznać zamach stanu za wewnętrzną sprawę Egiptu. Ambasador amerykański domagał się się jednak od nowej władzy zagwarantowania osobistego bezpieczeństwa króla i jego rodziny.

Wielka Brytania z kolei nie była gotowa walczyć sama o tron Faruka. Była przecież skrępowana wydarzeniami w Iranie (nacjonalizacja nafty irańskiej przez rząd Mosadika). Nie znała także ani rzeczywistych zamiarów, ani organizatorów przewrotu, i — podobnie do USA — żywiła nadzieję, że wychowani w szkole brytyjskiej oficerowie wykażą zrozumienie w sprawie uczestnictwa w zachodnim systemie sojuszów wojskowych.

Wolni Oficerowie przystąpili następnie — zgodnie z planem — do operacji detronizacji Faruka. 26 lipca rano silne oddziały otoczyły oba pałace królewskie w Aleksandrii: Ras El-Tin i Muntazah. Jednocześnie zarządzono patrole lotnicze i morskie. Królowi, przebywającemu w Ras El-Tin, wręczono za pośrednictwem Ali Mahera ultimatum, żądano jego abdykacji do godziny 12.00 na rzecz swego kilkumiesięcznego syna, księcia Ahmeda Fuada, i opuszczenia kraju do godziny 18.00 tego samego dnia. Faruk przyjął warunki ultimatum. Uroczystości odpłynięcia nadano charakter oficjalny: strzały armatnie, hymn narodowy. Obecni byli niektórzy członkowie Rady Dowództwa Rewolucji (Naser był w Kairze). Przy pożegnaniu Faruka asystował amerykański ambasador, jako jedyny ambasador obcego państwa.

Dopiero po ogłoszeniu abdykacji Faruka, ludność Egiptu masowo wyraziła swoje poparcie dla Wolnych Oficerów. Ze względu na niejasność celów i zadań dokonanego przez armię przewrotu, społeczeństwo egipskie przyjęło w momencie powstania postawę wyczekującą. Obalenie Faruka zostało przyjęte z wielką radością i masowymi demonstracjami.

Założenia prawno-ustrojowe nowej władzy nie były jeszcze sprecyzowane. Krystalizowały się one dopiero w okresie walk wewnętrznych z lat 1952—1954 i później.

Ogół i awangarda

GAMAL ABDEL NASER

Przyznaję, że w różnych okresach po 23 lipca 1952 r. oskarżano mnie i moich kolegów, wraz z całą armią, że to co zrobiliśmy tego dnia, było czynem bezsensownym lub szalonym.

Przed 23 lipca wyobrażałem sobie, że cały naród w pełnej gotowości oczekuje szturmu awangardy. Za nią ruszyć miały zwarte, uporządkowane szeregi, w świętym marszu zmierzające do wielkiego celu. Wydawało mi się, że jako awangarda mieliśmy odegrać rolę komandosów i że wykonanie naszego zadania nie potrwa dłużej niż kilka godzin; potem rozpocznie się ów święty marsz zwartych, uporządkowanych szeregów — do wielkiego celu. Czasem poniosła mnie wyobraźnia i już, już słyszałem zgiełk tych szeregów, potężne dudnienie kroków regularnym marszem zmierzających do wielkiego celu.. Słyszałem wszystkie te odgłosy, nie wydawały mi się zwykłymi wytworami wyobraźni, wierzyłem w nie tak bardzo, że brzmiały jak najprawdziwsza rzeczywistość.

Po 23 lipca zaskoczyły mnie fakty...

Awangarda spełniła swoje zadanie: ruszyła do szturmu na twierdzę tyraństwa i usunęła tyranów. Po czym stanęła w oczekiwaniu świętego marszu zwartych, uporządkowanych szeregów, zmierzających do wielkiego celu...

Jej oczekiwanie zaczęło się wydłużać....

W istocie, za awangardą ruszył nieprzebrany tłum, ale jakże odległa jest rzeczywistość od wyobrażeń!

Ten tłum, który ruszył z miejsca, podzielony był na rozliczne stronnictwa i odłamy. Święty marsz do wielkiego celu zaczął się odwlekać, a obraz powstałej sytuacji — zatrważający i mroczny, zapowiadał niebezpieczeństwo....

Wówczas zrozumiałem — z sercem ciężkim, pełnym smutku i goryczy — że zadanie awangardy nie skończyło się w tej godzinie; godzina dla niej dopiero wybiła.

Potrzebowaliśmy porządku, a mieliśmy tylko anarchię...

Potrzebowaliśmy jedności, a mieliśmy tylko spory...

Potrzebowaliśmy działania, a spotykaliśmy się tylko albo z posłuszeństwem, albo z lenistwem...

Stąd właśnie, a nie skądinąd wywodzą się hasła rewolucji.

Ale nie byliśmy przygotowani...

Ruszyliśmy na poszukiwanie autorytetów i ludzi doświadczonych, z prośbą o radę. Niewiele jednak zdołaliśmy się dowiedzieć...

Każdy napotkany człowiek dążył tylko do zabicia innego człowieka! A każdy pogląd, jaki nam przedstawiono, miał na celu jedynie obalenie innego poglądu!

Gdybyśmy posłuchali wszystkiego, co nam powiedziano, musielibyśmy pozabijać wszystkich ludzi i obalić wszelkie istniejące poglądy, a potem siąść wśród ludzkich szczątków i ruin, opłakując nasze nieszczęścia i przeklinając zły los!

Posypały się na nas tysiące, setki tysięcy skarg i petycji; gdyby skargi te dotyczyły sytuacji wymagających sprawiedliwego rozwiązania albo krzywd, które należy naprawiać, byłoby to jeszcze logiczne i zrozumiałe. A większość z tego, co do nas przychodziło, były to ni mniej, ni więcej tylko żądania zemsty... Tak jakby rewolucja narodziła się tylko po to, aby służyć zaspokojeniu wszelkich złości i nienawiści!

Z tomu „Filozofia rewolucji"
(„As—Sadaka" 1983, nr 25)

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ernestyna

Nowela szwedzka (3)

D. A. F. DE SADE

Wchodzi pewnego ranka do pułkownika.

— Ojcze — mówi z szacunkiem — wydaje się, że senator pozostaje na dłużej w Nordkoping; tymczasem przyrzekłeś Hermanowi, że wkrótce się połączymy; pozwól mi zapytać czy twe postanowienia pozostały takie same?..., i czy koniecznie musimy oczekiwać wyjazdu hrabiego, by uświęcić małżeństwo, którego wszyscy tak bardzo pragniemy?

— Ernestyno — mówi pułkownik — siadaj i posłuchaj mnie. Gdy wierzyłem, moja córko, że twe szczęście i los mógłby związać cię z młodym Hermanem, nie przeciwstawiałem się, widziałaś, z jaką gorliwością oddawałem się twym pragnieniom; ale dlaczego pragniesz bym cię poświęcił, gdy czeka cię, Ernestyno, szczęśliwszy los?

— Szczęśliwszy los, mówisz? Jeśli szukasz dla mnie szczęścia, ojcze, nie znajdziesz go nigdzie indziej, jak tylko z mym drogim Hermanem, tylko on mi je może zapewnić; mniejsza o to, mam nadzieję rozwikłać twe zamiary.., drżę o nie..., ach! zechciej nie czynić mnie ich ofiarą.

— Ależ, córko, od tych projektów zależy mój awans.

— Och! ojcze, jeśli hrabia zajmie się twą fortuną jedynie otrzymując mą rękę..., zgoda, osiągniesz zaszczyty, jakie ci obiecano, ale ten, który ci je sprzedaje nie skorzysta z tego, na co ma nadzieję; umrę nim będę don należeć.

— Ernestyno, sądziłem, że masz duszę bardziej wrażliwą..., sądziłem, że potrafisz bardziej kochać swego ojca.

— Ach! drogi ojcze, sądziłam, że twa córka była ci bardziej droga, że... Nieszczęsna podróż!... nikczemny uwodziciel!... Byliśmy wszyscy szczęśliwi, nim człowiek ten pojawił się tutaj..., stanęła nam na drodze jedna przeszkoda, pokonalibyśmy ją; nie obawiałabym się niczego, o ile ojciec mój byłby po mojej stronie; a on mnie zostawia, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko umrzeć...

I nieszczęsna Ernestyna, pogrążona w bólu, zaczęła wydawać jęki, które wzruszyłyby najtwardsze nawet serca.

— Słuchaj, córko, słuchaj, nie martw się — mówi pułkownik, osuszając pieszczotami łzy, jakimi zalała się Ernestyna — hrabia chce mego szczęścia, i chociaż nie powiedział mi wyraźnie, że, jako zapłaty, żąda twej ręki, łatwo jednak pojąć, że to właśnie ma na celu. Jest pewny, o co się stara, przywiązać mnie do służby, chce byśmy zamieszkali w Sztokholmie, obiecuje tam los najbardziej chlubny, a w dniu mego przybycia do miasta sam chce, jak mówi, wyjść mi naprzeciw z patentem tysiąca dukatów pensji należnej mym służbom..., służbom **mego ojca**, i dodaje, że dwór przyjmie mnie w krótkim czasie, jeśli będziemy mieć w stolicy choćby jednego przyjaciela, który nas poleci. Ernestyno.., czy chcesz utracić wszystkie te łaski? Chcesz zaniedbać swój i mój los?

— Nie, ojcze — odpowiedziała stanowczo córka Sandersa — nie; ale żądam od ciebie łaski, byś, przede wszystkim, poddał hrabiego próbie, której, jestem tego pewna, nie przetrwa; jeśli chce ci wyświadczyć tyle dobrego, ile mówi, i jeśli byłby uczciwy, winien nadal darzyć cię przyjaźnią nie licząc na korzyści; jeśli postawi warunki, należy się obawiać jego zachowania; od tej chwili jest ono skandaliczne, od tego momentu jest fałszywe; to już nie twój przyjaciel, lecz mój uwodziciel.

— Poślubi cię.

— Nie uczyni tego; zresztą, posłuchaj mnie, ojcze, jeśli uczucia, jakimi darzy cię hrabia są prawdziwe, powinny być niezależne od tych, jakimi mógł zapałać do mnie; nie powinien pragnąć zrobić ci przyjemności w przeświadczeniu, że mnie sprawia przykrość; powinien, jeśli jest cnotliwy i wrażliwy, uczynić dla ciebie tyle dobrego, ile obiecał, nie wymagając, abym była zapłatą; aby zgłębić jego sposób myślenia, powiedz mu, że akceptujesz wszystkie te obietnice, ale że prosisz go o pierwszy dowód jego wspaniałomyślności wobec mnie, prosisz, aby, nim opuści miasto, sam dał ślub twej córce i kochanemu przez nią człowiekowi. Jeśli hrabia jest lojalny, jeśli jest szczery, jeśli jest bezinteresowny, zgodzi się; jeśli ma zamiar poświęcić mnie, by tobie służyć, zdradzi się; musi odpowiedzieć na twą propozycję i nie powinna go ona zdziwić, skoro jeszcze, jak mówisz, nie prosił otwarcie o mą rękę; jeśli odpowiedzią będzie żądanie jej za cenę oferowanych dobrodziejstw, tym bardziej będzie chciał sam się zobligować, że nie ma służyć tobie, skoro będzie wiedział, że jestem zaangażowana, i że będzie chciał mnie przymusić wbrew memu sercu; znaczyć to będzie, że jego dusza jest nieuczciwa, i że nie możesz ufać żadnym jego ofertom, bez względu na to, jaki blichtr by ich nie ubarwiał. Człowiek honoru nie może pragnąć ręki kobiety, której miłości, wie, że nie zdobędzie; nie powinien obligować ojca ze szkodą dla córki. Próba jest pewna zaklinam cię, byś jej dokonał; jeśli się powiedzie..., chcę powiedzieć,—jeśli będziemy mieć pewność, że hrabia ma tylko prawe widoki, trzeba będzie pogodzić się ze wszystkim, a wówczas, dokona twego awansu nie szkodząc mej szczęśliwości; wszyscy będziemy szczęśliwi... Wszyscy, ojcze, a ty nie będziesz miał wyrzutów.

— Ernestyno — mówi pułkownik — to możliwe, że hrabia jest człowiekiem uczciwym, chociaż chciałby zobligować mnie tylko pod warunkiem wzięcia ciebie za żonę.

— Tak, jeśli nie wiedziałby, że jestem zaangażowana; ale jeśli wiedząc, że tak właśnie jest, nadal będzie chciał służyć ci jedynie mnie przymuszając, objawi tylko egoizm pozbawiony wszelkiej delikatności; odtąd jego obietnice winny być dla nas podejrzane...

I Ernestyna, rzucając się w ramiona pułkownika:

— Och! ojcze — wykrzykuje ze łzami w oczach — zgódź się na próbę, jakiej żądam, nie odmawiaj mi, ojcze, zaklinam cię, nie poświęcaj tak okrutnie córki, która cię uwielbia, i która chce żyć tylko dla ciebie; ten nieszczęsny Herman umarłby z bólu, umarłby nienawidząc nas, a ja wnet poszłabym za nim do grobu, i utraciłbyś oboje najbliższych twemu sercu przyjaciół.

Pułkownik kochał swą córkę, był wspaniałomyślny i szlachetny; nie można by mu zarzucić, by ten rodzaj dobrej wiary, która, chociaż czyni człowieka uczciwego tak łatwą ofiarą oszustów, nie zdradzał jednocześnie całej prostoduszności i szczerości pięknej duszy; obiecał córce uczynić wszystko czego żądała, i nazajutrz rozmawiał z senatorem.

Oxtiern, bardziej fałszywy niż panna Sanders czysta, który wraz z panią Scholtz przedsięwziął już środki na wszelką niewątpliwie ewentualność, odpowiedział pułkownikowi w sposób najbardziej zadowalający.

— Wierzyłeś zatem, mój drogi — mówi doń — że pragnąłem cię zobligować licząc na korzyść? Mało znasz me serce, wypełnia je tylko, jeśli pominąć cały szacunek, pragnienie, aby być ci użytecznym; z pewnością kocham twą córkę, ukrywanie tego przed tobą nie służy niczemu; ale skoro nie wierzy ona, że chcę ją uczynić szczęśliwą, jestem daleki od zmuszania jej; nie podejmę się zawiązać węzłów małżeńskich, jakie to pragnienie ujawniłeś, procedura ta kosztowałaby nazbyt wiele me serce; czyż poświęcając siebie, mógłbym chcieć dokonać tego własnymi rękami; ale małżeństwo zostanie zawarte, dołożę do tego starań, obarczę nimi panią Scholtz, i skoro twa córka woli zostać żoną kasjera niż jednego z pierwszych senatorów Szwecji, jest zakochana; nie sądź wcale, że wybór ten niweczy wszystko, co chcę dla ciebie uczynić; wyruszam niezwłocznie; zaledwie uporządkuję kilka spraw, powóz mój powróci po twą córkę i po ciebie. Przybędziesz do Sztokholmu z Ernestyną; Herman będzie mógł albo oczekiwać jej, jeśli tak będzie wolał, albo towarzyszyć wam i poślubić ją tam, mając siedzibę, w której chcę was umieścić, a gdzie ich ślub będzie wspanialszy.

— Czcigodny panie — mówi Sanders ściskając dłonie hrabiego — jakież zobowiązania! Przysługi, jakie raczysz nam wyświadczyć staną się o tyleż cenniejsze, iż będą bezinteresowne, i będą cię kosztować ofiarę... Ach! senatorze, to ostatni stopień ludzkiej wspaniałomyślności, w wieku, w którym wszelkie cnoty są tak rzadkie, czyn tak piękny winien być wart świątyń.

— Przyjacielu — mówi hrabia odpowiadając na pochlebstwa pułkownika — człowiek uczciwy pierwszy korzysta z dobrodziejstw, jakie czyni; czyż nie tego potrzeba do szczęścia?

Pułkownik nie miał nic bardziej pilnego niż opowiedzieć córce o znaczącej rozmowie, jaką odbył z Oxtiernem. Ernestyna wzruszyła się do łez i bez trudu uwierzyła we wszystko; piękne dusze są ufne, wyobrażają sobie łatwo to, co same zdolne są uczynić; Herman nie był tak łatwowierny; kilka nieuważnych słów, jakie wymknęły się pani Scholtz, gdy rozradowała się widząc, że wszystko sprzyja jej zemście, zrodziły w nim podejrzenia, którymi podzielił się ze swą kochanką; ta delikatna dziewczyna uspokoiła go; dała mu do zrozumienia, że człowiek urodzenia i stanu Oxtierna nie może być zdolny do oszustwa... Naiwne stworzenie nie wiedziało, że występki, wsparte urodzeniem i bogactwem, a wskutek tego rozzuchwalone bezkarnością, stają się tym bardziej niebezpieczne. Herman chce jednak wyjaśnić sprawę z samym hrabią; Ernestyna zabrania mu uciec się do gwałtu, ale ten, będąc posłuszny tylko swej dumie, miłości i odwadze, ładuje dwa pistolety; nazajutrz rano wchodzi do pokoju hrabiego i staje u wezgłowia łoża:

— Panie — mówi doń zuchwale — sądzę, że jesteś człowiekiem honoru; twe nazwisko, pozycja, bogactwo, wszystko mnie o tym przekonuje; żądam zatem twego słowa, panie, twego słowa na piśmie, że wyrzekasz się całkowicie pretensji, jakie rościłeś do Ernestyny; w przeciwnym wypadku oczekuję, byś wybrał broń i byśmy strzelali się.

Senator, nieco zdumiony komplementem, zaczął od spytania Hermana, czy przemyślał krok, jaki czyni, i czy sądzi, że człowiek jego stanu winien jakieś zadośćuczynienie komuś podrzędnemu jak on?

— Dość obelg, panie — odpowiedział Herman — nie przychodzę tu po to, by ich wysłuchiwać, lecz, przeciwnie, by żądać zadośćuczynienia zniewag, jakich się dopuściłeś pragnąc posiąść mą kochankę. Podrzędny, mówisz senatorze; każdy człowiek ma prawo żądać od innego zadośćuczynienia albo w dobrach, jeśli mu je zabrano, albo w walce, jeśli go obrażono; przesąd, który dzieli stany jest chimerą; natura stworzyła wszystkich ludzi równymi, nie ma pośród nich ani jednego, który nie wyszedłby z jej łona ubogi i nagi, ani jednego, którego by zachowała albo unicestwiła w odróżnieniu od innego; nie znam pomiędzy nimi żadnych różnic, prócz tych, jakie ustanawia cnota; jedynym człowiekiem godnym pogardy jest ten, kto używa praw, jakich przyznały mu fałszywe umowy, po to tylko, by tym bardziej bezkarnie oddać się występkowi. Wstań, hrabio, bądź łaskaw, żądam od ciebie należnej mi satysfakcji, daj mi ją, mówię ci, albo, jeśli nie pośpieszysz się z obroną, palnę ci w łeb.

— Jedną chwilę — mówi Oxtiern ubierając się — siądź, młody człowieku, chciałbym, abyśmy, nim staniemy do walki, zjedli razem śniadanie... Nie odmówisz mi tej łaski?

— Zgoda, hrabio — odpowiedział Herman — ale mam nadzieję, że później staniesz na me wezwanie...

Rozległ się dzwonek, podano śniadanie, i senator zarządawszy, by pozostawiono go samego z Hermanem, pyta go, po pierwszej filiżance kawy, czy to, co przedsiębierze uzgodnione zostało z Ernestyną?

— Nie, senatorze, ona nie wie, że jestem u ciebie, co więcej, powiedziała, że chcesz mi służyć.

— Jeśli tak, to jaki zatem może być motyw twej nieroztropności?

— Obawa, że zostanę oszukany, pewność, że, gdy kocha się Ernestynę, nie można się jej wyrzec, w końcu, pragnienie wyjaśnienia sprawy.

— Wkrótce będziesz je miał. Hermanie, i chociaż winienem ci jedynie wyrzucać nieprzyzwoitość twego czynu..., i chociaż ten nierozważny krok powinien być może zmienić me plany względem córki pułkownika, daję jednak słowo... Tak, Hermanie, poślubisz Ernestynę, obiecałem jej to, i tak będzie. Wcale ci jej nie odstępuję, młody człowieku, nie jestem stworzony, by ci coś odstąpić; jedynie Ernestyna otrzyma wszystko ode mnie, i to jej szczęściu składam w ofierze własne.

— O! wspaniałomyślny człowieku!

— Ty mi nic nie zawdzięczasz, mówię ci, trudzę się tylko dla Ernestyny, i tylko od niej oczekuję wdzięczności.

— Pozwól, że ją podzielę, senatorze, pozwól, że jednocześnie złożę ci tysiąc przeprosin z powodu mej porywczości... Ale, panie, czy mogę liczyć na twe słowo, i czy masz zamiar dotrzymać go, czy nie odmówisz dać mi go na piśmie?

— Napisałbym wszystko, czego sobie życzysz, ale jest to zbędne, a te niesprawiedliwe podejrzenia powiększają obelgę, na jaką sobie pozwoliłeś.

— Po to tylko, by uspokoić Ernestynę.

— Ona jest mniej podejrzliwa niż ty, wierzy mi. Mniejsza o to, mogę napisać, ale do niej adresując bilecik; każdy inny sposób byłby nie na miejscu, nie mogę jednocześnie służyć ci i upokorzyć się przed tobą...

I senator, biorąc przybory do pisania, skreślił następujące słowa.

Hrabia Oxtiern obiecuje Ernestynie Sanders pozostawić jej wolny wybór i przedsięwziąć wszelkie środki, by umożliwić jej niezwłocznie korzystanie z rozkoszy małżeństwa, bez względu na to, ile by miało to kosztować tego, który ją uwielbia, a którego ofiara stanie się wnet również pewna jak okrutna.

Nieszczęsny Herman, daleki od tego, by zrozumieć dwojaki sens tego bileciku, wzruszył się nim, ucałował go z zapałem, ponowił swe przeprosiny wobec hrabiego, i popędził do Ernestyny przynieść jej smutne zdobycze swego zwycięstwa.

Panna Sanders zganiła mocno Hermana, oskarżyła go, iż nie pokłada w niej żadnego zaufania, dodała, że po tym, co mu powiedziała, nie powinien posunąć się do ostateczności wobec człowieka tak bardzo go przewyższającego, że należało się obawiać, by hrabia, ustępując tylko przez roztropność, nie posunął się do jakichś ostateczności być może fatalnych dla nich obojga, a w każdym razie, mogących przynieść szkodę jej ojcu. Herman uspokoił swą kochankę, podnosił wagę bileciku..., którego dwuznaczności ona także nie pojęła; podzielili się wszystkim z pułkownikiem, który, jeszcze bardziej żywo niż córka, zganił zachowanie młodego Hermana. Wszyscy pogodzili się jednak, i troje naszych przyjaciół, już uspokojonych, rozstało się w pełni zaufania wobec obietnic hrabiego.

Tymczasem Oxtiern, po zajściu z Hermanem, zszedł natychmiast do apartamentu pani Scholtz, opowiedział jej wszystko, co się wydarzyło, i ta niegodziwa kobieta tym bardziej przekonana postępkiem młodego hrabiego, że stało się niemożliwe posiąść go, zaangażowała się jeszcze bardziej w sprawę hrabiego, i obiecała służyć mu aż do całkowitego zniszczenia nieszczęsnego Hermana.

— Posiadam całkiem pewne środki, ażeby go zgubić — mówi ta okrutna jędza — mam drugie klucze od kasy, o których on nie wie; wkrótce powinnam wydać sto tysięcy dukatów na weksel kupców z Hamburga, tylko ja mogę stwierdzić ich brak; od tej chwili będzie musiał mnie poślubić albo będzie zgubiony.

— W tym ostatnim przypadku — mówi hrabia — natychmiast mi to zakomunikuj; wówczas zacznę działać na konto naszej milczącej zemsty.

Następnie dwoje zbrodniarzy, okrutnie związanych korzyściami, podjęło ostatnie starania, aby nadać swym perfidnym zamiarom upragnioną trwałość i okrucieństwo.

Skończywszy przygotowania, Oxtiern poszedł pożegnać się z pułkownikiem i jego córką; powściągnąwszy wobec niej swe uczucia, miast miłości i prawdziwych intencji, okazał całą szlachetność i bezinteresowność, na jakie pozwalał mu jego fałsz; wobec Sandersa ponowił wszystkie oferty usług, i uzgodnił z nim podróż do Sztokholmu. Hrabia pragnął przygotować im apartament u siebie; ale pułkownik odpowiedział, iż wolałby udać się do swej kuzynki Plorman, po której oczekiwał spadku dla córki, i że ten znak przyjaźni stałby się dla Ernestyny okazją, by zadbać o kobietę, która mogła bardzo powiększyć córce fortunę; Oxtiern pochwalił projekt, umówiono się co do powozu, ponieważ Ernestyna obawiała się morza, i rozstano z najżywszymi zapewnieniami wzajemnej czułości i szacunku, i nie poruszano kwestii postępku młodego człowieka.

Pani Scholtz nadal udawała przed Hermanem; postanowiwszy maskować się aż do wybuchu, jaki przygotowywała, w ogóle nie mówiła mu o swych uczuciach i nie ujawniała ich jak uprzednio, okazywała tylko zaufanie i zainteresowanie; udawała przed nim, że została skarcona za swe roztrzepanie przez senatora, a nasz dobry młody człowiek uwierzył, że, jako iż zajście nie zostało potraktowane z korzyścią dla hrabiego, ten ukrył je starannie.

Tymczasem Herman dobrze wiedział, że pułkownik i jego córka mają wkrótce opuścić Nordkoping; ale pełen ufności w uczucia swej kochanki, przyjaźń pułkownika i obietnice hrabiego, nie wątpił, że pierwszym użytkiem, jaki Ernestyna uczyni w Sztokholmie ze swego wpływu na senatora, będzie skłonienie go do niezwłocznego ich połączenia; młoda Sanders nie przestawała zapewniać o tym Hermana, i był to jej szczery zamiar.

Minęło kilka tygodni, gdy oto ujrzano przybywający do Nordkoping wspaniały powóz w otoczeniu kilku lokajów, którym przykazane zostało oddać pułkownikowi Sandersowi list od hrabiego Oxtierna, i odebrać jednocześnie rozkazy oficera tyczące podróży, jaką miał odbyć do Sztokholmu wraz z córką, i dla jakiej przeznaczony został wysłany powóz. List oznajmiał Sandersowi, że, dzięki staraniom senatora, wdowa Plorman przeznaczyła dwojgu krewnych najpiękniejszy apartament w swym domu, i że oboje mogą przybyć, kiedy tylko zapragną, oraz że hrabia oczekuje chwili, by oznajmić swemu przyjacielowi Sandersowi sukces pierwszych zabiegów, jakie dlań poczynił; co do Hermana, dodawał senator, sądzi, iż należałoby pozwolić mu zakończyć w spokoju jego sprawy z panią Scholtz, w wyniku czego mógłby on, mając fortunę w całkowitym porządku, jeszcze bardziej przyzwoicie prosić o rękę pięknej Ernestyny; że wszystko przemawiało za takim układem, dzięki któremu pułkownik, sam uhonorowany pensją i, być może, stopniem, tym bardziej będzie w stanie zadbać o dobro swej córki.

To zastrzeżenie nie podobało się Ernestynie; budziło w niej podejrzenia, którymi podzieliła się natychmiast z ojcem. Pułkownik postanowił w niczym nie zmieniać projektów Oxtierna; cóż zresztą, mówił Sanders, miałoby skłonić Hermana do opuszczenia Nordkoping, nim zakończy on swe rachunki z panią Scholtz? Ernestyna uroniła kilka łez, i ogarnięta jednocześnie miłością i obawą przed zaszkodzeniem ojcu, ośmieliła się obstawać przy zamiarze skorzystania z ofert senatora dopiero w chwili, gdy jej drogi Herman będzie wolny.

Należało zatem przygotować się do drogi; Herman został zaproszony przez pułkownika na wieczerzę, aby pożegnać się; pojawił się na niej i ta okrutna scena odbyła się nie bez najżywszego wzruszenia.

— Och! droga Ernestyno, — mówi Herman ze łzami w oczach — opuszczam cię, i nie wiem, kiedy cię znów zobaczę, pozostawiasz mnie z okrutnym wrogiem..., z kobietą, która się maskuje, ale której uczucia nie uległy zmianie; któż mnie uchroni od niezliczonych intryg, jakimi omota mnie ta jędza?... Gdy ujrzy mnie bardziej niż kiedykolwiek zdecydowanego podążyć za tobą, i gdy wyjawię jej, że na zawsze chcę należeć tylko do ciebie..., a ty, gdzież się udajesz, wielki Boże?..., uzależniona od człowieka, który cię pokochał, który nadal cię kocha..., i którego ofiara jest bardzo wątpliwa. On cię uwiedzie, Ernestyno, on cię omami, a nieszczęsnemu, porzuconemu Hermanowi pozostaną tylko łzy.

— Hermanie, zawsze będziesz miał serce Ernestyny — mówi panna Sanders ściskając dłonie swego kochanka — czyż możesz obawiać się, że zostaniesz oszukany, jeśli chodzi o posiadanie tego dobra?

— Ach! czyż mógłbym je kiedykolwiek utracić — mówi Herman rzucając się do stóp swej pięknej ukochanej. — Możesz, Ernestyno nie ulegając czynionym ci namowom, przekonać się, że nie może istnieć na świecie człowiek, który kochałby cię tak jak ja!

I nieszczęśliwy młody człowiek ośmielił się błagać Ernestynę, by pozwoliła mu złożyć na swych różanych wargach drogi pocałunek, który zastąpi mu rękojmię żądanych przezeń obietnic. Mądra i roztropna Sanders, która nigdy się na to nie zgodziła, sądziła, że okoliczności pozwalają na ten gest i schyliła się ku ramionom Hermana, który, płonąc z miłości i pożądania, uległ nadmiarowi ciemnej rozkoszy wyrażającej się jedynie łzami, i przypieczętował przysięgi na najpiękniejszych ustach świata, i odebrał od nich jeszcze dotkniecie, najrozkoszniejszy wyraz i miłości, i stałości.

Przekład:
BOGDAN BANASIAK

C.D.N.

Ci wstrętni dekadenci...

Kilka dni temu wpadł mi w ręce „Przewodnik po beletrystyce" opracowany przez Czesława Lechickiego, a wydany w roku 1935 w Poznaniu nakładem Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej. Przejrzałem pobieżnie to dzieło, ale ponieważ trafiłem na kilka interesujących fragmentów, wróciłem do początku.

Książkę otwierają „Uwagi wstępne" skreślone ręką autora opracowania. Dowiedziałem się z owego wstępu, że przewodnik na plan pierwszy wysuwa *„poczucie moralno-społeczne, nie artystyczne"*; autor pisze o tym tak: *„I zgoła mylne jest mniemanie, jakoby walory literackie zdołały kiedykolwiek okupić bodaj częściowo i zrównoważyć jakiekolwiek defekty ideowo-moralne pisarza"*. Następnie mówi o spustoszeniu w literaturze, a pośrednio oczywiście wśród ewentualnych czytelników, jakie dokonuje się za sprawą pisarzy niemoralnych: *„Tej dekadencji, temu poniewieraniu dostojności formy wysłowienia, temu deptaniu wszelkiej kultury i przyzwoitości towarzyskiej, cofaniu się na poziom źle wychowanych, nieokrzesanych dzikusów i chamów, trzeba zaoponować śmiało i energicznie"*.

By nie nudzić dalszym omawianiem wstępu, utrzymanym prawie w całości w tym stylu, przejdę do części zasadniczej, to znaczy do samego przewodnika; jeszcze tylko jedna uwaga — omawiane książki zostały podzielone na cztery kategorie: I — powieści dla młodzieży, II — dla wszystkich, III — tolerowane, IV — niebezpieczne — szkodliwe. W części pierwszej znajdują się pisarze obcy tłumaczeni na język polski: *„d'Annunzio Gabrjel (...) Znamienną, kierowniczą cechą swoich bohaterów uczynił maniactwo seksualne, prowadzące zazwyczaj do całkowitego zwyrodnienia.(...) Utworów jego nie ma co streszczać: góruje w nich wszędzie nienawiść i występek, atmosfera duszna od erotyki zwyrodniałej, przesycona miazmatami wyrafinowanej lubieżności"*. Prawda, że ładne? Przypuszczam, że gdyby obecnie ukazała się taka notka o autorze, jego książki zniknęłyby z księgarni w ciągu paru minut. Ale myślę, że i wtedy, przed pięćdziesięciu laty reklama była wcale nie najgorsza. Oczywiście dzieła d'Annunzio otrzymują cyfrę IV.

Parę stron dalej trafiam na Balzaca. I cóż się o nim dowiaduję: *„...dusza lgnącą do tego, co występne, zbrodnicze, obce idealizmowi(..) sprowadzał Balzac wszystko do gry instynktów zwierzęcych"*. Tylko część utworów francuskiego pisarza otrzymała III, większość zaliczona została pod IV.

Baudelaire jest dekadentem, alkoholikiem, narkomanem, erotomanem, satanistą, zboczeńcem płciowym. Oczywiście po takiej serii epitetów pod adresem poety, jego utwory (chodzi tylko o prozę) mogą być oznaczone IV.

Przeglądałem dalej, napotykając po drodze co i raz *„marny bardzo charakter"*, zatrzymywałem się dłużej przy pisarzach, których lubię i tak dotarłem do France'a. Okazało się, że można go podsumować właściwie w jednym zdaniu: *„Wytworny werbalista i klasyczny parnasista, mistrz błyskotliwego dialogu, ironista niedościgniony, żaden epik, dobry analityk, lichy syntetyk (...)wyrafinowany smakosz i zmysłowiec..."*. I tak na każdej stronie jakaś rozrywkowa charakterystyka. Przy Shawie, na przykład, przeczytałem: *„W sumie destruktor, szkodliwy dla umysłów wyrobionych, zabójczy dla niewyrobionych"*. I proszę, jaki lekki sposób na odebranie sobie życia mają umysły niewyrobione, do czego zresztą wcale nie zachęcam.

W części drugiej tej potężnej pracy (jak autor napisał we wstępie, uwzględnił 1092 pisarzy, a dzieł wyliczył ponad 5750; stwierdził dalej, że materiał ten trzeba czytać co najmniej 17 lat; zastanawiające w jaki sposób doszedł do tej cyfry?), znajdują się beletryści polscy. Tutaj też kilka ciekawych omówień. Przytoczę tylko dwa. Wacław Grubiński to: *„Jeden z najniemoralniejszych pisarzy polskich. (...)wyznaje optymizm sytego burżuja. (...)materjalista zupełnie pierwotny, nazywa prawa moralne przesądami. Drapuje się w togę pięknoducha, arbitralny ten, a niedouczony megaloman szerzy na wpół wytwornisiowski snobizm nie mędrków, lecz mydłków"*. I drugi pisarz, Stanisław Ignacy Witkiewicz, specjalista od wszelkiego rodzaju popędów i zboczeń *„ludzkiego bydlęcia"* jak określa Lechicki. *„Chyba psychopata może tak pisać i tak się babrać w nieczłowieczej pornografii"*.

Ale wbrew pozorom te krótkie notki, choć dostarczają wiele humoru, nie są najzabawniejszą częścią dzieła, otóż rozrywka jeszcze większa zaczyna się podczas omówień poszczególnych książek. Tutaj można by czerpać pełnymi garściami. „Podróż do kresu nocy" Celina jest: *„(..) przeniknięta czysto biologicznym naturalizmem upodlonego przez życie i do gruntu zezwierzęconego osobnika(...) brutalnego w opisie plugastwa popełnionego ze świadomością, że tylko łajdactwo popłaca"*. „Pani Bovary" to historia: *(...)typowej samiczki, biorącej sobie kochanka i cieszącej się nim beztrosko, by w końcu otruć się dla kaprysu, nie z wyrzutów sumienia; analiza skutków erotomanii kobiecej"*. A „Fałszerze" Gide'a pokazują: *„(...)życie współczesnej młodzieży akademickiej, zboczone, bo obejmujące homoseksualistów (...)niejeden ledwie się domyśli z aluzji dyskretnych, że ma do czynienia z pederastami"*. Dobrze, że autor nie streszcza sonetów Shakespeare'a lub niektórych wierszy Michała Anioła, dopiero byłby kłopot, choć z drugiej strony szkoda, bo przecież śmiechu byłoby więcej. „Wilk stepowy" Hessego załatwiony krótko: *„psychopatologia włóczęgi i wykolejeńca"*.

Wśród polskich autorów też wiele ciekawostek. Henryka Sienkiewicza — „Bez dogmatu". Notkę dotyczącą tej książki zacytuję w całości, myślę, że warta jest tego: *„erotoman-półarystokrata bałamuci kuzynkę, a nie mogąc się zdecydować na ożenek, wraca do niej już jako mężatki; ona odpiera zwycięsko jego zakusy, bo nie ma temperamentu, w końcu umiera przy porodzie; mistrzowska analiza chorej na abulię duszy sceptyka, jednak strona filozoficzna szwankuje; nie bezdogmatowość jest winna wszystkiemu, ale nieróbstwo bogacza, pasożytującego, gdy inni pracować muszą na utrzymanie; znowu małżeństwo wystawione jako jedyny cel w życiu i sens istnienia, teza mylna, choć spospolitowana"*. I niezastąpiony Witkacy; jego „Nienasycenie" jest: *„największą ohydą jaka się ukazała w Polsce od czasów Przybyszewskiego"*.

Wiele zabawy dostarcza ów przewodnik. Człowiek dowiedział się wreszcie jakie wstrętne rzeczy pochłaniały mu czas i zastanawiam się, czy przypadkiem mój umysł nie został przy pomocy tej występnej lektury *„uszkodzony"*. A swoją drogą ciekawe, jak autor potraktowałby pisarzy piszących po wojnie, co napisałby o: Sartrze, Camusie, Genecie, Grassie, Bataille, Hallerze, a wśród Polaków o Hłasce, Wojaczku, „Miazdze" Andrzejewskiego, czy też o takim opowiadaniu jak „Zmienna ogniskowa" Andrzeja Brychta, które ukazało się w pierwszym numerze „Twórczości" z 1986 roku? Ale nie wpadajmy w zbytni optymizm, przecież stosunkowo niedawno dobrą literaturę określało się słowem wcale nie mniej wybrednym, ot choćby: *„Eliot jest wielkim poetą: mowę angielską tak precyzyjną u Szekspira, tak jasną u Defoego, tak kryształową u Shawa, stłukł jak lustro, zbełtał jak wodę, zmieszał jak paletę farb; to trudna sztuka mowę Johnsona zmienić w bełkot idioty!"*. A i obecnie zdarza się nierzadko, że krytyka poniesie nieco temperament ze względów także pozaartystycznych. Dobra literatura jednak, choć często musi czekać lata całe, posiada tę siłę, która pozwala jej na zaistnienie — to pocieszające!

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

1 Cmoktanie

Człowiek to w zasadzie brzmi dumnie. Niektórzy filozofowie nawet uważali, że człowiek jest wszechcelem cywilizacji i kultur, gdziekolwiek się lęgły. Tak w ogóle to ja nie mam absolutnie nic naprzeciw temu. Niech ten człowiek brzmi dumnie, niech on, skoro już musi, uważa się za koronę stworzenia, tylko niech on, ten człowiek, nie cmokta.

Jedzie człowiek pociągiem, dajmy na to, siedzi sobie grzecznie w przedziale, a naprzeciwko jakiś obywatel konsumuje delegacyjną kanapkę. Wolno jemu. Tylko czemu wszyscy dokoła muszą oglądać proces gryzienia, czemu mogą obejrzeć przełyk delikwenta aż po żołądek, czemu, do diabła ciężkiego muszą słuchać mlaskania? A jak już obywatel skończy się posilać, rozpoczyna się rytuał czyszczenia ząbków. Czasem przy pomocy zapałki wykonuje się ten proceder z rozdziawioną gębą, a czasem — przy pomocy cmoktania, czyli wysysania. Wszyscy dokoła od razu wiedzą, że ten pan, czy ta pani, która tak uczenie dyskutuje o polityce cenowej rządu oraz o zagadnieniach stosunków państwo-Kościół, ma zepsute zęby.

W tramwaju wyfioczona dama tuż nad uchem rozpoczyna cmoktanie z regularnością zegara z Greenwich, w kinie siedzisz akurat obok kogoś, kto rzadko odwiedza dentystę i właśnie teraz, kiedy na ekranie on ją całuje i zaraz będą momenty, rozlega się znajome cmoktanie.

Najgorzej, że nie wiadomo, co zrobić w takiej sytuacji. Można oczywiście uciec, ale czasem nie jest to możliwe. Można filozoficznie być ponad to, dopuszczając prawo do istnienia najróżniejszych indywiduów, o jakich się filozofom nie śniło. Można też zwrócić grzecznie uwagę, iżby dany obywatel był uprzejmy wybrać się do dentysty, a przynajmniej oszczędził otoczeniu tak dobitnej informacji o rozpaczliwym stanie swego uzębienia. Można poprosić, motywując prośbę większym szacunkiem dla samego siebie o nieobnoszenie się z tak fatalnymi brakami publicznie. Można wreszcie, starannie powstrzymywać odruch wymiotny z obrzydzenia na znajomy odgłos rozlegający się z ust bliźniego twego.

Najczęściej jednak zgnębieni milczymy pokornie, choć w środku wszystko nam się przewraca. A milczymy, bo mamy już doświadczenie. Kiedy raz nam się zdarzyło nie wytrzymać i tłumiąc odruch wymiotny zwrócić uwagę mlaskaczowi czy cmoktaczowi, spadła na nas lawina. Głównie składała się z oburzenia, że ośmielamy się ingerować w prywatne upodobania delikwenta, że jego zęby należą do niego i może z nimi robić co zechce, w tym także cmoktać w miejscach publicznych. Że jak nam się coś nie podoba, możemy wyjść z kolejki, kina, wysiąść z tramwaju itp. W ogóle możemy się powiesić. A przede wszystkim, to jesteśmy niemyte chamy, prawdopodobnie pijane, albo nienormalne, skoro wtrącamy się do nie swoich spraw.

Po takim czymś milkniemy na dobre i co najwyżej możemy zwymiotować z obrzydzenia na gors cmoktacza.

Zauważmy tu kilka występujących zagadnień, że tak powiem, społeczno-obyczajowych. Po pierwsze — cmoktacz ma niezwykle silnie rozwinięte poczucie osobistej niepodległości. Jednym słowem to co on uważa za niezbywalną własność osobistą nie podlega ocenie otoczenia. Wolno mu zatem mlaskać, puszczać bąki, cmoktać i robić jeszcze inne przyjemne rzeczy i żadna z nich nie ma prawa być mu odebrana. Jemu wolno, bo to jego. Cmoktacz ma jednocześnie całkowite lekceważenie dla praw osób ze swego otoczenia. Im nie przysługuje prawo nieoglądania czyjegoś procesu trawienia i niesłuchania cmoktania czy mlaskania, niewąchania czyjegoś niedomytego ciałska. Po drugie — cmoktacz za nienormalnych uważa wszystkich tych, u których jego manipulacje gębowo-zębowe wywołują obrzydzenie i chęć wymiotną. Przecież to nie ich sprawa. Mogą się oddalić. Po trzecie wreszcie — cmoktacze mają poparcie społeczne. W razie zwrócenia uwagi — natychmiast pojawiają się liczni obrońcy cmoktacza dbali o całość praw i przywilejów jednostki. W szybkim tempie obrońcy ci umieją wywołać niemałą awanturę w miejscu publicznym pomstując na nienormalnego „zwracacza uwagi". W ten prosty sposób winę za zajścia uliczne przerzuca się ze sprawcy na interweniującego.

Po czwarte jeszcze — poważna większość ludności jakoś nie łączy faktu posiadania dziurawego uzębienia lub zamiłowania do cmoktania z poziomem cywilizowania danego cmoktacza. Wystarczy, że dama ma na sobie futro z norek, na palcach sklep jubilerski oraz wonieje mieszaniną niedomycia i Chanel nr 5, by uznać ją za wysoce kulturalną, umiejącą się znaleźć osobę. Wystarczy, by pan posiadał ugruntowane poglądy polityczne wygłaszane najchętniej w przedziale wagonu kolejowego, w kolejce, czy na imieninach, by nikt nie kwestionował jego kultury i manier, a już zwłaszcza by nikt nie zaglądał w dziurawe zęboki, nie kręcił nosem na smrodek nie umytych stóp, nie reagował na cmoktanie.

Mili moi, wszyscy ci, którzy dostają drgawek od czyjegoś cmoktania. Nie zwracajcie na to uwagi. Bądźcie ponad. Zresztą nie macie innego wyjścia. Nie po to walczyliśmy o władzę ludu pracującego, by teraz odbierać komuś jego prawo do cmoktania.

MALAGA

2 Sport

Tajna broń Wojciecha Łazarka

Nie będę się kajała i odwoływała tego, co napisałam tydzień temu. Przyznaję, że w Poznaniu „błysnęło kilka razy światełko w tunelu", co należy tłumaczyć na język powszechnie zrozumiały, jako ciekawe zagrania i sytuacje, które stworzyli polscy piłkarze. Można sądzić, że zaczynają myśleć również na boisku i próbują grać tak, aby wygrać. Były to jednak światełka słabe, ledwie migocące. Trzeba bowiem jeszcze wygrać z Węgrami i Holendrami. I nie wiem, czy to będzie łatwe, bo przeciwnik też myśli i poznał już tajną broń Wojciecha Łazarka.

Z przyjemnością odnotowuję, że obok Andrzeja Zydorowicza wystąpił jako komentator telewizyjny Jan Tomaszewski. Pamiętam go z ekranu łódzkiej telewizji, gdy komentował razem z Michałem Bunio, ale zaprezentował się wtedy jako niepoprawny gaduła. Teraz głos zabierał rzadziej, ale mówił konkretnie, nadając komentarzowi charakter bardziej fachowy, pomagający kibicom przed telewizorami zrozumieć to, co się dzieje na boisku. Nie każdemu to się udaje, jako że u nas w telewizji panuje niepodzielnie maniera opowiadania o tym, co telewidz i tak widzi.

Żałuję, że nie zagrał w bramce Henryk Bolesta, który — jak się okazało — ma pecha i nawet nie wystąpił jako rezerwowy bramkarz. Powodem był ból szyi. Bramkarz Widzewa nie mógł nawet ruszać głową, cóż dopiero bronić bramki. Być może gdyby zagrał, to i wynik byłby inny. Gol strzelony polskiej drużynie przez Anastopoulosa w 13 minucie meczu był bez wątpienia zawiniony tak przez obronę, jak i przez bramkarza Legii. Ale było, stało się, minęło. Mecz wygrany. Tylko nie popadajmy, broń Boże, w samozadowolenie. Bąbelki gazu nie szkodzą tylko wodzie sodowej i szampanowi.

Jak nas przekonywał Tomaszewski tajną bronią Wojciecha Łazarka miały być stałe fragmenty gry. Przygotowano szereg kombinacji, aby zmylić Greków i strzelić im gola. Jakoś niewiele z tego wyszło. Udały się natomiast dwie akcje, które poprowadził Włodzimierz Smolarek. Tylko, że inni nie wytrzymali i wyszli na spalone. Jest jeszcze nad czym pracować. I to w klubach przede wszystkim. Wypada mieć jednak nieśmiałą nadzieję, że reprezentacja zaczyna się budować i że coś z tej budowy wyjdzie.

Nie popadałabym w zachwyt nad karnymi, które strzelił Dariusz Dziekanowski. Skóra mi cierpnie na całym ciele, gdy sobie pomyślę, co by było, gdyby nie karne. Byłoby raczej źle. Otóż byłabym bardziej spokojna o przyszłość naszej reprezentacji, gdyby obie bramki padły z dobrze przeprowadzonych akcji. Akcje natomiast — z nielicznymi tylko wyjątkami — nadal naszym reprezentantom nie wychodziły. Włodzimierz Smolarek grał znakomicie, widać wyraźnie, że musiał zmienić styl gry i to mu wyszło na dobre. Gdybyż nasi gracze potrafili wyciągnąć z tego właściwe wnioski.

Tak więc wygraliśmy. Można się z tego i trzeba nawet cieszyć, ale trzeba też myśleć intensywnie o tym, co będzie dalej. A dalej nie będzie łatwo. Ani Węgrzy, ani tym bardziej Holendrzy tanio swojej skóry nie sprzedadzą. Nasi muszą się jeszcze dużo nauczyć.

Wszakże — jak twierdził w Poznaniu grecki trener Miltos Papastolou — Wojciech Łazarek zastosował jeszcze jedną tajną broń. W Budapeszcie — podczas losowania — ustalono, że mecze będą się odbywały w miastach, gdzie można dolecieć samolotem. Grecy z Warszawy do Poznania jechali 5 godzin i słusznie szlag ich trafiał. W Poznaniu na kolację zamówili sobie cielęcinę, ale dostali wieprzowinę. Widać cielęciny nie dowieźli, a oni wieprzowiny nie lubią. Znów ich szlag trafił. Na dodatek, w nocy, poznańskie panienki lekkich obyczajów dzwoniły do pokojów greckich piłkarzy z propozycją zacieśnienia przyjaźni polsko-greckiej. Z jakim skutkiem — trener tego nie powiedział.

Tak więc — to wcale nie Dariusz Dziekanowski wygrał mecz z Grekami tylko poznańskie panienki i tajna broń W.Ł. Czy to się uda powtórzyć z Węgrami i Holendrami? Wątpię! Lepiej dobrze przygotować się technicznie do tych meczów, bo z techniką gry u Polaków nadal nie jest najlepiej.

BOGDA MADEI

3 Nagle zastępstwo

Moja kronika tygodniowa

Zamówienie, wystawione na arkuszu papieru maszynowego (brak go na rynku! Wasz felietonista wystukuje swoje arcydzieła na papierze powielaczowym!) zawiera nazwę firmy: „SPOŁEM" PSS w Łodzi O. Widzew. Także adres: ul. A. Czerwonej 30. Dalej nazwisko i adres kontrahenta, pieczęć podłużną sklepu i podpis kierownika. Dalej tabelka zatytułowana „Realizacja". Rubryki: L.p., wyszczególnienie, ilość, cena, wartość. Następnie suma, procent za usługę i kwota do zapłaty. Pokwitowanie odbioru i koniec.

I co w tym dziwnego? — zapyta znudzony czytelnik. Normalna umowa na wykonanie usługi.

Otóż nie. Gwoździem całej sprawy jest rodzaj tej usługi i jej wartość. Ten niesłychanie poważny dokument dotyczy sprzedaży piętnastu kilogramów szatkowanej kapusty! A cała suma, którą obejmuje ta niesłychanie poważna umowa na niesłychanie poważną transakcję wynosi złotych polskich 362 i groszy 30, w tym 17,30 złotego za usługę, czyli szatkowanie...

A mówią, że papieru nie ma. „Społem" widać nie cierpi na brak papieru, skoro zużywa arkusze A-5 na zawieranie umów na wartość 17 zł i 30 groszy. No bo kapustę nie szatkowaną można (jeszcze!) kupić bez spisywania umowy.

Izba Rzemieślnicza w Łodzi ma na zbyciu nie tylko papier, ale nawet wysokiej jakości karton. Na takim właśnie kartonie dała sobie wydrukować bilet wstępu (nosi on zresztą dumną nazwę „Karta wstępu") na wystawę wyrobów rzemieślników ze sławnego miasta Padwy w słonecznej — jak się to pięknie mówi — Italii. Wystawa jest ubożuchna, wszystkie eksponaty zmieścić można z powodzeniem w sporym pokoju starego budownictwa. A karta wstępu kosztuje 50 zł! Do najwspanialszych galerii i sal wystawowych PRL wchodzi człowiek dużo taniej. I ma co oglądać! A na wystawie padwańskich rzemieślników zobaczy tyle, co np. w domu rzemiosła przy ulicy Zachodniej. Z tym, że w domu rzemiosła — za darmo.

W łódzkich sklepach meblowych zobaczyć można rozkładane fotele: takie zmyślne, że po rozłożeniu robi się z tego jednoosobowy tapczanik. Ani to wygodne jako fotel, ani jako tapczan. Ale bywa pożyteczne w naszych M-2 czy M-3. Ale kupić, ot tak sobie, takiego fotelika nie można. Dlaczego? Bo one są w kompletach, po trzy sztuki. Komu potrzebne trzy meble, które mają zastosowanie tylko jako awaryjne, zastępcze miejsce do spania, jak nam się nagle ciocia z prowincji zwali niespodziewanie. Handlowcy od mebli wpadli na pomysł, że przecież mogą się nam zwalić trzy ciocie! I wymyślili komplet... za, bagatelka, 52 tysiące złotych. Nie rozumiem tylko, dlaczego komplet składa się tylko z trzech foteli? Klasyczny komplet to sześć sztuk... Śmiało panowie!

Rozmyślnie piszę o handlowcach a nie o producentach. Jeśli nawet to właśnie producent wymyślił ten „komplet" to przecież handel, który chce zarobić i w związku z tym idzie na rękę klientowi (nie ma się co śmiać!) mógłby to producentowi wyperswadować.

Rynek od pewnego czasu cierpi na brak armatury łazienkowej. Była kiedyś, nawet włoska, wysoce elegancka. Teraz tzw. baterie pojawiają się rzadko i znikają natychmiast. Nie brak natomiast w sklepach — nawet tanio skalkulowanych — baterii, które tak zmyślnie skonstruowano, że jedynym miejscem wypływu wody jest natrysk. A normalna, zwykła rurka z której cieknie woda? Raczej niezbędna, jak wskazuje doświadczenie. Nieobecna... Ja się pytam głosem wielkim: Na cholerę to komu? Nawet jeśli nie ma się wanny tylko brodzik do natrysku to ten kranik też jest pożyteczny. Komu on przeszkadzał?

W sklepach z osprzętem elektrycznym można nabyć lampkę nocną, składającą się z trzech kawałków emaliowanej blachy i oprawki do żarówki za 1500 zł. Obok, w tym samym uspołecznionym sklepie leżą na półkach solidne lampy na biurko: z imadłem do przykręcenia do blatu stołu, z ruchomą oprawą na żarówkę. Za tysiąc zł. Kto upadł na głowę, kto to skalkulował?

Zgodnie z tym co w tytule, powyższe informacje są plonem obserwacji dokonanych w ciągu jednego tylko tygodnia, a skłamałbym, gdybym napisał, że tropiłem te bzdury. Skądże, wpadły mi w oko całkiem przypadkowo. I nie wiem, co o nich myśleć.

Felieton niniejszy można traktować jako praktyczny suplement do artykułu z ubiegłego tygodnia pt. „Czy można żyć bez Głupoty?". Chyba jednak nie można...

ANDRZEJ KAROL

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(22)

W Świątyni tej pułkownik Dowd, jak przystało na miejsce kultu, roztrząsał w myślach sprawy doniosłe, egzystencjalne i eschatologiczne, więc pytania Eddiego nie odniósł do światła zapalonej latarki, odniósł je do sytuacji ogólnej.

Poszukał słów pocieszenia.

— W porządku, kapralu — powiedział do wnuczka. — Najważniejsze, że jesteśmy w schronie.

Cztery przecznice od tej Przeciwatomowej Świątyni Norman McLorren także poszukał słów pocieszenia.

— W porządku, kapitanie — powiedział do siebie. — Najważniejsze, żeby się znaleźć w schronie.

17 kilometrów od punktu „0".

Tak — pomyślał Adam — to przerażające światło rzeczywiście przygasło. I ma teraz inny kolor, raczej bardziej złowieszczy. Zrobiło się purpurowe i dziwnie o g n i s t e. No, do diaska, można by nabrać podejrzeń, że tam naprawdę nastąpił jakiś kataklizm, wybuchł wulkan czy spadł rój meteorytów i dlatego powierzchnia wody kipi, a ci ludzie tutaj są tacy poparzeni i — o Jezu — martwi. Bo oni przecież są martwi, z gwarancją na całą wieczność.

Coś kumplowsko szturchnęło go w łokieć i Adam spojrzał w tamtą stronę. Dryfująca obok niego w topielczym przechyle kobieta okręcała się wokół własnej osi powoli i majestatycznie niczym glob ziemski, odsłaniając przed nim coraz to nowe obszary swojego ciała. Dopiero teraz zobaczył, że prawy jej bok, plecy, pośladki — odkrywał to stopniowo, w miarę jak przesuwał po niej wzrokiem — tylne części ud i łydek pokrywają smugi kopciu i że jej skóra w tych miejscach, biała, rogowata i strupiasta, przypomina upstrzoną brodawkami skórę ropuchy. Srebrzystorożowe pęcherzyki powietrza przywierały do niej jak drobne żyjątka pasożytnicze.

Jezu — myślał Adam — te oparzenia. I te w t o p i o n e głęboko, aż do mięśni, szczątki kostiumu kąpielowego.

Zdjęty lękiem, rozhisteryzowany i bliski płaczu poczuł, że usta ma pełne śliny o chlorowym posmaku, a w klatce piersiowej narasta mu bolesny, dławiący ucisk. Silniejszym ruchem ręki przegarnął wodę, by odpłynąć od tej n a d t o p i o n e j kobiety i wtedy uprzytomnił sobie, że nie słyszy już pisków i jazgotu ludzkiej mowy. Oprócz syczących dźwięków tła zwykłego na takiej głębokości, jego uszy wypełniał szum, który to wzmagał się, to przycichał zsynchronizowany, jak w kolorofonie, z tamtym złowieszczym światłem — to purpurowym, to jaskrawoczerwonym.

I naraz basen ten przeobraził się w gargantuiczne akwarium, a czarnoksięska moc przeniosła go do krainy wielkoludów ze wspomnień Gullivera. Adam był teraz rekinem ludojadem, w tej skali nie większym niż pirania, hodowanym przez obywateli miasta Lorbrulgrud. Oto nadeszła pora karmienia i oto jego opiekunowie sypią mu pożywienie: ludzkie zwłoki — opieczone dość niedbale i obgotowane niezbyt dokładnie.

Wśród martwych ciał opadających statecznie na dno, wśród wywołanych przez nie zawirowań gorącej wody Adam zaczął drżeć z zimna.

Zaraz się wyrzygam — pomyślał.

11 kilometrów od punktu „0".

Wspaniałe, subtelne i harmonijne było to przejście wokaliczy polifonicznej, która zamierała, w potężniejący, jednostajny huk ognia.

Wspaniałe, subtelne i harmonijne było to przejście nieziemskiego blasku na niebie, który przygasał, w rozjarzającą się łunę pożarów.

Wspaniałe i patetyczne było to nowe miasto wzniesione z płomieni, snopów iskier, rwących prądów dymu i z wibrującego powietrza.

Na kilkadziesiąt sekund Ziemianie stworzyli w tej okolicy niszę ekologiczną o warunkach korzystnych dla rozwoju Ognistych Istot, które natychmiast objęły ją we władanie i zasiedliły nie podejrzewając, jak bardzo są to warunki nietrwałe.

W książkach i podręcznikach traktujących o broni jądrowej często spotykamy sugestywne zdjęcia dokumentalne opatrzone podpisami w rodzaju: „Cień po wybuchu bomby atomowej w Hiroszimie (ewentualnie w Nagasaki)", i przedstawiające faktycznie cienie osób i przedmiotów utrwalone na betonowych ścianach, monolitycznych konstrukcjach metalowych, kamiennych schodach lub na czymś podobnym. Autorzy dekorują tymi zdjęciami swój tekst po to, by trwożyć, ostrzegać i epatować czytelników. Jest to zabieg chybiony, ponieważ ludzie, którzy decydują o wojnie bądź pokoju, książek tych nie czytają (nawiasem mówiąc, nie czytają oni niczego, co nie dotyczy ich bezpośrednio, i na reprodukowanych zdjęciach wolą oglądać samych siebie), natomiast czytelnicy tych książek są i tak dostatecznie strwożeni, ale nie mają nic do gadania.

Z reguły te same zdjęcia znajdujemy w różnych książkach różnych autorów, co świadczy o ich skromnym wyborze, a to z kolei wydaje się zadziwiające, jeśli wziąć pod uwagę zasięg i obszar działania było nie było d w ó c h bomb atomowych. Jest to jednak zrozumiałe. Musi zaistnieć szereg sprzyjających okoliczności, żeby na betonowych ścianach, monolitycznych konstrukcjach metalowych, kamiennych schodach lub na czymś podobnym uzyskać widoczne cienie osób i przedmiotów, a okoliczności tych — i w tej materii wszyscy specjaliści są zgodni — Amerykanie nie uwzględnili. Muszą mianowicie zostać zachowane cztery podstawowe warunki: a) odpowiednia odległość od punktu „0"; b) odpowiednia odporność naświetlanego „obiektu" na wysoką temperaturę; c) odpowiednio długi czas „projekcji"; d) odpowiednia wytrzymałość „ekranu".

Otóż Amerykanie zrzucając swoje bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki nie uwzględnili tych okoliczności, bo chodziło im o coś innego; o coś innego chodziło także teraz, więc także teraz niewiele osób i przedmiotów będzie miało szansę utrwalić na ziemi swój cień. Szansy tej pozbawiony został dla przykładu Michael Tomashek i jego popielatosrebrzysty Pontiac. Obaj — to znaczy on i samochód — wprawdzie znaleźli się w odpowiedniej odległości od punktu „0", wprawdzie wykazali odpowiednią odporność na wysoką temperaturę, wprawdzie byli odpowiednio długi czas poddawani „projekcji", niestety, ich „ekran", czyli asfaltowa nawierzchnia jezdni, nie miał odpowiedniej wytrzymałości i został zniszczony: zmiękł i roztopił się, a teraz płonąc spływał rynsztokiem.

Wspaniałe i patetyczne było to nowe miasto wzniesione z płomieni, snopów iskier, rwących prądów dymu i z wibrującego powietrza. Miasto zamieszkane przez Ogniste Istoty — wesołe, niefrasobliwe, rozbrykane. No i co? No i nadeszła fala uderzeniowa (pędząc przed siebie, wciąż pędząc przed siebie).

Stało się tak, jakby ktoś zdmuchnął świeczkę.

Płomienie, snopy iskier, rwące prądy dymu, Ogniste Istoty, katedralne ściany ognia i z ognia zbudowany strop zasklepiający się właśnie nad tą częścią miasta — wszystko to zniknęło w ułamku sekundy. Ustało wibrowanie powietrza, ustała polifoniczna wokaliza, ustał potężny, jednostajny huk pożaru i zapadła cisza. A potem...

Stało się tak, jakby ktoś eksperymentował z kolorami.

Pozostała tylko szarość i głównie czerń: czarna pustka ulic, czarne jezdnie, czarne chodniki, czarne domy, czarne przybudówki, czarne elewacje, czarne dachy, czarne dziuple okien, czarne jamy bram, czarne wnętrza, czarne ogródki, czarne parkany, czarne latarnie, czarne place, czarne skwery — a nad tym wszystkim królowało szare niebo, jedynie ono uprzywilejowane, bo prześwietlone karminowo-rdzawo-siną łuną. Przygnębiający ten widok trwał tyle, co skok migawki w aparacie fotograficznym. A potem...

Stało się tak, jakby ktoś ze stolika strzepnął papierową układankę. Albo ułożone ze skrawków czarno-białe zdjęcie.

Zaczęły ginąć fragmenty krajobrazu. Wpierw spopielone szczątki, wyżarzone resztki, zwęglone pozostałości tu i ówdzie usypane na ulicach w tajemnicze kopczyki, później ozdoby architektoniczne, kawałki gzymsów, fasad, dachów oraz instalacji, reklamy, szyldy, parkany i latarnie, jeszcze później cięższe elementy budowlane, wypchnięte podmuchem z domów ścianki działowe, dywany, kominki, meble, naczynia, ubrania, stosy bielizny pościelowej przemieszane ze sprzętem radiowym, telewizyjnym, kuchennym i łazienkowym i zhomogenizowane z towarami wyrwanymi ze sklepów i magazynów, a w końcu same te rozpadające się domy, sklepy, magazyny, garaże, banki i biura — wszystko to trzaśnięte na odlew falą uderzeniową frunęło w powietrze i w tumanach czarnego pyłu, miału i gruzu podążyło na czele frontu Macha, pędząc przed siebie, wciąż pędząc przed siebie.

Dokładnie w tym samym czasie, w tej samej dzielnicy, ale trochę dalej od punktu „0" Rebby Courgan trzymając torebkę pod pachą, otoczona gościnnymi kafeterii (będącej fantasmagoryczną komnatą bajkowego zamku) ćwiczyła wokalizę. Ściślej, ćwiczyła ona wokalizę dźwięku fis w tonacji molowej. Miała zamknięte powieki, nie mogła więc widzieć, że ten blask, który bił z ulicy i rozlewał się po schronie, przestał już jaśnieć (wszędzie, wszędzie, wszędzie), i że przypiekany tłum cofa się z korytarza, przewracając krzesła i stoliki i depcząc w zamieszaniu po tym miłodym mężczyźnie (sympatycznym i życzliwym, ale nad wyraz natrętnym) leżącym na mozaikowej podłodze.

Wbrew powszechnemu mniemaniu wcale nie tak łatwo jest zatratować silnego i zdrowego mężczyznę. Kość udowa, weźmy, wzdłuż osi pionowej wytrzymuje ciężar półtorej tony. Kości czaszki wytrzymują mniej, mimo to chyba nie bez kozery do miażdżenia głów skazańców w światłych Indiach używano tresowanych słoni. Skazaniec kładł głowę na niskim postumencie, słoń opierał się nogą na głowie skazańca i głowa robiła puuufff! — jak gumowa piłka, z tym że zamiast powietrza wybuchowo uchodził z niej mózg.

Ale młody ten człowiek, silny i zdrowy, miał wyjątkowego pecha— co do ilości depczących go osób, co do typu noszonego przez nie obuwia i co do lokalizacji odniesionych obrażeń. Właściwie całą sprawę załatwiła jedna jedyna kobieta, okazała, hoża dziewoja, której dwunastocentymetrowy obcas jak bretnal przebił mu grdykę.

Mając zamknięte powieki Rebby nie mogła tego widzieć. Jednakże słyszała ona śpiew przypiekanych osób, wrzaski i piski tłumu, szuranie butów, hurkot przewracanych krzeseł i stolików. I czuła napływające zewsząd (zewsząd, zewsząd) smocze oddechy okropnie gorące, a przede wszystkim czuła napór ciał, które przyciskały ją do kontuaru, rozgniatając jej brzuch i Szkrabulka.

Boże Święty... ktoś powiedział... Boże Święty...

I nagle ta chóralna wokaliza, te wrzaski i piski, ten hurkot — wszystko to zamilkło, zginęło w głuchym tomocie dźwiękoszczelnego kokonu zatrzaskującego się wokół niej i podrywającego ją z ziemi, aż w przerażeniu szeroko rozwarła powieki. A potem...

Przez moment krótki jak czknięcie stało się więcej niż Rebby zdoła przeanalizować do końca życia.

Przez krótki ten moment lewitowała. Poderwana z ziemi podmuchem zamieniła się w barwną papużkę.

Przez krótki ten moment w kafeterii szalał gąszcz płomieni. Wdmuchnięte falą uderzeniową, zimne, ociekające smoczym jadem macki Ognistych Istot smagały powietrze, penetrując pomieszczenia schronu w poszukiwaniu żeru.

Przez krótki ten moment Rebby poderwana z ziemi podmuchem lewitowała między splotami zwinnych, ociekających smoczym jadem macek Ognistych Istot, w swądzie przypalanej odzieży, skóry i włosów. A potem...

Potem, zanim minął ten moment krótki jak czknięcie, schron eksplodował. Eksplodowało wszystko: lustro za barem, szklaneczki, podstawki i ustawione dnem do góry kieliszki, butelki na półkach, puszki, shakery o wysmukłych taliach, pojemniki z lodem i chromowane tace pod nimi, gładkie blaty stolików, wazony i blaszkowate liście sztucznych kwiatów, zamrażalnik, płaski, ściemniały ekran telewizora, wypolerowany korpus szafy grającej, tapety, mozaikowe płyty podłogi oraz brzuchy opraw lamp kanałowych pod sufitem. Eksplodowało wszystko — jakby ktoś, jakiś kretyn ze stacji obsługi, który krąży w kosmosie, podłączył ten schron wężem do sprężarki pompującej koła rydwanów międzygwiezdnych, nastawił silniki na pełną moc i przycisnął guzik.

Eksplodowało wszystko. Eksplodowali nawet ludzie. A potem...

Potem, zanim minął ten moment krótki jak czknięcie, Rebby poczuła, że do jej oczu, uszu, nosa i gardła, do jej płuc i wnętrzności wdarło się gorące powietrze, przeszywając ją rozsadzającym bólem. A potem...

Potem Rebby już nic nie czuła.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

5 kilometrów od punktu „0".

Fali uderzeniowej zabrakło czasu i wytrwałości, by przeniknąć głębiej, poza spowodowane przez siebie obwały, i wtargnąć do hali na poziomie trzecim pod hangarem F, który już nie istniał, gdzie William Frankley i jego współpracownicy kulili się w ciemnościach, leżąc na betonowej posadzce. Bez trudu jednak wtłoczyła ona do szybów podziemnych wszystko to, co dało się tam wtłoczyć — przeważnie popiół, żużel i bryłki stopionego metalu.

Skulony w ciemnościach Frankley, leżąc na betonowej posadzce, zastanawiał się, kto i kiedy wmontował mu do głowy nadajnik zagłuszający. Poprzez brzęczenia, szumy i dzwonki wysyłane z tego nadajnika, słabo przedzierał się grzmiący łoskot bardzo daleki i dobiegające z mniejszej odległości przekleństwa i okrzyki. Huk fali dźwiękowej na górze, któremu wtórował jazgot konstrukcji tunelu i rumor demolowanych szybów obu wind, już ucichł, mimo to Frankley nadal był ogłuszony. Czuł, że hala ciągle drży w posadach i że przewiewa ją zimny wiatr dmący od strony komory, gdzie stały butle ze sprężonym powietrzem.

— Gary! — krzyczał Cat. On także był ogłuszony. — Zawór! Zakręć zawór!

Zawór ten Cat będzie miał niebawem w głowie. Jeżeli Frankleyowi wydawało się tylko, że w głowie ma nadajnik zagłuszający, to Cat naprawdę będzie miał w głowie ten zawór. Nie powinno to nikogo dziwić. Skoro wszyscy mamy wodociąg mózgu, czemu nie moglibyśmy mieć tam zaworów?

— Zakręć zawór! — krzyczał Cat do Gary'ego.

Był przekonany, że powietrze wypływające z pękniętych przewodów rozsadzi im płuca.

Nie wiedział, że ich płuca ocalały właśnie dzięki temu powietrzu.

Nie wiedział, że właśnie dzięki temu powietrzu próżnia w postępującym za falą uderzeniową bąblu wakualnym nie wyssała z nich trzew głowy, szyi, klatki piersiowej i jamy brzusznej, nie zamieniła ich ciał w krwawe wydmuszki.

Nie wiedział, że właśnie dzięki temu powietrzu stał się cud.

Ale nie wiedział też, że jest to cud ostatni.

— Zakręć zawór!

Gary nadal nie reagował na jego wezwania, więc Cat podniósł się z ziemi i ruszył chwiejnie w kierunku komory. W ścianach zdemolowanych szybów obu wind powstały pionowe szczeliny i szpary przez które wpadało tu teraz nieco światła i którymi wydostawał się na zewnątrz nadmiar powietrza wypływającego lodowatym strumieniem z pękniętych przewodów. Cat jednak nie zdawał sobie z tego sprawy. Dotarł do stłoczonych butli i wtedy zawór ten — maltretowany wstrząsami, drżeniem i rezonansem — wreszcie puścił. Jego trzpień wystrzelił skosem w bok, trafił Cata w przednie zęby, przebił mu podniebienie miękkie, rdzeń przedłużony, móżdżek wraz z namiotem móżdżku i ugrzązł w płatach potylicznych, zamykając wodociąg mózgu. Zamykając go na amen.

Tymczasem Gary spokojnie leżał na betonowej posadzce. Widział, jak Cat idzie do komory, słyszał jego wezwania i odgłos upadku jego martwego ciała, ale pozostał niewzruszony. Patrzył na rdzawe promienie, które wpadały tutaj przez szczeliny i szpary w ścianach zdemolowanych szybów obu wind. Uznał je za świetlisty trap łączący tę rozkołysaną jak łódź halę z Przystanią Królestwa Niebieskiego.

— Zaraz — powiedział. — Zaraz wdrapię się tam do was.

Fakt. Gary zaraz wdrapie się tam do nich.

I znowu 5 kilometrów od punktu „0". A może dalej? Owszem, zdecydowanie dalej i wysoko, wysoko nad ziemią.

Zdecydowanie dalej od punktu „0", i wysoko, wysoko nad ziemią, bo na pokładzie pasażerskiego samolotu, który odbywał lot ze wschodu na zachód, jedenastoletnia dziewczynka o imieniu Kate nadal wpatrywała się z przejęciem w widok za oknem, osłaniając oczy uniesioną powieścią fantastyczno-naukową pod tytułem „Szturm do piekieł". Powieść tę przeczytała ona dopiero do połowy, ale treść następnych rozdziałów nie była jej zupełnie nieznana. Kate przed przystąpieniem do lektury miała zwyczaj każdą książkę przejrzeć choćby pobieżnie, by sprawdzić, jakiego to rodzaju smakowitości literackie ją czekają. Tym razem było podobnie i w pamięci Kate odżyły wydarzenia przedstawione na przeczytanych przez nią z niecierpliwym, ukradkowym wyprzedzeniem kolejnych kartach tej powieści, a oto miała przed sobą ilustrację tych wydarzeń.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia".